

**KLASYKA  
KRYMINAŁU  
Z JOHNEM  
REBUSEM**

# IAN RANKIN

**KIEDY WSZYSCY ODWRACAJĄ GŁOWY,  
TYLKO REBUS PATRZY PROSTO W MROK.  
BO ZNA GRZESZNE SEKRETY TEGO MIASTA.**

# MĘTNA WODA

ALBATROS

# IAN RANKIN

## MĘTNA WODA

**Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁA  
MAGDA ZUBRYCKA-WERNEROWSKA**



ALBATROS  
Wydanie elektroniczne



KOLEJNA POWIEŚĆ Z DETEKTYWEM JOHNEM REBUSEM I PEŁNYM MROCNZYCH ZAGADEK EDYNBURGIEM  
KTÓREMU DALEKO DO UROKLIWEGO MIASTA ZNANEGO TURYSTOM.

PRZYPADKOWA ŚMIERĆ CZY ZBRODNIA? MAŁO KOGO TO OBCHODZI. ALE REBUS NIE BYŁBY SOBĄ, GDYBY NIE  
PRÓBOWAŁ ROZWIAĆ WĄTPLIWOŚCI.

Martwy młody mężczyzna znaleziony w dziko zamieszkanym budynku. Kolejny ćpun, który przedawkował –  
orzekłaby policja... gdyby na miejscu nie zjawił się John Rebus.

Ciało z dziwnymi zadrapaniami, ułożone jak na krzyżu między dwiema świecami, na ścianie pentagram – ta  
scenografia nie pasuje mu do zwykłego przedawkowania. A dziewczyna zmarłego narkomana twierdzi, że jej  
chłopak przed śmiercią potwornie się kogoś bał.

Inspektor podąża za jej wskazówkami i wkrótce odkrywa, że w sprawę, w której wyraźnie ktoś próbuje zamącić  
obraz, mogą być zamieszani prominentni mieszkańcy Edynburga. Jeśli Rebus nie odpuści, narazi się kilku grubym  
rybom i swoim przełożonym. Ale nic go nie powstrzyma przed zburzeniem fasady, za którą kryją się zbrodnie.

## IAN RANKIN

(ur. 1960) – szkocki pisarz, absolwent uniwersytetu w Edynburgu. Zanim odniósł sukces wydawniczy, pracował przy zbiorach winogron, był poborcą podatkowym, świniopasem, dziennikarzem i muzykiem punkowym. Wydana w 1987 roku pierwsza powieść kryminalna z inspektorem Rebusem – **Supelki i krzyżyki** – przyniosła mu niesłabnącą do dziś sławę. Kolejne książki – m.in. **Mętna woda**, **Miecz i tarcza**, **Święci Biblii**, **Cienia**, **Sprawy wewnętrzne** i **Nawet zdziczałe psy** – trafiły na najwyższe pozycje list bestsellerów w Wielkiej Brytanii i zostały przetłumaczone na kilkanaście języków.

Od wielu lat Ian Rankin znajduje się w ścisłej czołówce najpopularniejszych brytyjskich pisarzy. Jest dwukrotnym zdobywcą prestiżowej nagrody Dagger, a także laureatem Edgar Allan Poe Award i kilkunastu innych nagród.

Rankin od wielu lat jest stałym gościem (bądź gospodarzem) licznych programów telewizyjnych o tematyce kryminalnej.

[ianrankin.net](http://ianrankin.net)

*Tego autora*

OTWARTE DRZWI  
SPRAWY WEWNĘTRZNE  
NA KRAWĘDZI CIEMNOŚCI

**John Rebus**

SUPEŁKI I KRZYŻYKI  
MĘTNA WODA  
KIEŁ I PAZUR  
CZARNA KSIĘGA  
MIECZ I TARCZA  
PRÓBA KRWI  
ZAUŁEK SZKIELETÓW  
MEMENTO MORI  
POŻEGNALNY BLUES  
STOJĄC W CUDZYM GROBIE  
ŚWIĘCI BIBLI I CIENIA  
NAWET ZDZICZAŁE PSY  
WSZYSCY DIABLI

Tytuł oryginału:  
HIDE AND SEEK

Copyright © John Rebus Ltd. 1990  
All rights reserved  
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022  
Polish translation copyright © Magda Zubrycka-Wernerowska, Storytel 2022

Redakcja: Agnieszka Zygmunt  
Projekt graficzny serii i okładki: Agnieszka Drabek  
Zdjęcia i ilustracje na okładce: Zackry Stetler/Shutterstock (okno);  
evenfh/Shutterstock (panorama na froncie);  
Kostiantyn L/Shutterstock (mapka);  
Igitrator/Shutterstock (panorama na tyle)

ISBN 978-83-8215-985-1



**ALBATROS**

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com  
tel: 691962519

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI  
Katarzyna Rek

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

# SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Poniedziałek

Wtorek

Środa

Czwartek

Piątek

Sobota



## DETEKTYW EDYNBURSKIEJ POLICJI

### **John Rebus**

Szkocki twardziel, który podczas konfliktu irlandzkiego służył w brytyjskiej armii i przeszedł szkolenie w elitarniej jednostce SAS.

Słucha muzyki klasycznej, jazzu, ale też rocka: Rolling Stonesów, The Who czy Jethro Tull. Ma imponującą kolekcję płyt – winylowy gość w zdigitalizowanym świecie.

Jeździ kultowym Saabem 900.

Powiedzieć, że nie stroni od alkoholu, to niedomówienie: pije piwo (głównie IPA) i whisky (jego ulubiona to Bell's), najchętniej w edynburskim Oxford Bar. I pali, o wiele za dużo.

Ma córkę i jest rozwiedziony. Jeśli chodzi o kobiety, raczej brakuje mu szczęścia.

Nieufny wobec autorytetów, postrzega świat w czarno-białych kolorach, a ludzi dzieli na dobrych i złych.

Szlachetny samotnik, trochę nieokrzesany, który dobre serce maskuje szorstkim usposobieniem i złośliwym poczuciem humoru.

I za to go kochamy!

*Dla Michaela Shawa, ledwo na czas...*

*Mój demon za długo siedział w klatce, teraz wypadł z niej z rykiem.  
Niezwyczajny przypadek doktora Jekylla i pana Hyde'a*

– SCHOWAJ SIĘ! — wrzasnął przerażony z twarzą bladą jak ściana.

Stała na szczycie schodów, gdy nagle podbiegł, chwycił ją za ramiona i pchnął mocno w dół z niekontrolowaną siłą. Wystraszyła się, że zaraz oboje spadną, i krzyknęła.

– Ronnie! Ale przed kim się chowamy?

– Schowaj się! – ryknął, wymachując ręką w stronę drzwi. – Schowaj się! Oni nadchodzą! Idą tu!

Popchnął ją aż do drzwi wejściowych. Już wcześniej widziała go na głodzie, ale nigdy z takimi urojeniami. Pomogłaby mu działka, była tego pewna. Była również pewna, że przyrzady ma na piętrze w swojej sypialni. Pot sływał mu z wychłodzonej głowy, nadając jego włosom kształt szczurzych ogonów. Jeszcze dwie minuty temu najważniejszą decyzją w jej życiu było to, czy odważyć się na wyprawę do cuchnącej toalety w squalu. Ale teraz...

– Oni nadchodzą... – powtórzył, teraz już szeptem. – Schowaj się...

– Ronnie, przerażasz mnie.

Nie spuszczał z niej otepiałego spojrzenia, jakby jej nie rozpoznawał. Potem odwrócił wzrok i znów zapatrzył się w dal, w otchłań własnego świata. Kolejna komenda wybrzmiała niczym wężowy syk:

– Schowaj się...

Silnym szarpnięciem otworzył drzwi. Na zewnątrz padał deszcz, więc zawahała się, lecz owałdnęta strachem, postanowiła przekroczyć próg. Ale wtedy chwycił ją za ramię i wciągnął z powrotem do środka. Przysłulił ją. Jego pot miał słony zapach morza, ciało drżało. Usta były blisko jej ucha, oddech miał gorący.

– Zamordowali mnie – powiedział.

Nagle z zaciekłością pchnął ją ponownie i tym razem znalazła się na zewnątrz, a drzwi się zatrzasnęły. Został sam w domu. Sam ze sobą. A ona stała na ogrodowej ścieżce, wpatrując się w drzwi i próbując zdecydować, czy wrócić do niego, czy zapukać...

Nic by to nie dało. Wiedziała o tym i zaczęła płakać. Zrozpaczona pochyliła głowę, co nie zdarzało się często, i przez całą minutę wylewała łzy, aż wreszcie rozejrzała się, wzięła trzy głębokie wdychy i puściła się biegiem ogrodową ścieżką, nie wiedząc, dokąd prowadzi. Może ktoś ją przygarnie. Może ktoś ją pocieszy, może odpędzi lęk i wysuszy jej ubranie.

Ktoś zawsze to robił.

JOHN REBUS WPATRYWAŁ SIĘ w stojące przed nim danie, nie skupiając się na rozmowach przy stole, muzyce w tle, migoczących świecach. Nie obchodziły go ani ceny domów w Barnton, ani najnowsze delikatesy na Grassmarket. Nie miał specjalnej ochoty na pogaduszki z pozostałymi gośćmi (wykładowczynią siedzącą po prawej i księgarzem po lewej) o... hm... o czymkolwiek teraz rozmawiali.

Owszem, kolacja była doskonała, a rozmowa równie pikantna jak podana wcześniej przystawka i naprawdę się cieszył, że Rian go zaprosiła. Oczywiście, że się cieszył. Ale im dłużej wpatrywał się w połówkę homara na swoim talerzu, tym bardziej narastała w nim nie do końca uświadomiona desperacja. Co go właściwie łączyło z tymi ludźmi? Czy zaśmialiby się, gdyby opowiedział historię o policyjnym owczarku i odciętej głowie? Nie, nie zaśmialiby się. Uśmiechnęliby się taktownie i pochylili głowy nad swoimi talerzami, uznając, że jest... no, inny niż oni.

– Warzywa, John?

To był głos Rian, upominającej go między wierszami, że nie bierze udziału w rozmowie ani nawet nie wygląda na zainteresowanego. Z uśmiechem przyjął duży półmisek, ale unikał jej wzroku.

Była miłą dziewczyną. Całkiem niezwykłą na swój sposób. Jasnorude włosy obcięte na pazia, oszalałające, głębokie zielone spojrzenie, wargi cienkie, lecz obiecujące. O tak, podobała mu się, w przeciwnym razie nie przyjąłby jej zaproszenia. Poszukał na półmisku brokołu, który nie rozpadłby się na tysiąc kawalków, i próbował przełożyć go na swój talerz.

– Wspaniałe jedzenie, Rian – odezwał się księgarz, a ona uśmiechnęła się, przyjmując komplement z lekko zaczerwioną twarzą.

Wystarczy tak niewiele, John. Wystarczy kilka słów, żeby uszczęśliwić tę dziewczynę. Ale wiedział, że w jego ustach te słowa zabrzmiały sarkastycznie. Nie potrafił zmieniać tonu głosu jak elementu garderoby, była to część jego osobowości, pielęgnowana przez lata. Kiedy więc wykładowczyni zgodziła się z księgarzem, John Rebus wciąż tylko się uśmiechał i kiwał głową, ale uśmiech był zbyt sztuczny, a kiwnięcia trwały o parę sekund za długo, dlatego wszyscy znów wlepili w niego wzrok. Brokuł rozpadł się wprost nad jego talerzem i rozpryskał na obrusie.

– Kurwa! – zawołał Rebus i natychmiast uświadomił sobie, że to zbyt wulgarnie słowo, a już na pewno nie było stosowne w tych okolicznościach. No cóż, stało się, był przecież człowiekiem, a nie chodzącym słownikiem. – Przepraszam.

– Nic się nie stało – rzuciła Rian.

Mój Boże, jej głos był taki zimny.

To było idealne zakończenie idealnego weekendu. W sobotę poszedł na zakupy, rzekomo po garnitur, który planował włożyć wieczorem, lecz zniechęciły go ceny, kupił więc kilka książek, z których jedna miała być prezentem dla Rian: *Doktor Żywago*. Później jednak zdecydował, że najpierw sam przeczyta tę powieść, i zamiast niej przyniósł kwiaty i czekoladki. Wyleciało mu z głowy, że Rian nie lubi lilii (czy nie mogła o tym przypomnieć?), i nie pomyślał o diecie, którą właśnie rozpoczęła. Psiakrew. Na domiar złego rano postanowił iść na mszę do kalwińskiego Kościoła Szkocji w pobliżu jego mieszkania. Kościół, w którym był poprzednio na próbę, wydał mu się nieznośnie zimny i nie obiecywał nic poza wszechobecnym grzechem i skruchą, za to ten okazał się jego nieszczęsnym przeciwieństwem: sama miłość i radość. Czy było w nim miejsce na pokutę? Rebus odśpiewał więc pieśni, pożegnał pastora przy drzwiach uściskiem dłoni, obiecał, że wróci, i szybko się zmył.

– Więcej wina, John?

To był księgarz. Podsunął butelkę, którą sam przyniósł. Wino nie było najgorsze, ale księgarz wynosił je pod niebiosa, łechtając swoją próżność, i Rebus poczuł się w obowiązku odmówić. Tamten uniósł brwi, lecz szybko się pocieszył, uznając, że będzie mieć więcej dla siebie. Napełnił z wigorem kieliszek.

– Na zdrowie – powiedział.

Rozmowa wróciła do tematu zatłoczonego w ostatnich dniach Edynburga – nareszcie coś, z czym Rebus mógł się zgodzić. Był koniec maja, sezon turystyczny trwał w najlepsze, lecz kryło się za tym coś jeszcze. Gdyby ktoś powiedział mu pięć lat temu, że w 1989 roku ludzie będą emigrować z południa Anglii na północ do Lothians, roześmiałyby się głośno. Teraz stało się to faktem i odpowiednim tematem do konwersacji przy stole.

Później, znacznie później, gdy wykładowczyni i księgarz wyszli, Rebus pomagał Rian w zmywaniu naczyń.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała, ale on myślał tylko o podanej mu przez pastora dłoni i o jego pewnym uścisku, zapewniającym o życiu pozagrobowym.

– Nic – rzucił. – Zostawmy to do rana.

Rian popatrzyła na kuchnię: na brudne naczynia, niedojedzone homary, kieliszki do wina umazane tłuszczem.

– Dobrze – powiedziała. – Więc na co masz ochotę?

Powoli unióśł brwi, po czym je opuścił i jego usta rozszerzyły się w uśmiechu, który miał w sobie odrobinę zawadiactwa.

– Ależ inspektorze – wymruczała onieśmielona. – Czy to niemoralna propozycja?

– A to kolejna. – Gwałtownie przyciągnął Rian, przylgnął do jej ciała i wtulił twarz w jej szyję.

Pisnęła i zaciśniętymi pięściami zaczęła uderzać go w plecy.

– Brutalność policji! – wykrztusiła. – Ratunku! Policja, pomocy!

– Słucham, proszę pani? – powiedział, chwycił ją w talii i wyniósł z kuchni do ciemnej sypialni, która czekała na udany koniec weekendu.

NA PLACU BUDOWY PRZY OBRZEŻACH Edynburga nastał późny wieczór. Kontrakt dotyczył postawienia kompleksu biurowego. Wysoki na pięć metrów płot odgradzał teren budowy od głównej drogi, którą zresztą zbudowano niedawno, by zmniejszyć ruch wokół miasta i ułatwić osobom mieszkającym na przedmieściach dojazd do pracy w centrum.

Tego wieczoru na ulicach nie było samochodów. Jedynym dźwiękiem był powolny warkot wydobywający się z betoniarki, która stała na placu budowy. Mężczyzna karmił ją łopatami szarego piasku i wspominał odległe czasy, kiedy pracował na budowie: harówka była ciężka, ale zapłata ucziwa.

Dwóch innych stało nad głębokim dołem, wlepiając w niego wzrok.

– Powinien wystarczyć – odezwał się jeden z nich.

– Tak – zgodził się drugi.

Ruszyli z powrotem do samochodu, nie najnowszego fioletowego mercedesa.

– On musi mieć układy. Żeby zorganizować klucze do tego miejsca i załatwić sprawę. Na pewno ma układy.

– Nie jesteśmy od zadawania pytań, dobrze o tym wiesz. – Mężczyzna, który to powiedział, najstarszy z ich trójki, jako jedyny był kalwinistą. Otworzył bagażnik.

Wewnątrz leżało sponiewierane ciało nastolatka, wątłego i najwyraźniej martwego. Jego skóra miała różne odcienie szarości, najciemniejsze – grafitowe – tam, gdzie były siniaki.

– Cóż za strata – powiedział kalwinista.

– Tak – zgodził się drugi.

Razem wyjęli zwłoki z bagażnika i delikatnie przenieśli w stronę dołu. Gdy opadały miękko na dno, jedna noga na chwilę zaklinowała się na lepkich glinianych ścianach i nogawka spodni podsunęła się, ukazując nąg kostkę.

– W porządku – rzucił kalwinista do tego z betoniarki – zalej to i chodźmy stąd. Umieram z głodu.

# **PONIEDZIAŁEK**

*Od wielu lat nikt się tu nie zjawiał, by przegonić tych przypadkowych gości czy naprawić poczynione przez nich zniszczenia.*

## NIEZŁY POCZĄTEK TYGODNIA PRACY.

Osiedle, widoczne przez przednią szybę zalaną deszczem, powoli zamieniało się w pustkowie, którym było już wiele lat temu, zanim wprowadzili się tu budowlanci. Nie miał wątpliwości, że w latach sześćdziesiątych władze uznały je za doskonałe rozwiązanie narastających potrzeb mieszkaniowych, podobnie jak ich koledzy z Edynburga, którzy postanowili zagospodarować teren wokół miasta. Zastanawiał się, czy z perspektywy czasu planiści doszli do innych wniosków na ten temat. Jeżeli nie, to być może współczesne „doskonałe” rozwiązania w przyszłości okażą się równie niedoskonałe.

Tereny zielone porastała wysoka trawa z mnóstwem chwastów, a asfaltowe place zabaw dla dzieci wyglądały jak po bombardowaniu, usiane odłamkami szkła, które tylko czekały na kolana potykających się dzieciaków lub niezdarne ręce. Większość budynków szczyliła się zabitymi deskami oknami, popękkanymi rynnami odprowadzającymi na ziemię wodę deszczową oraz bagnistymi ogródkami od frontu z połamanymi płotami i brakującymi bramami. Pomyślał, że w słoneczny dzień to miejsce jest jeszcze bardziej przygnębiające.

Mimo to w odległości kilkuset metrów jakiś deweloper rozpoczął budowę apartamentowców. Nad placem budowy wisiał napis LUKSUSOWE MIESZKANIA, a osiedle nazwano: MUIR VILLAGE. Rebus, który nie dał się nabrać na ten pozorny blichtr, zastanawiał się, ilu nabywców się nabierze. To był tylko Pilmuir i zawsze nim będzie. Wysypiskiem śmieci.

Nie miał wątpliwości, o który dom chodzi. Stały tam dwa radiowozy i karetka pogotowia, zaparkowane obok spalonego forda cortiny. Ale nawet bez tego Rebus poznałby ten dom. Owszem, okna były zabite deskami, podobnie jak w sąsiadujących z nim budynkach, ale miał też otwarte drzwi, za którymi kryło się mroczne wnętrze. A poza tym, czy w taki dzień drzwi byłyby szeroko otwarte, gdyby nie trup w środku i zabobonny lęk przed duchami uwięzionych wraz z nieboszczykiem żyjących?

Rebus zaklął pod nosem, bo nie mógł zaparkować tak blisko drzwi, jak by sobie tego życzył. Zatrzymał samochód, zarzucił na głowę płaszcz przeciwdeszczowy, wysiadł i zaczął się przedzierać przez dżgający drobnymi szpilkami deszcz. Coś wypadło mu z kieszeni na pobocze, strzępek papieru, ale i tak go podniósł i w biegu wsunął z powrotem. Betonowa ścieżka prowadząca do otwartych drzwi była popękana i śliska od chwastów; niemal poślizgnął się i upadł, ale dotarł do progu nienaruszony. Strząsnął z siebie wodę i czekał na komitet powitalny.

Posterunkowy wystawił głowę zza drzwi i zmarszczył czoło.

- Detektyw inspektor Rebus – przedstawił się Rebus.
- Tutaj, panie inspektorze.
- Będę za minutę.

Głowa zniknęła, a Rebus rozejrzał się po wnętrzu. Jedyłą pamiątką po tym, co kiedyś nazywano domem, były strzępy tapet. W powietrzu unosił się obezwładniający zapach wilgotnego tynku i gnijącego drewna, a za tym wszystkim kryło się poczucie, że to bardziej jaskinia niż dom, prymitywna forma schronienia, tymczasowa, przez nikogo niekochana.

Gdy wchodził dalej w głąb domu, mijając pustą klatkę schodową, ogarnęła go ciemność – wszystkie ramy okienne były zabite deskami, które odcinały dopływ światła. Przypuszczał, że w ten sposób zamierzano pozbyć się dzikich lokatorów, ale armia bezdomnych Edynburga była zbyt wielka i zbyt



sprytna, więc squatersi przekradli się do środka przez prowizoryczną konstrukcję i zrobili z budynku swoją norę. I jeden z nich tu zginął.

Pomieszczenie, do którego wszedł, było zaskakująco duże, ale niskie. Żeby oświetlić miejsce zbrodni, dwóch posterunkowych trzymało grube, gumowe latarki, które rzucały ruchome cienie na gipsowo-kartonowe ściany. W efekcie powstał obraz Caravaggia – światło w centrum otoczone różnymi stopniami mroku. Dwie duże świece stojące na gołych deskach podłogi wypaliły się tak, że przypominały jajka sadzone, a między nimi leżało ciało – ze złączonymi nogami i rozpostartymi ramionami. Krzyż bez gwoździ, mężczyzna nagi od pasa w górę. W pobliżu ciała stało szklane naczynie, które kiedyś zawierało niewinną kawę rozpuszczalną, a teraz były w nim jednorazowe strzykawkki. Pewnie zabrakło gwoździ, pomyślał Rebus i uśmiechnął się nie bez poczucia winy.

Lekarz policyjny, chudy biedaczyna, klęczał obok ciała, jakby zamierzał udzielić zmarłemu ostatniego namaszczenia. Stojący pod przeciwległą ścianą fotograf przygotowywał sprzęt do zrobienia dobrych zdjęć. Rebus podszedł do zwłok i stanął nad lekarzem.

– Podaj latarkę – powiedział, wyciągając rękę do najbliższego stojącego mundurowego. Oświetlił ciało, zaczynając od bosych stóp, przez gołe nogi, po wychudzony tors i żebra prześwietlające przez bladą skórę. Następnie skierował snop światła na szyję i twarz. Usta otwarte, oczy zamknięte. Zasnęty pot na czole i we włosach. Ale zaraz... Skąd wzięła się wilgoć na wargach i wokół nich? Nagle do otwartych ust wpadła kropla wody. Zaskoczony Rebus liczył na to, że mężczyzna ją przełknie, obliże spierzchnięte wargi i wróci do życia. Pobożne życzenie.

– Dach przecieka – wyjaśnił lekarz, nie odrywając wzroku od wykonywanej pracy.

Rebus poświecił latarką w sufit i dostrzegł wilgotną plamę, źródło kapiącej wody. Mimo wszystko niepokojące.

– Przepraszam, że tak późno dotarłem – powiedział, starając się zachować opanowanie. – Co było przyczyną śmierci?

– Przedawkowanie – odparł beznamiętnie lekarz. – Heroina. – Machnął w stronę Rebusa małą polietylenową paczuszką. – Zawartość tej saszetki, jeśli się nie mylę. W prawej ręce ma jeszcze jedną, pełną.

Rebus skierował latarkę w stronę pozbawionej życia dłoni, która lekko ścisnęła woreczek z białym proszkiem.

– Na to wygląda – rzucił. – Myślałem, że w dzisiejszych czasach ludzie nie wstrzykują już proszku, tylko go wciągają.

Lekarz w końcu na niego spojrział.

– To bardzo naiwny pogląd, inspektorze. Proszę porozmawiać z lekarzami ze Szpitala Królewskiego. Dowie się pan, jak wielu uzależnionych w Edynburgu przyjmuje narkotyki dożylnie. Prawdopodobnie setki. Dlatego też jesteśmy stolicą AIDS w Wielkiej Brytanii.

– Taaak, jesteśmy dumni z naszych statystyk, prawda? Choroby serca, sztuczne zęby, a teraz AIDS.

Lekarz się uśmiechnął.

– Jest coś, co może pana zainteresować – powiedział. – Na ciele widać siniaki. Niezbyt wyraźnie w tym świetle, ale są.

Rebus przykucnął i ponownie poświecił latarką na tors. Zgadza się, były siniaki. Dużo siniaków.

– Głównie na żebrach – dodał lekarz. – Ale jest też kilka na twarzy.

– Może upadł – zasugerował Rebus.

– Może.

– Panie inspektorze? – odezwał się jeden z posterunkowych, chłopak o przenikliwym głosie i spojrzeniu.

– Tak, synu?

– Proszę podejść i spojrzeć na to.

Rebus był zadowolony z pretekstu, żeby oddalić się od lekarza i jego „pacjenta”. Mundurowy poprowadził go do przeciwniejszej ściany, po drodze oświetlając ją latarką. I Rebus zrozumiał dlaczego.

Na ścianie znajdował się rysunek. Pięcioramienna gwiazda otoczona dwoma okręgami, z których większy miał około metra pięćdziesięciu średnicy. Całość została narysowana bardzo dokładnie – ramiona gwiazdy proste, kręgi niemal idealne. Reszta ściany była pusta.

– Co pan o tym sądzi? – zapytał posterunkowy.

– Hm... Nie jest to zwykłe graffiti, to na pewno.

– Magia?

– Albo astrologia. Wielu narkomanów zajmuje się wszelkiego rodzaju mistycyzmem i innymi bzdurami, co zresztą pasuje do atmosfery tego miejsca.

– Te świece...

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, synu. W ten sposób nie dostaniesz się do wydziału dochodzeniowego. Powiedz mi, dlaczego korzystamy tu wszyscy z latarek?

– Odcięli prąd.

– Zgadza się. A więc potrzebowali świec.

– Skoro tak pan uważa, panie inspektorze...

– Właśnie tak uważam. Kto znalazł ciało?

– Ja. Było zgłoszenie, anonimowe. Dzwoniła jakaś kobieta, pewnie lokatorka. Wygląda na to, że pozostali wynieśli się w pośpiechu.

– Więc nikogo tu nie było, kiedy przyjechałeś?

– Nie, panie inspektorze.

– Domyślasz się, kto to może być? – Rebus wskazał latarką zwłoki.

– Nie, panie inspektorze. A pozostałe domy to też squaty, więc wątpię, żeby mieszkańcy coś wiedzieli.

– Wręcz przeciwnie. Jeśli ktoś zna tożsamość zmarłego, to właśnie ci ludzie. Weź kolegę i zapukajcie do ich drzwi. Zachowujcie się swobodnie, żeby nie pomyśleli, że chcecie ich eksmitować lub coś w tym stylu.

– Tak jest. – Mundurowy wyraźnie nie miał ochoty wychodzić. Po pierwsze, pewnie nie wiedział, jak wypytwać ludzi. Po drugie, wciąż padał ulewny deszcz.

– Ruszaj – ponaglił go Rebus, ale niezbyt ostro.

Chłopak oddalił się, zabierając po drodze kolegę.

Rebus podszedł do fotografa.

– Robi pan dużo zdjęć – zauważył.

– Przy takim świetle trzeba trochę napstrykać, żeby coś z tego wyszło.

– Szybko pan tu przyjechał, zgadza się?

– Rozkaz komendanta Watsona. Chce fotorelacji ze wszystkich incydentów związanych z narkotykami. To część jego kampanii.

– Makabryczne życzenie, nie sądzi pan? – Rebus poznał już nowego komendanta. Świadomy społecznie, zaangażowany w lokalne życie. Pełen dobrych pomysłów, tyle że do ich realizacji brakowało ludzi. Rebusowi coś przyszło do głowy. – Skoro już tu pan jest, proszę zrobić parę zdjęć tej ściany, dobrze?

– Nie ma sprawy.

– Dzięki – rzucił Rebus, po czym zwrócił się do lekarza: – Jak szybko się dowiemy, co jest w tej pełnej szaszetce?

– Jeszcze dziś, najpóźniej jutro rano.

Pokiwał głową. Dlaczego to go zainteresowało? Może sprawił to pośpny dzień, może atmosfera panująca w tym domu albo dziwaczne ułożenie ciała. Wiedział tylko, że coś poczuł. Jeśli się okaże, że to nie intuicja gliniarza, ale stłumiony ból w kościach, to cóż, trudno. Wyszedł z pomieszczenia i zrobił obchód po reszcie domu.

Prawdziwy horror znalazł w łazience.

Muszla sedesowa musiała zatkać się kilka tygodni wcześniej. Na podłodze leżał przepychacz, więc najwyraźniej podjęto jakąś próbę odblokowania przepływu – bezskutecznie. Zachlapany zlew służył za pisuar, a wanna za składowisko ekskrementów, po którym pełzało kilkanaście dużych, czarnych jak smoła much, i za kontener wypełniony workami z odpadkami i kawałkami drewna... Rebus bez wahania opuścił to miejsce i zatrzasnął za sobą drzwi. Nie zazdrościł robotnikom miejskim, którzy będą musieli tu w końcu przyjechać i uporządkować tę gnijącą norę.

Jedna sypialnia była zupełnie pusta, a w drugiej leżał śpiwór wilgotny od kapiącej przez dach wody. To pomieszczenie miało jakąś tożsamość dzięki przypiętym do ścian zdjęciom. Rebus przyjrzał się z bliska i zauważył, że są to oryginalne fotografie, które mogły stanowić rodzaj portfolio. Z pewnością zostały dobrze zrobione, co rozpoznało nawet jego niewprawne oko. Kilka przedstawiało zamek w Edynburgu w mgliste dni, kiedy prezentował się szczególnie ponuro. Inne ukazywały go w pełnym słońcu – nadal wyglądał ponuro. Na paru była dziewczyna w bliżej nieokreślonym wieku. Pozowała, ale sądząc po szerokim uśmiechu, nie traktowała roli modelki poważnie.

Obok śpiwora leżał pojemnik na śmieci do połowy wypełniony ubraniami, a obok niego mała sterta książek w miękkiej oprawie z oślimi uszami: Harlan Ellison, Clive Barker, Ramsey Campbell. Science fiction i horror. Rebus zostawił je tam, gdzie były, i wrócił na miejsce zbrodni.

– Zrobione – powiedział fotograf. – Jutro dostarczę panu te zdjęcia.

– Dzięki.

– A tak przy okazji, robię też sesje portretowe. Fajna rodzinna fotografia dla dziadków? Pamiątka dla synów i córek? Proszę wziąć moją wizytówkę.

Rebus przyjął ją, włożył płaszcz przeciwdeszczowy, wyszedł z domu i ruszył do samochodu. Nie lubił zdjęć, zwłaszcza tych robionych jemu. Nie chodziło nawet o to, że źle na nich wypadają. Nie, było w tym coś więcej.

Podstępne podejrzenie, że zdjęcia naprawdę mogą ukraść ci duszę.

W DRODZE POWROTNEJ NA KOMENDĘ, gdy jechał w niewielkim popołudniowym korku, Rebus zastanawiał się, jak wyglądałoby jego rodzinne zdjęcie z żoną i córką. Nie, nie potrafił sobie tego wyobrazić; za bardzo się od siebie oddalili, odkąd Rhona zabrała Samanthę do Londynu. Samy nadal

do niego pisała, ale nie odpowiadał zbyt szybko, więc listy od urażonej córki przychodziły coraz rzadziej.

W ostatnim wyraziła nadzieję, że on i Gill są szczęśliwi. Nie odważył się napisać jej, że Gill Templer zostawiła go kilka miesięcy temu. Właściwie to nie miał nic przeciwko poinformowaniu o tym Samantha, lecz nie potrafił znieść myśli, że prawdę mogłaby poznać Rhona. Kolejny niewypał na polu jego nieudanych związków, Gill związała się z didżejem z lokalnej stacji radiowej, człowiekiem, którego entuzjastyczny głos Rebus słyszał za każdym razem, gdy wchodził do sklepu, na stację benzynową lub mijał otwarte okno w którejś z kamienic.

Oczywiście nadal widywał Gill kilka razy w tygodniu, na zebraniach na komendzie, a także na miejscach zbrodni. Zwłaszcza teraz, gdy zrównał się z nią rangą.

Detektyw inspektor John Rebus.

No cóż, wystarczająco długo czekał na awans, a zawdzięczał go długiej i zawiłej sprawie, okupionej osobistym cierpieniem. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości.

Nie miał też wątpliwości, że nie spotka się już więcej z Rian. Nie po wczorajszej kolacji, nie po dość nieudolnej próbie okazywania jej czułości. Kolejnej nieudanej próbie stworzenia relacji. Gdy leżał obok niej, uderzyło go to, że jej oczy są niemal identyczne jak oczy inspektor Gill Templer. Czyżby miała mu ją zastąpić? Nie, z pewnością to już nie wiek na takie sentymenty.

– Starzejesz się, John – powiedział do siebie.

Zaczął odczuwać głód, a tuż za skrzyżowaniem była knajpa. A co tam, do cholery, miał prawo zrobić sobie przerwę na lunch.

W BARZE SUTHERLAND PANOWAŁA CISZA, bo poniedziałkowa pora lunchu była jednym z najsłabszych dla handlu momentów tygodnia. Pieniądze zostały wydane i brakowało rozrywek. I oczywiście, jak szybko przypomniał Rebusowi barman, Sutherland nie celował w klientelę wygłodniałą o tej porze.

– Żadnych gorących posiłków – powiedział. – I żadnych kanapek.

– To może pasztecika, cokolwiek, byle nie pić piwa na czczo – błagał Rebus.

– Jeśli chce pan coś zjeść, w okolicy jest mnóstwo kawiarni. Ten pub serwuje piwa i alkohole wysokoprocentowe, to nie bar szybkiej obsługi.

– Więc może chociaż chipsy?

Barman przyglądał mu się przez chwilę.

– Jaki smak?

– Serowo-cebulowe.

– Skończyły się.

– No to solone.

– Nie ma, sprzedane. – Barman wydawał się rozbawiony.

– Cholera – rzucił Rebus z rosnącą frustracją. – To co pan ma, na Boga?

– Dwa smaki. Curry albo jajka na bekonie z pomidorami.

– Jajka? – Rebus westchnął ciężko. – W porządku, niech pan da po paczce obu.

Barman schylił się pod ladą, żeby znaleźć najmniejsze możliwe opakowania z przekroczonym terminem przydatności do spożycia.

– Jakies orzeszki? – Rebus desperacko wykrzesał z siebie resztki nadziei.

Barman spojrział w górę.

– Prażone bez tłuszczu, sól i ocet, i chilli.

– Mogą być – powiedział Rebus, zupełnie zrezygnowany. – I jeszcze raz pół litra ale.

Kończył właśnie drugie piwo, gdy drzwi pubu uchyliły się z piskiem i do środka wszedł mężczyzna o rozpoznawalnej sylwetce. Dał gestem znać, że chce się napić, zanim jeszcze znalazł się w połowie drogi do baru. Zauważył Rebusa, uśmiechnął się i usiadł obok niego na jednym z wysokich stołków.

– Czołem, John.

– Dzień dobry, Tony.

Inspektor Anthony McCall usiłował utrzymać równowagę na niewielkim okrągłym siedzisku stołka barowego, ale rozmyślił się i stanął, opierając łokcie na świeżo wytartym blacie. Wlepił wygłodniały wzrok w przekąski Rebusa.

– Daj paczkę.

Kiedy Rebus mu ją podsunął, wyciągnął garść chipsów i wepchnął do ust.

– Gdzie byłeś dziś rano? – zapytał Rebus. – Miałeś wezwanie, musiałem jechać za ciebie.

– Ta sprawa w Pilmuir? Ach, wybacz, John. Miałem długą noc i straszego kaca od rana. – Barman postawił przed nim mętne piwo. – Potrzebny mi klin. – Po czterech długich łykach w szklance została jedna czwarta zawartości.

– W porządku – rzucił Rebus. – I tak nie miałem nic lepszego do roboty. – Rebus pociągnął łyk. – Chryste, te domy to straszne rudery.

McCall, zamyślony, skinął głową.

– Nie zawsze tak było, John. Ja się tam urodziłem.

– Poważnie?

– Właściwie to urodziłem się na osiedlu, które stało tam wcześniej. Warunki były tak kiepskie, że domy zrównali z ziemią i na ich miejsce wybudowali Pilmuir. Teraz jest to cholerne piekło na ziemi.

– Zabawne, że to mówisz. Jeden z młodych mundurowych uznał, że ta sprawa może mieć jakiś związek z okultyzmem.

McCall podniósł wzrok znad szklanki.

– Na ścianie był narysowany jakiś symbol rodem z czarnej magii – wyjaśnił Rebus. – A na podłodze stały świece.

– Składają tam ofiary? – zapytał McCall, chichocząc. – Moja żona uwielbia horrory. Przynosi z wypożyczalni kasety wideo. Przypuszczam, że wysiaduje przed telewizorem i ogląda je całymi dniami, kiedy mnie nie ma.

– Poważnie myślę, że może chodzić o satanizm albo jakieś czary. To wszystko nie może być tylko wymysłem pismaków z brukowej prasy.

– Wiem, jak możesz to sprawdzić.

– Jak?

– Na uniwersytecie – powiedział McCall.

Rebus zmarszczył brwi.

– Mówię serio – rzucił McCall. – Mają wydział, który bada duchy i tego typu rzeczy. Założyli go za kasę jakiegoś zmarłego pisarza. – Pokręcił głową. – Niewiarygodne, co ludziom może wpaść do głowy.

– Czytałem o tym. Chodzi o majątek Arthura Koestlera, tak?

McCall wzruszył ramionami.

– Stawiam raczej na Arthura Daleya – powiedział i opróżnił szklankę.

REBUS PRZEGLĄDAŁ STERTĘ PAPIERÓW NA BIURKU, kiedy zadzwonił telefon.

– Detektyw inspektor Rebus.

– Powiedzieli mi, że... mam z panem... porozmawiać.

Głos był młody, kobiecy i pełen bliżej nieukierunkowanej podejrzliwości.

– Prawdopodobnie mieli rację. Co mogę dla pani zrobić, panno...?

– Tracy... – Ostatnią sylabę wypowiedziała szeptem, co nie powinno dziwić, bo przecież podstępem została zmuszona do ujawnienia się. – Nieważne, kim jestem! – Nagle wpadła w histerię, ale równie szybko się uspokoiła. – Dzwonię w sprawie mieszkania w Pilmuir, tego, w którym znaleźli... – Zamilkła.

– Ach, tak. – Rebus zostawił papiery i skupił się na rozmowie. – Czy to ty dzwoniłaś wcześniej na policję?

– Co?

– I to ty poinformowałaś nas, że ktoś umarł?

– Aaa... tak, to byłam ja. Biedny Ronnie.

– Ronnie to zmarły? – Rebus nabazgrał imię na odwrocie jednego z dokumentów leżących na tacce na korespondencję. Obok dopisał: *Dzwoniła Tracy*.

– Tak. – Głos znów jej się załamał i po chwili przerodził w szloch.

– Czy możesz mi podać nazwisko Ronniego?

– Nie. – Zawiesiła głos. – Tak naprawdę niewiele o nim wiedziałam. Nie jestem nawet pewna, czy Ronnie to jego prawdziwe imię. Mało kto używa tam prawdziwego imienia.

– Tracy, chciałbym porozmawiać z tobą o Ronniem – oznajmił ciepło Rebus. – Możemy to zrobić przez telefon, ale wolałbym twarzą w twarz. Nie martw się, nie będziesz miała problemów...

– Już je mam. Dlatego zadzwoniłam. Ronnie mi powiedział... widzi pan...

– Co ci powiedział, Tracy?

– Powiedział, że został zamordowany.

Pokój wokół Rebusa zaczął wirować i zniknąć. Był tylko ten roztrzęsiony głos, telefon i on.

– Ronnie ci to powiedział, Tracy?

– Tak. – Płakała, przełykając łzy, których Rebus nie widział. Wyobraził sobie małą przerażoną dziewczynkę, wychodzącą ze szkoły i biegnącą do oddalonej od komendy budki telefonicznej. – Muszę się schować – powiedziała w końcu. – Ronnie ciągle krzyczał, że powinnam się schować.

– Czy mam przyjechać po ciebie samochodem? Powiedz mi, gdzie jesteś, a zaraz tam będę.

– Nie!

– Dobrze, więc powiedz mi, jak zginął Ronnie. Wiesz, gdzie go znaleźliśmy?

– Tak... Leżał na podłodze przy oknie. Tam właśnie był.

– Hm... Niekoniecznie.

– O tak, tam właśnie był. Przy oknie. Leżał zwinęty w kłębek. Myślałam, że po prostu śpi. Ale kiedy dotknęłam jego ramienia, był taki zimny... Pobiegłam szukać Charliego, ale nigdzie go nie było, więc spanikowałam.

– Mówisz, że Ronnie leżał zwinięty w kłębek? – Rebus zaczął rysować ołówkiem okręgi na odwrocie akt.

– Tak.

– W salonie?

Wydawała się zdezorientowana.

– Co? Nie, nie w salonie. Był na górze, w swoim pokoju.

– Rozumiem. – Rebus nie przestawał rysować bezwiednie okręgów. Próbował sobie wyobrazić chłopaka umierającego, ale nie do końca martwego, czołgającego się po schodach po ucieczce Tracy, żeby wyzionąć ducha w salonie. To wyjaśniałoby te siniaki. Ale... Świece... Był tak idealnie między nimi ułożony... – Kiedy to było?

– Wczoraj późno w nocy, nie wiem dokładnie kiedy. Wystraszyłam się na śmierć. Jak się uspokoiłam, zadzwoniłam na policję.

– O której dzwoniłaś?

Tracy zamilkła na chwilę i zastanowiła się.

– Około siódmej, dziś rano.

– Mogłabyś opowiedzieć o tym komuś innemu?

– Ale dlaczego?

– Wyjaśnię ci to, kiedy cię odbiorę. Powiedz mi tylko, gdzie jesteś.

Nastąpiła kolejna pauza; Tracy zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Wróciłam do Pilmuir – odezwała się w końcu. – Wprowadziłam się do innego squatu.

– No cóż... Naprawdę nie chcesz, żebym tam przyjechał, prawda? Ale musisz być dość blisko Shore Road. Co powiesz na to, żebyśmy się tam spotkali?

– No... nie wiem...

– Jest taki pub Dock Leaf. – Rebus nie dawał jej czasu na dyskusję. – Wiesz, gdzie to jest?

– Kilka razy mnie z niego wyrzucili.

– Mnie też. Dobrze, spotkamy się przed nim za godzinę. W porządku?

– W porządku. – Nie brzmiała zbyt entuzjastycznie. Rebus zastanawiał się, czy dotrzyma słowa i stawi się na czas. Sprawiała wrażenie szczerzej, ale mogła być tylko kolejną ofiarą, która wymyśliła tę historię, żeby zwrócić na siebie uwagę i ubarwić nieco swoje nieciekawe życie.

Ale przecież miał instynkt gliniarza.

– W porządku – powtórzyła. Połączenie zostało przerwane.

SHORE ROAD, DROGA SZYBKIEGO RUCHU, biegła wzdłuż północnego wybrzeża miasta. Fabryki, magazyny i ogromne sklepy z artykułami do majsterkowania i wyposażeniem wewnątrz były jej punktami orientacyjnymi, a dalej leżała spokojna, szara zatoka Firth of Forth. W większość dni w oddali widać było wybrzeże Fife, ale nie dziś, kiedy nisko nad wodą wisiała zimna mgła. Po drugiej stronie drogi koło magazynów stały kamienice, czteropiętrowe poprzedniczki betonowych wieżowców. Było tu kilka narożnych sklepików, przy których sąsiad spotykał sąsiada i przekazywano sobie informacje, oraz kilka niezmodernizowanych małych pubów, gdzie obcy nie pozostawali długo niezauważeni.

Dock Leaf pozbył się jednego pokolenia klienteli – pijaczków z nizin społecznych – i otworzył swoje podwoje przed kolejnym. Jego bywalcy byli teraz młodzi, ale głównie bezrobotni. Wynajmowali w sześć osób trzypokojowe mieszkania przy Shore Road. Drobna przestępczość nie stwarzała tu jednak

problemów, bo nie kalano własnego gniazda; w dzielnicy obowiązywały nadal stare wartości wspólnotowe.

Rebus zjawił się wcześniej na spotkanie i miał czas na wypicie przy barze pół litra piwa, taniego i nijakiego. Klienci chyba wiedzieli, że jest glina, bo ich głosy obniżyły się do szeptów, a oczy skierowały w inną stronę. Kiedy o piętnastej trzydzieści wyszedł na zewnątrz, musiał zmrużyć oczy, ponieważ nagle wyszło słońce.

– Czy pan jest policjantem?

– Owszem, Tracy.

Stała oparta o ścianę pubu. Przesłonił ręką oczy, próbując się jej przyjrzeć, i ze zdziwieniem stwierdził, że patrzy na kobietę w wieku od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat. Twarz ewidentnie zdradzała jej wiek, ale jej styl wskazywał na to, że jest odwieczną buntowniczką: krótko ostrzyżone, utlenione włosy, dwa kolczyki w lewym uchu (ale żadnego w prawym), batikowa koszulka, obcisłe, wyblakłe dzinsy i czerwone buty do koszykówki. Była wysoka, wzrostu Rebusa. Gdy jego źrenice dostosowały się do światła, zobaczył ślady łez na policzkach dziewczyny i stare blizny po trądziku, ale wokół oczu miała kurze łapki, dowód na to, że życie nie żałowało jej śmiechu. W oliwkowozielonym spojrzeniu nie było jednak radości. W którymś momencie życia los zesłał ją na złą drogę i Rebus odniósł wrażenie, że ta młoda kobieta wciąż próbuje zawrócić do rozwidlenia dróg.

Ostatnim razem, kiedy ją widział, śmiała się. Radośnie spoglądała na niego ze swojej podobizny na ścianie w pokoju Ronniego – to ona była dziewczyną z fotografii.

– Czy Tracy to twoje prawdziwe imię?

– Tak jakby.

Ruszyli. Weszła na przejście dla pieszych, nie zwracając sobie głowy sprawdzeniem, czy nie nadjeżdża jakiś samochód. Rebus podążył za nią do murku, przy którym zatrzymała się i wlepiła wzrok w zatokę. Objęła rękami ramiona i zapatrzyła się w unoszącą się mgłę.

– To moje drugie imię – powiedziała.

Rebus oparł łokcie na murku.

– Jak długo znałeś Ronniego?

– Trzy miesiące. Tyle czasu spędziłam w Pilmuir.

– Kto jeszcze mieszkał w tym domu?

Wzruszyła ramionami.

– Przychodzili i odchodzili. Byliśmy tam dopiero od kilku tygodni. Czasem, kiedy schodziłam rano na dół, na podłodze spało kilkoro obcych. Nikomu to nie przeszkadzało, byliśmy jak jedna wielka rodzina.

– Dlaczego uważasz, że ktoś zabił Ronniego?

Odwróciła się do niego ze złością, ale jej oczy były wilgotne.

– Mówiłam panu przez telefon! Powiedział mi. Wyszedł gdzieś i wrócił z jakimś towarem. Ale nie wyglądał dobrze. Zazwyczaj, gdy dostawał prochy, zachowywał się jak dziecko w Boże Narodzenie. Ale nie tym razem. Był przerażony, chodził jak jakiś robot. Mówił mi, żebym się schowała, że idą po niego.

– Kto po niego szedł?

– Nie wiem.

– Czy wcześniej coś zażył?



– Nie, i właśnie to jest cholernie dziwne. Powiedział mi to, zanim wziął działkę, bo w ręce miał jeszcze pełną torebkę. Wypchnął mnie za drzwi.

– Nie było cię przy nim, kiedy dawał sobie w żyłę?

– Boże, nie. Nienawidziłam na to patrzeć. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Nie jestem ćpunką. To znaczy... trochę pałę, ale nigdy... No wie pan...

– Zauważyłaś u Ronniego coś jeszcze?

– Na przykład co?

– W jakim był stanie, jak wyglądał.

– Ma pan na myśli siniaki czy coś takiego?

– Tak.

– Często wracał poobijany. Nie żalił się.

– Czyli wdawał się w bójkę, tak? Był wybuchowy?

– Nie wobec mnie.

Włożył ręce do kieszeni. Od strony wody wiał chłodny wiatr. Rebus zastanawiał się, czy dziewczynie nie jest za zimno. Nie mógł nie zauważyć, że brodawki jej piersi bardzo się odznaczały na bawełnianej koszulce.

– Chcesz moją marynarkę? – zapytał.

– Tylko jeśli jest w niej portfel – powiedziała i jej twarz od razu rozchmurzył uśmiech.

Odwzajemnił go i zaproponował jej papierosa. Sam nie zapalił – z dziennej racji zostały mu tylko trzy, a wieczór dopiero nadchodził.

– Czy wiesz, kto był dilerem Ronniego? – zapytał swobodnie, pomagając jej podpalić papierosa.

Wtulona w jego rozpiętą marynarkę, z drżącą zapalniczką w dłoni, pokręciła głową. Po chwili wiatrochron z dłoni Rebusa zadziałał i dziewczyna przyssała się mocno do filtra.

– Nigdy tak naprawdę nie wiedziałam – powiedziała. – O tym też nie mówił.

– A o czym mówił?

Pogrążyła się w myślach, a potem znów uśmiechnęła.

– Właściwie to nie był zbyt rozmowny... teraz tak sobie myślę, gdy pan o tym wspominał. Lubiłam to w nim. Zawsze miałam wrażenie, że skrywa jakąś tajemnicę, do której nikogo nie dopuszcza.

– Na przykład jaką?

Wzruszyła ramionami.

– To mogło być wszystko... albo nic.

Rozmowa z tą dziewczyną była o wiele trudniejsza, niż się spodziewał, a powoli zaczynał odczuwać coraz dokuczliwszy chłód. Nadszedł czas, żeby przyspieszyć przesłuchanie.

– Leżał w swoim pokoju, kiedy go znalazłaś?

– Tak.

– A mieszkanie było wtedy puste?

– Tak. Wcześniej widziałam tam kilka osób, ale wszystkie zniknęły. W pokoju Ronniego był jakiś chłopak, ale go nie znam. Potem przyszedł Charlie.

– Wspomniałaś o nim przez telefon.

– Tak. Kiedy znalazłam Ronniego, zaczęłam szukać Charliego. Zazwyczaj jest gdzieś w pobliżu, w innym squacie albo na mieście, gdzie czasem żebrze. Chryste... to dziwny facet.

– W jakim sensie?

– Nie widział pan, co jest na ścianie w salonie?  
– Chodzi ci o gwiazdę?  
– Tak, to Charlie ją namalował.  
– A więc interesuje się okultyzmem?  
– I to jak! Ma fioła na tym punkcie.  
– Czy Ronnie też się tym zajmował?  
– Ronnie? Jezu, nie. On nie mógł nawet znieść oglądania horrorów. Przeraziła go.  
– Ale przecież miał w pokoju powieści grozy.  
– Charlie mu je dał, próbował go tym zainteresować. Od tych horrorów Ronnie miał potem jeszcze więcej koszmarów, a przez to brał jeszcze więcej dragów.  
– Jak finansował swoje uzależnienie? – Rebus dostrzegł małą łódkę wylaniającą się z mgły. Coś wypadło z niej do wody, ale nie potrafił określić, co to było.  
– Nie byłam jego księgową.  
– A kto był?  
Łódź powoli zataczała łuk, kierując się na zachód ku miasteczku Queensferry.  
– Nikt nie chce wiedzieć, skąd pochodzą pieniądze, taka jest prawda. Wiedza czyni cię współwinnym, prawda?  
– To zależy. – Rebus zadrżał.  
– Ja nie chciałam tego wiedzieć. Kiedy próbował o tym rozmawiać, zatykałam uszy.  
– Więc w ogóle nie miał pracy?  
– Nie wiem. Kiedyś mówił, że był fotografem. Właśnie tym się zajął po ukończeniu szkoły. To była jedyna rzecz, której nigdy nie zastawił, nie zmusiło go do tego nawet uzależnienie.  
Rebus nie do końca rozumiał.  
– Jaka rzecz? – spytał.  
– Jego aparat. Kosztował go małą fortunę, wydał na niego każdy oszczędzony pens z zasiłków.  
Zasiłek – to już jakiś konkret. Rebus miał jednak pewność, że w sypialni Ronniego nie było aparatu fotograficznego. Należało więc do listy dorzucić rabunek.  
– Tracy, będę potrzebował twojego zeznania na piśmie.  
Od razu nabrała podejrzeń.  
– Po co?  
– Po to, żebyśmy mogli wszcząć dochodzenie w sprawie śmierci Ronniego. Możesz to dla mnie zrobić?

Minęło sporo czasu, zanim ostatecznie wyraziła zgodę. Łódź zniknęła. Nic po niej nie zostało, jedynie woda. Rebus położył delikatnie dłoń na ramieniu dziewczyny.  
– Dzięki – powiedział. – Zaparkowałem samochód po tamtej stronie.

KIEDY ZŁOŻYŁA ZEZNANIA, Rebus nalegał na odwiezienie jej do domu, lecz choć znał już jej adres, wysiadła kilka przecznic wcześniej.

– Nie obiecuję, że zostanę tu na kolejne dziesięć lat – powiedziała.

To nie miało znaczenia. Podał jej numery telefonów do pracy i do domu. Był pewien, że pozostaną w kontakcie.

– Jeszcze jedno – wtrącił, gdy zamykała drzwi samochodu. – Ronnie krzyczał: „Oni nadchodzą”. Jak sądzisz, kogo mógł mieć na myśli?

Wzruszyła ramionami, a potem zamarła, przypominając sobie tę scenę.

– Był naćpany, inspektorze. Może chodziło mu o żmije i pająki?

Tak, pomyślał Rebus, kiedy zamknęła drzwi i uruchomił silnik. Może chodziło o żmije i pająki, które dostarczały mu towar.

Po powrocie na komendę przy Greater London Road Rebus otrzymał wiadomość, że chce się z nim widzieć komendant Watson. Rebus wykręcił numer do biura przełożonego.

– Chciałbym teraz przyjść, jeśli nic nie stoi na przeszkodzie.

Sekretarka sprawdziła dyspozycyjność szefa i potwierdziła wizytę.

Rebus zetknął się z Watsonem przy wielu okazjach, odkąd przybył z dalekiej północy do Edynburga, by objąć stanowisko komendanta. Wydawał się rozsądnym człowiekiem, choć według niektórych nieco nieokrzesanym, niczym typowy chłop ze wsi. Na Greater London Road krążyło już wiele dowcipów na temat jego pochodzenia z Aberdeen, w rezultacie których komendant zyskał przydomek Farmer Watson.

– Wejdz, John, wejdz.

Watson wstał na sekundę zza biurka, żeby wskazać mu krzesło. Rebus zauważył, że blat jest starannie uporządkowany, a akta są skrupulatnie ułożone na dwóch tacach, tak że przed komendantem leżały jedynie dwa naostrzone ołówki i gruba nowiuteńka teczka. Po jednej stronie teczki stało zdjęcie przedstawiające dwoje małych dzieci.

– Moje dzieciaki – wyjaśnił Watson. – Urosły od tamtej pory, ale to wciąż małe łobuzy.

Watson był dużym mężczyzną; jego posturę z okazałym obwodem ciała najtrafniej oddawało określenie „baryłkowaty”. Twarz miał rumianą, włosy cienkie, siwe na skroniach. O tak, Rebus potrafił go sobie wyobrazić w kaloszach i kapeluszu wędkarskim, jak człapie ociężałe przez wrzosowisko z posłusznym collie u boku. Ale czego właściwie komendant od niego chciał? Szukał posłusznego szkockiego owczarka w ludzkiej skórze?

– Byłeś dziś rano na miejscu przedawkowania narkotyków. – Watson stwierdził fakt, więc Rebus nie zadał sobie trudu, by mu odpowiedzieć. – Sprawą miał się zająć inspektor McCall, ale był... no... gdzieś tam był.

– To dobry glina, panie komendancie.

Watson spojrział na niego i uśmiechnął się.

– Kwalifikacje inspektora McCalla nie są kwestionowane. Nie dlatego tu jesteś. Ale twoja obecność na miejscu zdarzenia podsunęła mi pewien pomysł. Pewnie doszły cię słuchy, że interesuję się problemem narkotyków w mieście. Prawdę mówiąc, statystyki mnie przerażają. Nie spotkałem się z taką skalą zjawiska w Aberdeen, z wyjątkiem środowiska pracowników przemysłu naftowego. Ale wtedy była to głównie kadra kierownicza, która przyleciała ze Stanów Zjednoczonych. Przywieźli ze sobą swoje nawyki. Ale tutaj... – Otworzył teczkę i zaczął przeglądać kartki. – Tutaj, inspektorze, jest Hades. Mówiąc krótko.

– Tak jest, panie komendancie.

– Czy jesteś człowiekiem religijnym?

– Słucham? – Rebus zaczął się wiercić niespokojnie na krześle.

– To chyba dość proste pytanie? Chodzisz do kościoła?

– Nieregularnie. Ale czasami owszem. – Na przykład wczoraj, pomyślał Rebus. I znów poczuł impuls, by uciec z mszy.

– Ktoś mi powiedział, że chodzisz. Powinieneś więc wiedzieć, co mam na myśli, gdy mówię, że miasto zamienia się w Hades. – Twarz Watsona jeszcze bardziej się zaczerwieniła. – W szpitalach leczą się uzależnionych jedenasto- czy dwunastolatków. Twój własny brat odsiaduje wyrok więzienia za handel narkotykami.

Watson podniósł wzrok, być może spodziewając się, że jego rozmówca będzie wyglądał na zawstydzonego. Ale oczy Rebusa miały ognisty blask, a policzki nie oblały się purpurą z zażenowania.

– Z całym szacunkiem, panie komendancie – odezwał się głosem niepodniesionym, ale napiętym jak drut – co to ma wspólnego ze mną?

– Po prostu to. – Watson zamknął teczkę i odchylił się na oparcie fotela. – Rozpaczam nową kampanię antynarkotykową. Świadomość społeczna i tego typu rzeczy w połączeniu z finansowaniem dyskretnej informacji. Mam poparcie, a co więcej, mam pieniądze. Grupa biznesmenów z miasta jest gotowa wyłożyć na kampanię pięćdziesiąt tysięcy funtów.

– Bardzo prospołecznie z ich strony.

Twarz Watsona pociemniała. Wychylił się do przodu, zapelniając swoim ciałem pole widzenia Rebusa.

– Lepiej, do cholery, w to uwierz – powiedział.

– Ale nadal nie wiem, dlaczego ja...

– John... – głos komendanta złagodniał – miałeś... doświadczenie. Osobiste doświadczenie. Chciałbym, żebyś pomógł mi prowadzić naszą część kampanii.

– Nie, naprawdę...

– Świetnie. W takim razie wszystko uzgodnione. – Watson już stał.

Rebus też próbował się podnieść, ale chwilowo stracił władzę w nogach. Napał rękami na podłokietniki i zdołał wstać. A więc żądali od niego takiej ceny? Publicznej pokuty za zepsutego brata?

Watson otworzył drzwi.

– Porozmawiamy jeszcze, omówimy szczegóły, a na razie uporządkuj to, nad czym pracujesz, uaktualnij raporty i tak dalej. Jeśli będziesz mieć problem z zakończeniem sprawy, powiadom mnie. Znajdziemy kogoś, kto cię wyęczy.

– Tak jest, panie komendancie. – Rebus chwycił podaną mu dłoń. Była jak stal, chłodna, sucha i miażdżąca. – Do widzenia, panie komendancie – powiedział, stojąc na korytarzu przed drzwiami, które już się przed nim zamknęły.

TEGO WIECZORU, WCIAŻ ODRĘTWIAŁY i znudzony telewizją, wyszedł z mieszkania, żeby pojeździć po okolicy, tak naprawdę bez konkretnego celu. Dzielnica mieszkalna Marchmont była cicha, ale zawsze taka była. Samochód stał spokojnie na bruku przed jego kamienicą. Rebus uruchomił silnik i pojechał do centrum, a następnie skierował się w stronę New Town. W Canonmills zatrzymał się na stacji benzynowej i zatankował do pełna, a do rachunku za paliwo dorzucił latarkę, kilka baterii i parę tabliczek czekolady. Za wszystko zapłacił kartą kredytową.

W trakcie jazdy podjadał czekoladę, starając się nie myśleć o wydzielonej na kolejny dzień racji papierosów i słuchając radia. Kochanek Gill Templer, Calum McCallum, rozpoczął swoją audycję o ósmej trzydziści i Rebus na kilka minut zamienił się w słuch. Tyle wystarczyło. Szyderczy głos,

dowcipy tak suche, że trzeba by je zapić piwem, przewidywalna mieszanka starych płyt i telefonicznych pogaduszek. Rebus przekręcił gałkę strojenia, aż znalazł Radio Three, a kiedy rozpoznał Mozarta, zwiększył głośność.

Oczywiście wiedział, że to się tak skończy. Jechał słabo oświetlonymi i krętymi uliczkami, wbijając się dalej w ich labirynt. Przystanął obok domu, na którego drzwiach zamontowano nową kłódkę, ale miał w kieszeni zapasowy klucz. Włączył latarkę i wszedł po cichu do salonu. Podłoga była goła – nic nie wskazywało na to, że dziesięć godzin temu leżał tam trup. Słój ze strzykawkami również zniknął, podobnie jak świece. Ignorując ścianę z pentagramem, Rebus wyszedł z salonu i skierował się na górę. Pchnął drzwi do pokoju Ronniego i wszedł do środka, a następnie podszedł do okna. Tracy twierdziła, że właśnie tutaj znalazła ciało. Przykucnęła, opierając się na palcach, i ostrożnie oświetlił latarką podłogę. Ani śladu aparatu. Zupełnie nic. Ta sprawa nie zapowiadała się na łatwą. Zakładając, że w ogóle będzie jakaś sprawa.

Przecież jedyne, co miał, to słowa Tracy.

Cofnął się, wyszedł z pokoju i ruszył w stronę schodów. Coś błysnęło na najwyższym stopniu, w samym rogu. Rebus podniósł błyskotkę i obejrzał ją – był to mały kawałek metalu, przypominający zapięcie taniej broszki. Mimo to wepchnął go do kieszeni i popatrzył jeszcze raz na schody, próbując sobie wyobrazić, jak Ronnie odzyskuje przytomność i kuśtyka na parter.

Taki scenariusz był możliwy. Tylko możliwy. Ale żeby skończyć w pozycji ukrzyżowanego? To dużo mniej wykonalne.

I po co zabrał ze sobą na dół słoik ze strzykawkami? Rebus pokręcił głową, pewien, że błędzi po labiryncie, lecz zmierza w dobrym kierunku. Zszedł na dół i wrócił do salonu. W środku panował zaduch, który przypominał zapach pleśni w starym słoiku dżemu – ziemisty i słodki zarazem. Woń ziemi była sterylna, a słodycz odrażająca. Zbliżył się do ściany z rysunkiem i oświetlił ją latarką.

Potem czuł już tylko, jak w żyłach dudni mu krew. Kręgi wciąż tam były, a w nich pięcioramienna gwiazda. Ale między dwoma okręgami widniały nowe oznaczenia: znaki zodiaku i inne symbole, wymalowane czerwoną farbą. Dotknął jej. Była lepka. Skierował snop światła latarki wyżej i przeczytał ociekającą farbą wiadomość:

WITAJ RONNIE

Przesądny z natury Rebus obrócił się na pięcie i uciekł, nie zwracając sobie głowy zamknięciem za sobą drzwi. Gdy szedł szybkim krokiem w kierunku samochodu, co chwila patrząc na zostawiony za plecami dom, nagle na kogoś wpadł i potknął się. Jego ofiara upadła niezgrabnie, ale powoli się podniosła. Rebus włączył latarkę i stanął twarzą w twarz z nastolatkiem z roziskrzonymi oczami i posiniaczoną, okaleczoną twarzą.

– Jezus, synu, co ci się stało?

– Pobili mnie – powiedział chłopiec, ciągnąc za sobą obolałą nogę.

Rebus jakoś dotarł do samochodu, z nerwami postrzępionymi jak stare sznurowadła. Zablokował drzwi i usiadł wygodnie. Zamknął oczy i zaczął ciężko dyszeć. Spokojnie, John, powiedział do siebie. Odpręż się. Udało się. Wkrótce był nawet w stanie uśmiechnąć się na myśl o swoim tchórzostwie. Jutro tu wróci. Za dnia.

Na razie widział już dość.

## WTOREK

*Miałem powody wierzyć, że przyczyna leżała znacznie głębiej w ludzkiej naturze  
i wynikała z bardziej szlachetnej pobudki niż nienawiść.*

SEN NIE PRZYSZEDŁ MU ŁATWO, ale w końcu, rozłożony w swoim ulubionym fotelu, z otwartą książką na kolanach, musiał zasnąć i dopiero telefon o dziewiątej przywrócił go do życia.

Jego plecy, nogi i ręce były sztywne i obolałe, gdy szukał na podłodze nowego bezprzewodowego aparatu.

– Tak?

– Inspektorze Rebus, tu laboratorium. Liczył pan na szybkie informacje.

– Co macie?

Rebus opadł z powrotem na ciepły fotel. Wolną ręką potarł oczy, próbując je skłonić do współpracy w budzącym się do życia świecie. Spojrzał na zegarek i zdał sobie sprawę, jak długo spał.

– Hm... To nie jest najczystsza heroina na ulicy.

Kiwnął głową i wiedział, że jego następne pytanie będzie retoryczne.

– Czy zabiłaby kogoś, kto by ją sobie wstrzyknął?

Odpowiedź nim wstrząsnęła.

– Otóż nie. Prawdę mówiąc, nie jest zanieczyszczona, jeśli weźmie się pod uwagę to, co jest na rynku. Trochę rozwodniona w stosunku do czystej postaci, ale to normalne. Właściwie wręcz konieczne.

– Czy nadaje się do iniekcji?

– Myślę, że bardzo dobrze.

– Rozumiem. Dziękuję. – Rebus rozłączył się. Był taki pewny. Taki pewny...

Sięgnął do kieszeni, znalazł numer, którego potrzebował, i szybko wcisnął siedem cyfr, zanim owładnęła nim myśl o porannej kawie.

– Inspektor Rebus do doktora Enfielda. – Czekał. – Doktorze? Świetnie, dzięki. A u pana? Dobrze, dobrze. Czy w sprawie wczorajszych zwłok, tego narkomana z osiedla Pilmuir, są jakieś wieści? – Słuchał. – Tak, zaczekam.

Pilmuir. Co powiedział Tony McCall? Kiedyś było tam pięknie, niebo na ziemi, coś w tym stylu. Ale stare czasy zawsze takie są, prawda? Wspomnienia wygładzają życiowe zakręty, o czym sam mógł się przekonać.

– Cześć – rzucił do telefonu. – Tak, zgadza się. – W tle słychać było szelest papieru, a głos Enfielda był beznamiętny.

– Siniaki na ciele. Dość rozległe. Wynik ciężkiego upadku lub jakiejś fizycznej konfrontacji. Żołądek był prawie całkowicie pusty. Wynik HIV negatywny, a to już coś. Co do przyczyny śmierci, cóż...

– Heroina? – zapytał Rebus.

– Hm... dziewięćdziesiąt pięć procent zanieczyszczeń.

– Naprawdę? – zdziwił się Rebus. – Czym została rozcieńczona?

– Nadal nad tym pracujemy, inspektorze. Ale przypuszczam, że może to być wszystko, od zmielonej aspiryny po truskawkę na szczury, ze szczególnym naciskiem na to drugie.

– Twierdzi pan, że dawka była śmiertelna?

– Och, zdecydowanie. Ktokolwiek handlował tym towarem, sprzedawał eutanazję. Jeśli jest tego więcej, to strach myśleć...

Więcej? Rebusowi zjeżyły się włosy na głowie. A jeśli ktoś truł ćpunów? Ale w takim razie skąd ta jedna szaszetka z niemal doskonałym proszkiem? Jedna doskonała, druga tak zapaskudzona, jak to tylko możliwe. To nie miało sensu.

– Dzięki, doktorze.

Położył telefon na poręczy fotela. Tracy przynajmniej pod jednym względem miała rację: oni zamordowali Ronniego. Kimkolwiek ci „oni” byli. A Ronnie to wiedział. Wyczuł to, gdy tylko zażył ten towar... Nie, czekaj... Wiedział, zanim zażył ten towar? Czy to w ogóle możliwe? Rebus musiał znaleźć diler. Musiał dowiedzieć się, dlaczego Ronniego skazano na śmierć. Bo został złożony w ofierze...

TO BYŁO PODWÓRKO TONY’EGO MCCALLA. Nawet jeśli wyprowadził się z Pilmuir i zaciągnął rujnującą portfel pożyczkę hipoteczną, którą niektórzy nazywali domem – w jego przypadku łądnym domem, a przynajmniej tak mówiła mu żona. Ciągle to powtarzała i zachodziła w głowę, dlaczego Tony spędza w nim tak mało czasu. W końcu, jak twierdziła, to był też jego dom.

Dom. A raczej pałac żony McCalla – słowo „dom” niedostatecznie go definiowało. Dwoje dzieci, syna i córkę, nauczyła chodzić w nim na palcach, tak żeby, broń Boże, nie pozostawiały po sobie okruszków, odcisków palców, bałaganu czy śluczeń. McCall, który wraz z bratem Tommym miał prawdziwe – niepozabawione wypadków – dzieciństwo, uważał to za nienaturalne. Jego dzieci dorastały w strachu i w otoczeniu bez miłości, co było niezdrową kombinacją. Teraz Craig miał czternaście lat, a Isabel jedenaście. Oboje byli nieśmiali, introwertyczni, może nawet trochę dziwni. Marzenie McCalla, by syn został zawodowym piłkarzem, a córka aktorką, nie mogło się spełnić. Craig nie uprawiał żadnej dyscypliny sportowej, ale grał w szachy (w jednym z turniejów szkolnych zdobył dyplom; McCall próbował później nauczyć się grać, ale bezowocnie); Isabel lubiła robić na drutach. Przesiadawali w zbyt idealnym salonie stworzonym przez ich matkę, prawie się nie odzywając. Jedynie stukot drutów i miękkie ruchy figur szachowych.

Chryste, czy to dziwne, że trzymał się z daleka?

I oto był w Pilmuir. Nie prowadził dochodzenia, po prostu spacerował. Zaczerpywał powietrza. Ze swojego ultranowoczesnego osiedla, pełnego pudełek po butach w śmietnikach i volvo na ulicach, musiał przejść przez nieużytki, ominąć pojazdy na ruchliwej arterii oraz szkolne boisko i manewrować między fabrykami, by wreszcie znaleźć się w rodzinnej dzielnicy. Ale wysiłek się opłacił. Znał to miejsce; znał umysły, które się tu tartowały.

W końcu był jednym z nich.

– Cześć, Tony.

McCall przeraził się, bo nie rozpoznał głosu; zerwał się na równe nogi, spodziewając się kłopotów.

I zobaczył Johna Rebusa, z rękami w kieszeniach, uśmiechającego się do niego.

– John! Chryste, wystraszyłeś mnie.

– Sorry. Właściwie to mam szczęście, że na ciebie wpadłem. – Rebus rozejrzał się, jakby kogoś szukał. – Dzwoniłem, ale powiedzieli, że masz wolne.

– Zgadza się.

– Więc co tu robisz?

– Ot, przechadzam się. Mieszkamy tam. – Ruchem głowy wskazał w kierunku południowo-zachodnim. – To niedaleko. Poza tym to mój rewir, nie zapominaj. Muszę mieć oko na maślaki.



– Właśnie dlatego chciałem z tobą porozmawiać.

– Tak?

Rebus ruszył chodnikiem, a McCall, wciąż spłoszony jego nagłym pojawieniem się, podążył za nim.

– Tak – odparł Rebus. – Chciałem zapytać, czy znasz kogoś. Przyjaciela zmarłego. Nazywa się Charlie.

– Charlie? I to wszystko?

Rebus wzruszył ramionami.

– Wiesz chociaż, jak wygląda? – spytał McCall.

Rebus znów wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, Tony. Dziewczyna Ronniego, Tracy, mi o nim powiedziała.

– Ronnie? Tracy? – Brwi McCalla spotkały się ze sobą. – Kim oni, do diabła, są?

– Ronnie to zmarły. Ten ćpun, którego znaleźliśmy na osiedlu.

Nagle McCalla olśniło. Powoli pokiwał głową.

– Szybko działasz – powiedział.

– Im szybciej, tym lepiej. Dziewczyna Ronniego opowiedziała mi ciekawą historię.

– Aha?

– Powiedziała, że Ronnie został zamordowany. – Rebus szedł dalej, ale McCall się zatrzymał.

– Chwila moment. – Złapał Rebusa. – Zamordowany? Daj spokój, John, przecież widziałeś tego chłopaka.

– Zgadza się. Z trutką na szczury w żyłach.

– Dobry Jezu... – McCall gwizdnął cicho.

– No właśnie. Muszę pogadać z tym Charliem. Jest młody, może być trochę przestraszony, interesuje się okultyzmem.

McCall przejrzał w głowie stertę akt.

– Jest parę miejsc, w których moglibyśmy poszukać – odezwał się w końcu. – Ale to będzie ciężka przeprawa, koncepcja policji sąsiedzkiej jeszcze się tu nie przyjęła.

– Chcesz powiedzieć, że nie będziemy mile widziani?

– Coś w tym stylu.

– No dobra, daj mi adresy i wskaż właściwy kierunek. W końcu masz wolny dzień.

McCall poczuł się zlekceważony.

– Zapominasz, John: to mój rewir. Zgodnie z prawem to moje dochodzenie... jeśli w ogóle to jest dochodzenie.

– Byłoby twoje, gdybyś nie miał wtedy kaca.

Uśmiechnęli się, ale Rebus zastanawiał się, czy gdyby sprawa trafiła w ręce Tony'ego McCalla, byłoby czego dociekać. Czy skreśliliby sprawę? I czy on, Rebus, też nie powinien jej skreślić?

– W każdym razie na pewno masz lepsze rzeczy do roboty – powiedział McCall, jakby czytał w jego myślach.

Rebus pokręcił głową.

– Nic. Cała moja robota poszła w las. A raczej w aberdyńskie pole.

– Komendant Watson?

– Chce, żebym pracował nad jego kampanią antynarkotykową. Ja, na litość boską!

– No to masz poważny kłopot.

– Wiem. Ale ten idiota myśli, że mam „osobiste doświadczenie”.

– Przypuszczam, że ma rację.

Rebus już miał się spierać, ale McCall nie dał mu dojść do słowa.

– Więc nie masz nic do roboty?

– Nie. Nie, dopóki Farmer Watson mnie nie wezwie.

– Ty cholerny szczęściarzu! To trochę zmienia postać rzeczy, ale niewystarczająco, przykro mi to mówić. Jesteś tu moim gościem i musisz mnie znosić. Dopóki mi się nie znudzi.

Rebus się uśmiechnął.

– Doceniam to, Tony. – Rozejrzał się. – Gdzie najpierw?

McCall ruchem głowy wskazał stronę, z której właśnie przyszli. Odwrócili się i ruszyli.

– Powiedz mi – odezwał się Rebus – co tak nieznośnego dzieje się u ciebie w domu, że wolisz się tu szwendać w dzień wolny od pracy?

Jego kolega się roześmiał.

– Czy to takie oczywiste?

– Tylko dla kogoś, kto sam to przeżył.

– Ech, nie wiem, John. Wydaje mi się, że mam wszystko, czego nigdy nie chciałem.

– I jeszcze ci mało.

– Widzisz, Sheila jest wspaniałą matką i w ogóle, dzieciaki nie pakują się w kłopoty, ale...

– ...gdzie indziej trawa jest zawsze bardziej zielona – wtrącił Rebus, myśląc o swoim nieudanym małżeństwie, chłodnym mieszkaniu czekającym na niego po powrocie z pracy i o tym, jak drzwi zamykały się za nim głucho. – Tommy, mój brat... Kiedyś myślałem, że ma wszystko. Mnóstwo pieniędzy, dom z jacuzzi, automatycznie otwierany garaż...

McCall zobaczył, że Rebus się uśmiecha, i sam się uśmiechnął.

– Elektryczne żaluzje – ciągnął Rebus – spersonalizowane tablice rejestracyjne, telefon samochodowy.

– Wakacje w Maladze – dodał McCall bliski śmiechu – meble kuchenne z marmurowymi blatami.

Idąc, kontynuowali tę wylizankę i zaśmiewali się. Ale nagle Rebus zobaczył, gdzie są, i przestał się śmiać. Zatrzymał się przy opuszczonym domu i dotknął latarki w kieszeni marynarki.

– Chodź – rzucił trzeźwo. – Chcę ci coś pokazać.

– TU GO ZNALEŻLI – odezwał się Rebus, świecąc latarką po gołych deskach podłogi. – Leżał na plecach, nogi razem, ramiona rozpostarte. Nie sądzę, żeby znalazł się w tej pozycji przez przypadek. Jak sądzisz?

McCall przyjrzał się miejscu zbrodni. Obaj byli teraz profesjonalistami, już nie zachowywali się jak bliscy koledzy.

– Dziewczyna mówiła, że znalazła go na górze?

– Zgadza się.

– Wierzysz jej?

– Dlaczego miałyby kłamać?

– Powodów może być sto, John. Rozpoznałbym tę dziewczynę?

– Jest w Pilmuir od niedawna. Trochę starsza, niż można by przypuszczać, dwadzieścia pięć, może więcej.

– Więc ten Ronnie był już martwy, kiedy zniesiono go na dół i ułożono między świecami?

– Tak jest.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego chcesz znaleźć jego kumpla, który zajmuje się okultyzmem.

– A teraz chodź i zobacz to. – Rebus zaprowadził McCalla pod ścianę i skierował światło latarki na pentagram, a potem wyżej.

– *Witaj Ronnie* – przeczytał na głos McCall.

– Tego tu wczoraj nie było.

– Poważnie? – McCall wydawał się zaskoczony. – To sprawka dzieciaków, John.

– Dzieciaki nie narysowały tego pentagramu.

– Fakt, z tym się zgodzę.

– Charlie to zrobił.

– Aha. – McCall wsunął ręce do kieszeni i wyprostował się. – Wszystko jasne, inspektorze. Pora na polowanie w squatach.

GARSTKA LUDZI, KTÓRYCH ZNALEŻLI, twierdziła, że nic nie wie, i zupełnie ich to nie obchodziło. Jak zauważył McCall, przyszli o niewłaściwej porze. Nielegalni lokatorzy byli w centrum miasta, gdzie kradli portfele z torebek, żebrali, szabrowali po sklepach i robili brudne interesy. Rebus niechętnie przyznał, że tracą w squatach czas.

Ponieważ McCall chciał posłuchać nagranej przez Rebusa taśmy z rozmową z Tracy, wrócili na Great London Road. McCall sądził, że na taśmie może znajdować się jakaś wskazówka, która doprowadzi ich do Charliego, coś, co pomoże mu zlokalizować tego faceta, coś, co jego kolega przeoczył.

Rebus wyprzedzał go o parę kroków, gdy wspinali się po frontowych schodach do ciężkich drewnianych drzwi komendy. Świeżo upieczony dyżurny funkcjonariusz zaczynał zmianę przy biurku i grzebał przy kołnierzyku koszuli, wpinając krawat. Proste, ale sprytnie, pomyślał Rebus. Wszyscy mundurowi nosili przypinane krawaty, by w przypadku potencjalnego starcia, gdyby napastnik próbował ich szarpać, krawat po prostu pozostał mu w ręce. A okulary sierżanta miały specjalne soczewki, które w razie uderzenia wysuwały się z oprawki, nie tłukąc się. Proste, ale sprytnie. Rebus miał nadzieję, że sprawa ukrzyżowanego ćpuna też będzie prosta.

Nie czuł się zbyt kompetentny.

– Witaj, Arthur – powiedział, gdy mijał biurko, idąc w stronę schodów. – Masz dla mnie jakieś wiadomości?

– Litości, John. Jestem tu raptem od dwóch minut.

– No tak.

Rebus wsunął ręce głęboko do kieszeni i palce prawej ręki dotknęły czegoś obcego, metalowego. Wyciągnął zapięcie od broszki i przyjrzał mu się. A potem zamarł. McCall spojrział na niego zdziwiony.

– Poczekaj chwilę – rzucił mu Rebus. – Zaraz wracam.

– W porządku.

Wrócił do biurka i wyciągnął lewą rękę w stronę sierżanta.

– Zrób mi przysługę, Arthur. Daj mi swój krawat.

– Co takiego?

– Słyszałeś.

Wiedząc, że będzie miał o czym opowiadać wieczorem w kantynie, sierżant pociągnął za krawat. Gdy ten oderwał się od koszuli, spinka wydała dźwięk. Pojedynczy trzask. Proste, ale sprytne, pomyślał Rebus, trzymając krawat między palcem a kciukiem.

– Dzięki – powiedział.

– Nie ma sprawy, John! – zawołał sierżant, obserwując uważnie, jak inspektor wraca do schodów. – Polecam się na przyszłość!

– WIESZ, CO TO JEST, TONY?

McCall, który siedział na krześle Rebusa za jego biurkiem i trzymał jedną rękę w szufladzie, spojrział w górę zaskoczony. Rebus pokazywał mu krawat. McCall skinął głową, po czym wyjął z szuflady butelkę whisky.

– Krawat – powiedział. – Masz jakieś kubki?

Rebus położył krawat na biurku. Podszedł do szafki z aktami i przyjrzał się stojącym w niej brudnym kubkom. Wreszcie wygrzebał jeden, który uznał za znośny, i przyniósł go do biurka. McCall przyglądał się właśnie okładce teczki leżącej na biurku.

– *Ronnie* – przeczytał. – *Dzwoniła Tracy*. Widzę, że twoje notatki są precyzyjne jak zawsze.

Rebus podał mu kubek.

– A dla ciebie? – zapytał McCall.

– Nie mam ochoty pić. Prawdę mówiąc, prawie już tego nie tykam. – Rebus skinął głową na butelkę. – Jest dla gości.

McCall zacisnął wargi, a jego oczy otworzyły się szeroko.

– Poza tym – dodał Rebus – mam syndrom dnia następnego. A może nawet tygodnia.

Zauważył na biurku dużą kopertę: FOTOGRAFIE – NIE ZGINAĆ.

– Wiesz, Tony, kiedy byłem sierżantem, takie rzeczy przychodziły dopiero po kilku dniach, trzeba się było naczekać. A inspektora traktują po królewsku. – Otworzył kopertę i wyjął zestaw odbitek: format A4, czarno-białe. Jedną wręczył McCallowi. – Zobacz. Nie ma napisu na ścianie. A pentagram jest niedokończony. Dziś był gotowy.

McCall skinął głową. Rebus odebrał od niego zdjęcie i wręczył kolejne.

– Zmarły.

– Biedny mały gówniarz. To mógł być nasz dzieciak, co, John?

– Nie – burknął Rebus. Zwinął kopertę na kształt tuby i włożył ją do kieszeni marynarki.

McCall podniósł krawat i machnął nim przed kolegą, domagając się wyjaśnień.

– Miałeś kiedyś coś takiego? – zapytał Rebus.

– Jasne, na swoim ślubie, pewnie na jakimś pogrzebie albo chrzcinach...

– Mówię o przypinanym krawacie. Pamiętam, że kiedy byłem dzieckiem, mój ojciec doszedł do wniosku, że będę dobrze wyglądał w kilcie. Kupił mi cały strój, łącznie z małą tartanową muszką. Była na zatrzask.

– Nosilem taki krawat, każdy nosił. Wszyscy harowaliśmy, wspinając się powoli po szczeblach, nie?

– Nie – rzucił Rebus. – A teraz zjeżdż z mojego cholernego krzesła.

McCall znalazł inne i przeciągnął je od ściany do biurka. Rebus tymczasem usiadł.

– Standardowe wyposażenie w policji – powiedział, unosząc krawat.

– O czym ty mówisz?

– Krawaty na zatrzask – wyjaśnił Rebus. – Kto jeszcze je nosi?

– Chryste, nie wiem, John.

Rebus rzucił koledze zapinkę, ale ten nie zdążył zareagować. Spadła na podłogę.

– To zatrzask – zauważył, kiedy ją podniósł.

– Znalazłem to w domu Ronniego – powiedział Rebus – na szczycie schodów.

– Do czego zmierzasz?

– Komuś odpadł krawat. Może kiedy ściągali Ronniego na dół, może jakimś posterunkowemu.

– Myślisz, że to jeden z naszych?

– To tylko moje spostrzeżenie – oznajmił Rebus. – Oczywiście, może należeć do jednego z chłopaków, którzy znaleźli ciało. – Wyciągnął rękę i McCall oddał mu zatrzask. – Może z nimi porozmawiam.

– John, co ty, do diabła... – McCall przerwał, nie mogąc ubrać w słowa pytania, które chciał zadać.

– Napij się whisky – poradził mu Rebus z troską. – A potem posłuchaj tej taśmy i powiedz mi, czy uważasz, że Tracy mówi prawdę.

– Co chcesz zrobić?

– Nie wiem. – Rebus włożył do kieszeni krawat sierżanta. – Może połączę ze sobą luźne elementy...

McCall nalewał whisky, gdy kolega wychodził z pokoju, ale usłyszał to, co Rebus powiedział już w korytarzu:

– A może pójdę do diabła!

– OWSZEM, ZWYCZAJNY PENTAGRAM.

Psycholog, doktor Poole, który tak naprawdę nie był psychologiem, lecz raczej, jak wyjaśnił, wykładowcą psychologii, co według niego było zupełnie czymś innym, dokładnie analizował fotografie, dolną wargą zakrywając górną na znak, że jest pewien swoich opinii. Rebus bawił się pustą kopertą i wyglądał przez okno biura. Dzień był pogodny; garstka studentów wylegiwała się w George Square Gardens, dzieląc się butelkami wina i wymazując z pamięci podręczniki.

Rebus czuł się nieswojo. Instytucje szkolnictwa wyższego, od najzwyklejszego college'u aż po Uniwersytet Edynburski, sprawiały, że czuł się głupi. Miał wrażenie, że każdy jego ruch, każda wypowiedź są oceniane i interpretowane; że jest kwalifikowany jako bystry człowiek, który mógłby być bystrzejszy, gdyby tylko dać mu szansę.

– Kiedy wróciłem do tego domu, ktoś narysował jakieś symbole pomiędzy dwoma kręgami – powiedział. – Znaki zodiaku, tego typu rzeczy.

Rebus obserwował, jak psycholog podchodzi do półki z książkami i zaczyna je przeglądać. Łatwo było znaleźć tego człowieka, lecz skorzystanie z jego wiedzy mogło okazać się trudniejsze.

– Prawdopodobnie zwykle symbole magii – rzucił doktor Poole. Znalazł stronę, której szukał, po czym przyniósł książkę do biurka, by pokazać ją Rebusowi. – Tego typu rzeczy?

– Tak, to jest to. – Rebus przyjrzał się dokładnie ilustracji. Pentagram nie był identyczny z tym, który widział w budynku, ale różnice były niewielkie. – Proszę powiedzieć, czy wielu ludzi interesuje się okultyzmem?

– Tu, w Edynburgu? – Poole usiadł i opuścił okulary na nos. – O tak. Mnóstwo. Wystarczy zerknąć, jak ogromne zyski osiągają filmy o tym diabelstwie.

Rebus uśmiechnął się.

– Sam kiedyś lubiłem horrory, ale mam na myśli praktyczne zainteresowanie.

Wykładowca się uśmiechnął.

– Wiem, co pan ma na myśli. Żartowałem. Wielu ludzi myśli, że na tym właśnie polega okultyzm: na przywoływaniu mocy starego Mefistofelesa. Ale jest w tym znacznie więcej, proszę mi wierzyć, inspektorze. Albo o wiele mniej, w zależności od punktu widzenia.

Rebus próbował zrozumieć, co Poole ma na myśli.

– Zna pan okultystów? – zapytał po chwili.

– Znam okultystów praktykujących białą i czarną magię.

– Tutaj? W Edynburgu?

Doktor znów się uśmiechnął.

– Owszem, tutaj. W samym Edynburgu i okolicach jest sześć działających zgromadzeń. – Zawiesił głos i Rebus mógł niemal słyszeć, jak je przelicza. – Może siedem. Na szczęście większość z nich para się białą magią.

– Czyli okultyzmem jako rzekomą mocą czynienia dobra, tak?

– Słuszna uwaga.

– A co z czarną magią?

Wykładowca westchnął. Nagle zainteresowała go scena za oknem, letni dzień. Rebusowi coś się przypomniało. Dawno temu kupił książkę z obrazami H.R. Giger'a; jeden z nich przedstawiał szatana otoczonego przez westalskie dziwki. Nie potrafił powiedzieć, po co ją kupił, ale nadal musiała być gdzieś w mieszkaniu. Pamiętał, że ukrył ją przed Rhoną.

– W Edynburgu jest jeden kowen – powiedział Poole. – Czarny sabat.

– Proszę powiedzieć, czy oni... Czy składają ofiary?

Poole wzruszył ramionami.

– Wszyscy składamy ofiary. – Widząc, że inspektor nie śmieje się z jego żartu, wyprostował się na krześle, a jego twarz spoważniała. – Zapewne tak, jakieś symboliczne. Szczur, mysz, kura. Może te praktyki nie sięgają tak daleko. Równie dobrze może to być coś symbolicznego, trudno powiedzieć.

Rebus stuknął palcem w jedną z fotografii na biurku.

– W domu, w którym znaleźliśmy ten pentagram, było też ciało. Martwe ciało, na wypadek gdyby się pan zastanawiał. – Wręczył mu fotografie, a doktor Poole zmarszczył brwi, kiedy je oglądał. – Zgon z powodu przedawkowania heroiny. Zwłoki leżały ze złączonymi nogami i rozłożonymi rękami, między dwiema świecami, które całkowicie się wypaliły. Czy to coś panu mówi?

Poole wyglądał na przerażonego.

– Nie – rzucił. – Uważa pan, że to sataniści?

– Nic nie uważam, panie doktorze. Próbuję tylko poskładać wszystko w jedną całość i przeanalizować wszelkie możliwości.

Poole myślał przez chwilę.

– Jeden z naszych studentów – odezwał się w końcu – powinien być bardziej użyteczny niż ja. Nie miałem pojęcia, że mówimy o śmierci.

– Student?

– Tak. Niewiele mogę o nim powiedzieć. Jest na drugim roku. Bardzo interesuje się okultyzmem i pisze w tym semestrze pracę na ten temat. Chłopak wydaje się kompetentny, a ta jego praca konkretnie dotyczy demonizmu. Tak, być może udzieli panu więcej pomocy niż ja.

– Jak on się nazywa?

– Hm... jego nazwisko mi w tej chwili umknęło. Zazwyczaj mówi o sobie po imieniu... Charles.

– Charles?

– A może Charlie. O tak, Charlie... tak się przedstawia.

Imię przyjaciela Ronniego. Włosy na karku Rebusa się zjeżyły.

– Zgadza się, Charlie – potwierdził Poole, kiwając głową. – Dość ekscentryczny. Prawdopodobnie można go znaleźć w jednym z budynków związków studenckich. Przypuszczam, że jest uzależniony od automatów wideo...

NIE, TO NIE AUTOMATY WIDEO. To automaty pinballowe – barwne, z wszelkimi bajerami, sztuczkami i trikami, które sprawiały, że gra stawała się prawdziwą grą. Charlie kochał je z uporem maniaka – miłością tym bardziej żarliwą, że przyszła dość późno. Miał dziewiętnaście lat, życie płynęło obok niego i próbował złapać się każdego kawałka dryfującego drewna. Pinball nie odgrywał żadnej roli w jego dorastaniu, co innego książki i muzyka. Poza tym w jego szkole z internatem nie było automatów do gry.

Teraz, gdy dostał się na uniwersytet, zapragnął żyć. I grać w pinball. I robić wszystkie inne rzeczy, które ominęły go podczas lat przygotowań do dalszej edukacji, pisania wnikliwych esejów i introspekcji. Charlie chciał biegać szybciej niż ktokolwiek inny, przeżyć nie jedno, lecz dwa, trzy życia. Albo cztery. Gdy srebrna kulka zetknęła się z lewym flipperem, z zaciekłością wrzucił ją z powrotem na stół. Miał czas na krótką przerwę, kiedy kulka zastygła w jednym z bonusowych dołków, zbierając kolejne tysiąc punktów. Podniósł piwo, wypił łyk, po czym przyłożył palce do przycisków. Za dziesięć minut będzie miał najwyższy wynik dnia.

– Charlie?

Odwrócił się na dźwięk swojego imienia. Zły ruch. Naiwny błąd. Odwrócił się z powrotem w stronę automatu, ale za późno. Mężczyzna szedł w jego stronę. Poważny człowiek. Nieuśmiechnięty człowiek.

– Chciałbym zamienić z tobą słowo, Charlie.

– Okej, to może „akrylamid”. Jedno z moich ulubionych.

Uśmiech Johna Rebusa trwał mniej niż sekundę.

– Błyskotliwe – powiedział. – Mówimy o tym: sprytna odpowiedź.

– Mówimy?

– Policja Lothian, wydział dochodzeniowy. Jestem inspektor Rebus.

– Miło mi pana poznać.

– Mnie ciebie również, Charlie.

– Ups, pomylił się pan. Nie jestem Charlie. Ale on czasami tu przychodzi, przekażę mu, żeby zadzwonił.

Charlie właśnie miał zdobyć najwyższy wynik pięć minut przed czasem, gdy Rebus, widząc, że w sali gier nie ma innych studentów, chwycił go za ramię, ścisnął je i obrócił chłopaka twarzą do siebie.

– Jesteś zabawny jak kanapka z larwą, Charlie, a cierpliwość nie jest moją ulubioną grą karcianą. Nie wciskaj mi kitu, bo robię się drażliwy i zaraz trafi mnie szlag.

– Trzymaj pan łapy z dala ode mnie! – Twarz Charliego nabrała nowego wyrazu, ale nie ze strachu.  
– Ronnie – powiedział Rebus, teraz już spokojnie, zwalniając uścisk na ramieniu młodego człowieka.

Kolor zniknął z twarzy Charliego.

– Co z nim?

– Nie żyje.

– Wiem... – Głos chłopaka był cichy, a wzrok rozbiegany. – Słyszałem.

Rebus skinął głową.

– Tracy próbowała cię znaleźć.

– Tracy. – W tym słowie był jad. – Ona nie ma pojęcia, bladego pojęcia... Widział ją pan?

Rebus znów skinął głową.

– Ta kobieta to frajerka. Nigdy nie rozumiała Ronniego, nawet nie próbowała.

W miarę jak Charlie mówił, Rebus dowiadywał się o nim coraz więcej. Jego akcent sugerował edukację w szkockiej prywatnej szkole, co było pierwszym zaskoczeniem. Choć Rebus nie miał pojęcia, czego się po nim spodziewać, wiedział, że nie tego. Charlie był też dobrze zbudowany – produkt szkół, które miały drużyny rugby. Kręcone, niezbyt długie ciemnobrązowe włosy, tradycyjny studencki strój letni: buty treningowe, džinsy i T-shirt. Koszulka była czarna, postrzępiona na ramionach.

– A więc Ronnie zaliczył złoty strzał? – powiedział Charlie. – Cóż, to dobry wiek na śmierć. Żyj szybko, umieraj młodo.

– A ty chcesz umrzeć młodo?

– Ja? – Roześmiał się piskliwie jak małe zwierzątko. – Gdzie tam! Chcę dożyć stu lat. Wcale nie chcę umierać. – Spojrzał na inspektora z błyskiem w oczach. – A pan?

Rebus zastanowił się nad pytaniem, ale nie zamierzał odpowiedzieć. Był tu w związku ze śledztwem, a nie po to, by dyskutować o zaniku instynktu samozachowawczego. Doktor Poole wytłumaczył mu to zjawisko.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz o Ronniem.

– Czy to znaczy, że zabierze mnie pan na przesłuchanie?

– Jeśli się o to postarasz. Ale możemy to zrobić tutaj, jeżeli wolisz.

– Nie, nie. Chcę iść na policję. No dalej, proszę mnie tam zabrać. – W Charliem pojawił się nagły zapal, który sprawił, że chłopak wydawał się dużo młodszy, niż był. Kto, do cholery, chciałby iść na policję na przesłuchanie?

W drodze do zostawionego na parkingu samochodu Rebusa Charlie uparł się, żeby iść kilka kroków przed nim, z rękami założonymi za plecami i pochyloną głową. Rebus zauważył, że chłopak udaje, że jest zakuty w kajdanki. Wychodziło mu to świetnie; zwracał uwagę zarówno na siebie, jak i na Rebusa. Ktoś nawet krzyknął w stronę inspektora: „Ty szuj”, ale on już od jakiegoś czasu nie przejmował się wyzwiskami. Bardziej by mu przeszkadzały życzenia przyjemnej podróży.

– MOGĘ KUPIĆ KILKA? – zapytał Charlie, przyglądając się zdjęciom swojego dzieła: pentagramu.

Pokój przesłuchań był ponury. Taki właśnie miał być, ale Charlie zadamował się w nim, jakby zamierzał go wynająć.



– Nie – powiedział Rebus, zapalając papierosa. Nie zaproponował jednego chłopakowi. – Dlaczego to namalowałeś?

– Bo jest piękny. – Charlie nadal patrzył na fotografie. – Nie sądzi pan? Tak pełny znaczenia.

– Jak długo znałeś Ronniego?

Charlie wzruszył ramionami. Po raz pierwszy spojrzął w stronę dyktafonu i Rebus zapytał go, czy nie ma nic przeciwko nagraniu rozmowy. Chłopak znowu wzruszył ramionami. Teraz wydawał się nieco zamyślony.

– Może rok – odparł. – Tak, rok. Poznałem go na egzaminach po pierwszym semestrze. To wtedy zacząłem interesować się prawdziwym Edynburgiem.

– Prawdziwym Edynburgiem?

– Tak. Edynburg to nie tylko kobziarz na wałach, Royal Mile czy pomnik Scotta.

Rebus przypomniał sobie zdjęcia zamku, które wykonał Ronnie.

– Widziałem kilka zdjęć na ścianie Ronniego.

Charlie skrzywił się.

– O Boże, wymyślił sobie, że będzie profesjonalnym fotografem, i robił cholerne zdjęcia na pocztówki. To nie trwało długo, jak większość planów Ronniego.

– Ale miał niezły aparat.

– Co? A tak, aparat. To była jego duma i radość. – Charlie założył nogę na nogę.

Rebus nadal wpatrywał się w oczy młodego człowieka, ale ten zagłębił się w zdjęcia pentagramu.

– Co miałeś na myśli, mówiąc o „prawdziwym” Edynburgu?

– Diakon Brodie – rzucił Charlie, nagle ponownie zainteresowany. – Mordercy Burke i Hare, usprawiedliwieni grzesznicy, cała masa. Ale widzi pan, pozbyli się tego ze względu na turystów. Ja pomyślałem jednak: chwila, przecież ten cały margines społeczny nadal tu jest, atrakcji nie brakuje. Więc zacząłem zwiedzać osiedla: Wester Hailes, Oxcgangs, Craigmillar, Pilmuir. I rzeczywiście to wszystko wciąż tu jest, przeszłość odbija się w teraźniejszości.

– I dlatego zaczęłeś się kręcić wokół Pilmuir?

– Tak.

– Innymi słowy, sam zostałeś turystą? – Rebus widział już ludzi pokroju Charliego, ale zazwyczaj był to starszy model, typ zamożnego biznesmena poniżającego się dla niezłego kopa, odwiedzającego obskurne pokoje dla suchego kaszlu przyjemności. Nie podobał mu się ten gatunek.

– Nie jestem turystą! – oburzył się chłopak, złapany na haczyk jak ryba. – Bywałem tam, bo chciałem tam być, a oni chcieli mnie. – Jego głos pasował do nadąsanej miny. – Ja do nich należę.

– Nie, synu, mieszkasz gdzieś w dużym domu z rodzicami zainteresowanymi twoimi studiami.

– Bzdury. – Charlie wstał, odsuwając krzesło, podszedł do ściany i oparł o nią głowę.

Rebus myślał przez chwilę, że chłopak potłucze się o nią do nieprzytomności i wniesie oskarżenie o brutalność policji, ale najwyraźniej potrzebował tylko ostudzić twarz i emocje.

W pokoju przesłuchań było duszno. Rebus zdjął marynarkę, podwinął rękawy, a potem zgasił papierosa.

– Dobra, Charlie. – Młody człowiek był teraz miękki, giętki, więc czas zadać kilka pytań. – W noc przedawkowania byłeś w domu z Ronnie, zgadza się?

– Zgadza się. Przez chwilę.

– Kto jeszcze tam był?

– Tracy. Była tam, kiedy wychodziłem.

– Ktoś jeszcze?

– Wieczorem odwiedził go jakiś facet. Nie został długo. Widziałem go z Ronnieem kilka razy. Kiedy byli razem, trzymali się na uboczu.

– Myślisz, że ten człowiek był jego dilerem?

– Nie. Ronnie zawsze wychodził po towar. Aż do niedawna. Przez ostatnie kilka tygodni miał problem, żeby coś skombinować... On i tamten koleś wydawali się sobie bliscy. Naprawdę bliscy, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Mów dalej.

– Bliscy w sensie relacji... gejowskiej.

– No a Tracy?

– Ale czego ma dowodzić to, że miał dziewczynę? Wie pan, jak większość uzależnionych zarabia pieniądze.

– Jak? Kradzieże?

– Tak, kradzieże, napady, wszystko. I interesy przy Calton Hill.

Calton Hill, rozległe wzgórze leżące na wschód od Princes Street. Tak, Rebus wiedział wszystko o Calton Hill i o samochodach, które przez większość nocy stały u jego podnóża, wzdłuż Regent Road. Wiedział też o cmentarzu Calton, o tym, co się tam działo...

– Twierdzisz, że Ronnie był chłopakiem do wynajęcia? – To zdanie, wypowiedziane na głos, zabrzmiało idiotycznie, niczym wyjęte z brukowca.

– Mówię, że kręcił się tam kiedyś z mnóstwem innych facetów i że zawsze po takich nockach miał pieniądze. – Charlie przełknął ślinę. – Pieniądze i może parę siniaków.

– Chryste.

Rebus dodał tę informację do akt w swojej głowie, które stawały się bardzo brudnym małym dossier. Jak daleko narkoman może się posunąć dla działki? Odpowiedź brzmiała: bardzo daleko. A potem upaść na dno. Zapalił kolejnego papierosa.

– A właśnie, czy Ronnie był z Edynburga?

– Ze Stirling.

– Znasz jego nazwisko?

– Chyba McGrath.

– A co z tym facetem, z którym był tak zaprzyjaźniony? Jak ma na imię?

– Neil. Ronnie zwracał się do niego: Neilly.

– Neilly? Odniosłeś wrażenie, że dobrze się znali?

– Całkiem nieźle. Takie zdrobienie to oznaka uczucia, prawda?

Rebus spojrział na Charliego z pewnym podziwem.

– Nie bez powodu zajmuję się psychologią, inspektorze.

– Dobrze. – Rebus sprawdził, czy w małym dyktafonie zostało jeszcze trochę taśmy. – Podaj mi rysopis tego Neila.

– Wysoki, chudy, krótkie brązowe włosy. Twarz trochę pryszczata, ale zawsze czysta. Zwykle miał na sobie dżinsy i kurtkę, też dżinsową. Nosił ze sobą dużą czarną torbę.

– Masz jakiś pomysł, co w niej było?

– Odniosłem wrażenie, że ubrania.

– W porządku.

– Coś jeszcze? – spytał Charlie.

– Porozmawiajmy o pentagramie. Od czasu zrobienia tych zdjęć ktoś wrócił do domu i go poprawił...

Chłopak nic nie powiedział, lecz nie wyglądał na zaskoczonego.

– To byłeś ty, zgadza się?

Charlie skinął głową.

– Jak się tam dostałeś?

– Przez okno na dole. Jest jak dodatkowe drzwi, wielu ludzi wchodzi tam w ten sposób. Te drewniane listwy nie powstrzymałyby nawet myszy.

– Dlaczego wróciłeś?

– Pentagram nie był dokończony. Chciałem dodać symbole.

– I wiadomość.

Charlie uśmiechnął się pod nosem.

– Tak, wiadomość.

– *Witaj Ronnie* – zacytował Rebus. – O co w tym wszystkim chodzi?

– Dokładnie o to, co namalowałem. Duch Ronniego jest nadal w domu, jego dusza wciąż tam jest. Chciałem go tylko przywitać. Zostało mi trochę farby. Poza tym pomyślałem, że może napędzę kogoś strachu.

Rebus przypomniał sobie swój szok na widok tych bazgrołów. Poczul, że się rumieni, i zamaskował to pytaniem.

– Pamiętasz świece?

Charlie skinął głową, ale stawał się coraz bardziej niespokojny. Pomaganie policji w śledztwie nie było tak fajne, jak się spodziewał.

– A co z twoją pracą semestralną? – zapytał Rebus, zmieniając temat.

– To znaczy?

– Jest o demonizmie, prawda?

– Może. Jeszcze nie zdecydowałem.

– Który aspekt demonizmu cię interesuje?

– Nie wiem. Może popularna mitologia. W jaki sposób stare lęki stają się nowymi lękami i tak dalej.

– Znasz któryś z kowenów w Edynburgu?

– Znam ludzi, którzy twierdzą, że są w niektórych z nich.

– Ale nie byłeś z nikim na sabacie?

– Niestety, nie. – Charlie nagle się ożywił. – Co to wszystko ma znaczyć? Ronnie przedawkował. To już historia. Po co te pytania?

– Co możesz mi powiedzieć o świecach?

W Charliem się zagotowało.

– Co mogę powiedzieć o świecach?

Rebus był całkowicie spokojny. Wypuścił dym, po czym kontynuował:

– W salonie były świece. – Był bliski zdradzenia chłopakowi czegoś, o czym ten najwyraźniej nie wiedział. Przez całe przesłuchanie zmierzał do tego kulminacyjnego momentu.

– To prawda. Duże świece. Ronnie kupił je w jakimś sklepie ze świecami. Lubił je, nadawały temu miejscu klimat.

– Tracy znalazła Ronniego w jego pokoju. Sądzi, że wtedy już nie żył. – Głos Rebusa stał się niższy i płaski jak blat biurka. – Ale zanim do nas zadzwoniła, a w domu pojawiła się policja, ciało twojego kumpla zostało przeniesione na dół. Położono je między dwiema świecami, które doszczętnie się wypaliły.

– I tak niewiele z nich zostało, gdy stamtąd wychodziłem.

– O której wyszedłeś?

– Tuż przed północą. Gdzieś na osiedlu miała być impreza, więc pomyślałem, że może ktoś mnie zaprosi.

– Jak długo paliły się świece?

– Godzinę, dwie. Bóg jeden wie.

– Ile narkotyku zażył Ronnie?

– Chryste, nie wiem.

– Hm... a ile zazwyczaj przyjmował za jednym razem?

– Naprawdę nie wiem. Nie jestem ćpunem. Nie znoszę tego świństwa. Dwóch moich przyjaciół z liceum siedzi w prywatnych zamkniętych klinikach...

– Dobrze im to robi.

– Jak już mówiłem, Ronnie od kilku dni nie mógł zdobyć towaru. Był wycieńczony, prawie na dnie. Potem wrócił niespodziewanie z kilkoma działkami. Koniec historii.

– Nie miał dostępu do towaru?

– O ile mi wiadomo, na rynku jest go cholernie dużo, ale niech pan sobie oszczędzi pytania o nazwiska.

– Skoro tak, to dlaczego miał problem ze zdobyciem narkotyków?

– Bóg jeden wie. On sam już nic nie wiedział. Popadał w przygnębienie, a potem nagle znów był radosny, no i wtedy miał ten towar.

Nadszedł czas. Rebus wyrwał z koszuli niewidzialną nici.

– Ronnie został zamordowany – powiedział. – A przynajmniej można to tak określić.

Charlie otworzył usta. Krew odpłynęła z jego twarzy jak woda w zlewie po wyjęciu kurka.

– Co takiego?!

– Został zamordowany. Jego ciało było pełne trutki na szczury. Sam ją wstrzyknął, ale truciznę dostarczył ktoś, kto zapewne wiedział, że działka będzie śmiertelna. Włożył wiele pracy w ułożenie ciała Ronniego w jakiejś rytualnej pozycji, w salonie, tam gdzie jest twój pentagram.

– Zaraz, zaraz, co pan...?

– Ile kowenów jest w Edynburgu, Charlie?

– Co? Sześć, siedem, nie wiem. Niech pan pos...

– Znasz ich? Któregoś z członków? Chodzi mi o to, czy znasz ich osobiście?

– Chryste, człowieku, nie zrzucisz tego na mnie!

– Dlaczego nie? – Rebus zgasił papierosa.

– Bo to szaleństwo.

– Te puzzle do siebie pasują, Charlie. – Zakończ to, pomyślał Rebus. Chłopak jest już na skraj załamania. – Chyba że mnie przekonasz, że jest inaczej.

Charlie podszedł do drzwi, ale się zatrzymał.

– Śmiało! – zawołał Rebus. – Nie są zamknięte. Możesz wyjść w każdej chwili. Będę wtedy wiedział, że maczałeś palce w tej brudnej sprawie.

Chłopak się odwrócił. W zamglonym świetle jego oczy wydawały się wilgotne. Promień słońca zza zakratowanego okna, przenikający przez oszronioną szybę, wyłapywał drobiny kurzu i zamieniał je w baletnice tańczące w zwolnionym tempie. Charlie przedarł się przez nie i wrócił do biurka.

– Nie mam z tym nic wspólnego, słowo daję.

– Siadaj – powiedział Rebus, już jak miły wujek. – Porozmawiajmy jeszcze.

Ale Charlie nie lubił wujków. Nigdy ich nie lubił. Położył ręce na biurku i pochylił się w stronę inspektora. Narastał w nim bunt, a gdy otworzył usta, zęby zaśliniły w szewskiej pasji.

– Idź do diabła, Rebus. Widzę, co kombinujesz, i prędzej mnie diabli wezmą, niż dam się wmanewrować w tę sprawę. Aresztuj mnie, jeśli chcesz, ale nie obrażaj mnie tanimi sztuczkami, przerabiałem je w pierwszym semestrze.

A potem odmaszerował. Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz, nie zamykając ich za sobą. Rebus wstał od biurka, wyłączył dyktafon, wyjął kasetę, wsunął ją do kieszeni i podążył za nim. Gdy dotarł do holu, Charliego już nie było, więc skierował się do dyżurki.

Sierżant podniósł wzrok znad papierów.

– Spóźnił się pan, inspektorze, przed chwilą wyszedł – powiedział.

Rebus skinął głową.

– Dobra, mniejsza z tym.

– Nie wyglądał na zadowolonego.

– Czy wykonywałbym swoją robotę, gdyby ludzie wychodzili stąd, tarzając się ze śmiechu?

Sierżant uśmiechnął się.

– Pewnie nie. Co mogę dla pana zrobić?

– Przedawkowanie w Pilmuir. Mam nazwisko denata: Ronnie McGrath. Urodzony w Stirling. Spróbuj znaleźć jego rodziców, okej?

Sierżant nabazgrał nazwisko na kartce.

– Jestem pewien, że będą zachwyceni, gdy usłyszą, jak ich syn poradził sobie w wielkim mieście.

– Tak... – Rebus spojrział w stronę drzwi wejściowych. – Jestem pewien, że tak będzie.

MIESZKANIE JOHNA REBUSA BYŁO JEGO FORTECĄ. Po przekroczeniu progu podnosił most zwodzony i pozwalał, żeby jego umysł się opróżnił, odseparowany od świata na tak długo, jak to było możliwe. Nalewał sobie drinka, włączał muzykę (saksofon tenorowy) i brał coś do czytania. Parę tygodni temu postanowił być porządny i ustawił pod jedną ze ścian salonu półki; zamierzał umieścić na nich obszerną kolekcję książek. Ale jakoś udało im się przeczołgać po podłodze pod jego stopy i obecnie służyły za kładkę prowadzącą do przedpokoju i sypialni.

Przeszedł przez nie w drodze do wykuszowego okna i zasunął zakurzone żaluzje. Przez kilka listew, które zostawił rozchylone, wlewały się truskawkowe promyki wieczornego światła, przywodząc mu na myśl salę przesłuchań...

Nie, nie, nie tym razem, nie dam się wciągnąć w robotę. Musiał oczyścić umysł, znaleźć książkę, która pochłonęłaby go do reszty, porwała w swój mały wszechświat, z dala od widoków i zapachów

Edynburga. Stapał twardo po dziełach Czechowa, Hellera, Rimbauda i Kerouaca, idąc do kuchni po butelkę wina.

Pod blatem kuchennym, w miejscu, w którym kiedyś była pralka, stały dwa kartonowe pudła. Rhona ją zabrała, na co sam zresztą się zgodził.

Powstała w ten sposób przestrzeń nazwał swoją piwniczką na wino i od czasu do czasu zamawiał różne gatunki z dobrego małego sklepu za rogiem. Włożył rękę do jednego z pudeł i wyciągnął Château Potensac. Tak, pił już wcześniej to wino. Nadawało się.

Wlał jedną trzecią butelki do dużego kieliszka i wrócił do salonu, po drodze podniósł z podłogi jedną z książek. Zanim spojrział na okładkę, już siedział w fotelu: *Nagi lunch*. Nie, zły wybór. Odrzucił książkę i sięgnął po inną. *Niezwykły przypadek doktora Jekylla i pana Hyde'a*. W porządku, nie czytał jej od wieków, więc mógł zrobić to teraz, zwłaszcza że była przyjemnie krótka. Łyknął wina, rozprowadził je po jamie ustnej, by wyczuć jego bukiet, a potem przełknął i otworzył książkę.

I w tym momencie ktoś zastukał do drzwi, jak w scenariuszu dreszczowca. Odgłos wydany przez Rebusa przypominał coś pomiędzy westchnieniem a rykiem. Odłożył otwartą książkę na podłokietniku fotela i podniósł się. Prawdopodobnie była to pani Cochrane z dołu, która chciała oznajmić mu, że nadeszła jego kolej na szorowanie wspólnej klatki schodowej. Z pewnością miała przy sobie dużą tabliczkę z imperatywnym napisem: TWOJA KOLEJ MYCIA SCHODÓW. Dlaczego nie mogła po prostu powiesić jej na drzwiach, jak robili to wszyscy inni?

Kiedy otwierał drzwi, próbował przylepić na twarz sąsiadzki uśmiech, ale aktor w nim zszedł już dzisiaj ze sceny. Wykrzywił boleśnie wargi, gdy dostrzegł gościa za progiem.

To była Tracy.

Twarcz miała czerwoną, w jej oczach lśniły łzy, ale silny rumieniec nie był spowodowany płaczem. Wyglądała na wyczerpaną, włosy miała mokre od potu.

– Czy mogę wejść? – wydusiła.

Rebus nie miał serca odmówić. Pchnął mocno drzwi, otwierając je na oścież, a ona potknęła się, przechodząc obok niego, i podreptała prosto do salonu, jakby była w nim już sto razy. Rebus sprawdził, czy na klatce schodowej nie ma ciekawskich sąsiadów, i zamknął drzwi. Poczul mrowienie w kościach. Nie było to przyjemne uczucie – nie lubił, gdy ludzie go tu odwiedzali.

A przede wszystkim nie lubił, kiedy do mieszkania przychodziła praca.

Zanim dotarł do salonu, Tracy zdążyła wypić wino z jego kieliszka i teraz wzdychała z ulgą, bo jej pragnienie zostało ugaszone. Dokuczliwe uczucie dyskomfortu narastało w Rebusie, aż stało się nie do zniesienia.

– Jak, do cholery, znalazłaś mój adres? – zapytał, stojąc w drzwiach, jakby liczył na to, że dziewczyna wyjdzie.

– Niełatwo – odparła. Jej głos był spokojniejszy, a ton familiarny: – Powiedział pan, że mieszka w Marchmont, więc wędrowałam po okolicy w poszukiwaniu pana samochodu. Potem znalazłam pana nazwisko na domofonie na dole.

Musiął przyznać, że byłaby dobrym detektywem – przy tej robocie trzeba się nieźle nachodzić.

– Ktoś mnie śledził – oznajmiła. – Przestraszyłam się.

– Śledzili cię? – Wszedł do pokoju, zaciekawiony, prawie zapominając, że jego mir domowy został naruszony.

– Tak, jacyś faceci. Chyba było ich dwóch. Szpiegowali mnie przez całe popołudnie. Byłam na Princes Street, spacerowałam, a oni wciąż tam byli, parę kroków za mną. Musieli wiedzieć, że ich

widzę.

– I co się działo dalej?

– Zgubiłam ich. Weszłam do Marksa and Spencera, pobiegłam co sił w nogach do wyjścia na Rose Street i ukryłam się w damskiej toalecie w pubie. Siedziałam tam przez godzinę. To chyba załatwiło sprawę. Potem dotarłam tutaj.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– Nie mam kasy. To dlatego najpierw poszłam na Princes Street.

Rozsiadła się w jego fotelu, z rękami przewieszonymi przez podłokietniki. Rebus wskazał pusty kieliszek.

– Chcesz jeszcze?

– Nie, dziękuję. Nie przepadam za bełtami, ale chciało mi się pić jak cholera. Za to chętnie przyjmę szklanekę herbaty.

– Herbata, robi się. – Bełt, a to dobre! Wyborne wino z dobrego rocznika! Odwrócił się i przeszedł do kuchni, częściowo rozmyślając nad herbatą, a częściowo nad jej opowieścią. W jednej z niewielu zapelnionych szafek znalazł nieotwarte pudełko z torebkami herbaty. Nie miał świeżego mleka, ale w starej puszce znalazł parę łyżek sproszkowanego substytutu. Teraz cukier...

Z salonu dobiegła nagle muzyka, ustawiony na pełną głośność *White Album*. Boże, zapomniał, że ma jeszcze tę starą kasetę. Otworzył szufladę na sztuce, znalazł łyżeczkę do herbaty, a potem wygrzebał kilka saszetek cukru, skradzionych kiedyś z kantyny. Szczęśliwy traf. Czajnik zaczynał gwizdać.

– To mieszkanie jest ogromne!

Zaskoczyła go. Był tak nieprzyzwyczajony do obcych głosów w swoim mieszkaniu! Odwrócił się i zobaczył Tracy opierającą się o framugę drzwi, z głową odchyloną na bok.

– Tak myślisz? – powiedział, płucząc kubek.

– Chryste, tak. Spójrz tylko na ten wysoki sufit! – Stała na palcach i wyciągnęła rękę do góry, machając dłonią.

Rebus obawiał się, że coś zażyła, jakieś prochy, kiedy on był na tropie zaginionej torebki z herbatą. Chyba wyczuła jego myśli, bo uśmiechnęła się.

– Po prostu mi ulżyło – powiedziała. – Jestem oszołomiona po tym biegu i pewnie ze strachu... ale teraz czuję się bezpiecznie.

– Jak wyglądali ci mężczyźni?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że byli trochę podobni do ciebie. – Uśmiechnęła się znowu. – Jeden miał wąsy. Był grubawy, jakby chudszy na górze, ale nie stary. Drugiego nie pamiętam. Musiał wyglądać nijako.

Rebus nalał wody do kubka i włożył torebkę herbaty.

– Mleko?

– Nie, tylko cukier, jeśli masz.

Pomachał do niej jedną z saszetek.

– Świetnie.

Gdy wrócił do salonu, podszedł do wieży stereo i ściszył dźwięk.

– Przepraszam – rzuciła Tracy, siadając na krześle z podkulonymi nogami. Łyknęła herbaty.

– Nie mam pewności, czy moi sąsiedzi nie słyszą, jak puszczam muzykę – powiedział Rebus, jakby się usprawiedliwiał. – Ściany są dość grube, ale nie sufit.

Skinęła głową i dmuchnęła do kubka; para spowiła jej twarz niczym welon.

– A więc – Rebus wyciągnął rozkładane krzesło spod stołu i usiadł – co zrobimy z tymi mężczyznami, którzy cię śledzili?

– Nie wiem, to pan jest gliną.

– Ta cała historia brzmi dla mnie jak fabuła dreszczowca. Dlaczego ktoś miałby cię śledzić?

– Żeby mnie wystraszyć?

– A dlaczego ktoś chciałby cię wystraszyć?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

– A tak przy okazji, widziałem się dziś z Charliem – powiedział.

– Naprawdę?

– Lubisz go?

– Charliego? – W jej śmiechu było słycać przerażenie. – Jest okropny. Zawsze kręci się gdzieś w pobliżu, nawet gdy to oczywiste, że nie jest mile widziany. Wszyscy go nienawidzą.

– Wszyscy?

– Tak.

– Ronnie też go nienawidził?

Przez chwilę milczała.

– Nie – rzuciła w końcu. – Ronnie nie widział, że to straszny człowiek.

– A co z tym drugim przyjacielem Ronniego? Z Neilem. Albo Neillym. Co możesz mi o nim powiedzieć?

– Czy to ten facet, który był tam zeszłej nocy?

– Tak.

Wzruszyła ramionami.

– Nigdy wcześniej go nie widziałam. – Zainteresowała się książką leżącą na podłokietniku fotela, podniosła ją i przewracała kartki, udając, że czyta.

– Ronnie nigdy nie wspominał ci o Neilu czy Neillym?

– Nie. – Machnęła książką. – Ale mówił o jakimś Edwardzie. Wściekał się na niego, wykrzykiwał to imię, gdy był sam w pokoju po strzale w żyłę.

Rebus kiwał powoli głową.

– Edward... Może to jego diler?

– Nie wiem. Być może. Ronnie czasem świrował po dragach, stawał się jakby innym człowiekiem. A przecież był taki słodki, taki delikatny... – Głos jej zamarł, oczy się zaszklily.

Rebus sprawdził godzinę.

– Dobrze, może odwiozę cię do squatu? Sprawdźmy, czy nikt nas nie obserwuje.

– Sama nie wiem... – Strach powrócił na jej twarz, wymazując z niej dorosłe lata, przemieniając ją w małą dziewczynkę bojącą się cieni i duchów.

– Będę z tobą – dodał Rebus.

– Dobrze... Mogę najpierw coś zrobić?

– Co takiego?



Pociągnęła za wilgotne ubranie.

– Wziąć kąpiel – powiedziała. Potem się uśmiechnęła. – Nie chcę być bezczelna, ale naprawdę mi się przyda... W sęquacie nie ma wody.

Rebus odwzajemnił uśmiech i skinął głową.

– Moja wanna jest do twojej dyspozycji – powiedział.

KIEDY BYŁA W ŁAZIENCIE, powiesił jej ubrania na kaloryferze w przedpokoju. Włączenie centralnego ogrzewania zrobiło z mieszkania saunę i Rebus zmagał się z oknami w salonie, bezskutecznie próbując je otworzyć. Zaparzył więcej herbaty, tym razem w dzbanku, i właśnie niósł go do salonu, gdy usłyszał wołanie Tracy z łazienki. Kiedy wszedł do przedpokoju, wystawiła głowę za drzwi, wokół niej kłębiła się para. Jej włosy, twarz i szyja błyszcząły.

– Nie ma ręczników – powiedziała.

– Przepraszam. – Znalazł kilka w szafce w swoim pokoju i wcisnął je z zażenowaniem przez szparę w drzwiach.

– Dziękuję! – zawołała.

Zmienił *White Album* na muzykę jazzową, którą puścił z płyty winylowej, a kiedy dziewczyna weszła do salonu, siedział już z herbatą. Duży czerwony ręcznik fachowo zawiązała wokół ciała, a drugim owinęła głowę. Często się zastanawiał nad talentem kobiet do kreatywnego wykorzystywania ręczników. Jej ramiona i nogi były blade i szczupłe, ale nie miał wątpliwości, że jej kształty są przyjemne dla oka, a blask czystości otulał ją niczym anielska aureola. Przypomnił sobie jej zdjęcie z pokoju Ronniego, a potem przyszedł mu na myśl zagubiony aparat.

– Czy Ronnie długo był entuzjastą fotografii? Mam na myśli to, czy fotografował od dawna? – Te słowa zabrzmiały mało subtelnie, jak gdyby Ronnie był amatorem, ale uszło to uwagi Tracy.

– Chyba tak. Był dobry, miał świetne oko, dziwne, że nie zaistniał w branży.

– A bardzo się starał?

Spojrzała na niego urażona.

– Cholernie się starał.

Być może Rebus pozwolił, by do jego tonu wkradło się zbyt wiele zawodowego sceptycyzmu.

– No tak – rzucił. – Wyobrażam sobie, że niełatwo o pracę w tym zawodzie.

– To prawda. Poza tym koledzy po fachu wiedzieli, jak dobry był Ronnie, a że nie chcieli konkurencji, kopali pod nim dołki.

– Mówisz o innych fotografach?

– Tak. Ronnie wierzył w swoje marzenia, ale nie bardzo wiedział, jak je zrealizować. Chodził więc po zakładach fotograficznych i pokazywał swoje prace fachowcom. Miał wiele naprawdę inspirujących kadrów. Wie pan, piękne scenerie widziane pod różnym kątem. Zamek, pomnik Scotta, Calton Hill.

– Calton Hill?

– Tak, no i ta wieża, jak jej tam...

– McCaig's Folly.

– Właśnie.

Ręcznik zsunął się z niej nieco, a gdy podciągnęła pod siebie nogi i piła herbatę, odsłaniał prawie całe uda. Rebus z trudem próbował skupić wzrok na jej twarzy.

– Ktoś skopiował kilka jego pomysłów – ciągnęła. – Ronnie zobaczył zdjęcie w jednym z lokalnych dzienników, które wyglądało niemal dokładnie jak jego: ten sam kąt, ta sama pora dnia, tak samo wywołane. Ci dranie ukradli mu zlecenie. Pod zdjęciami zobaczył ich nazwiska i okazało się, że to ci sami faceci, którym pokazywał swoje portfolio.

– Jak się nazywali?

– Teraz już nie pamiętam. – Poprawiła ręcznik. Wydawało się, że w tej czynności jest coś obronnego. Czy tak trudno było zapamiętać nazwiska? Zachichotała. – Namawiał mnie, żebym mu pozowała.

– Widziałem efekt.

– Nie, nie w ten sposób. No wie pan, nagie zdjęcia. Twierdził, że mógłby je sprzedać do niektórych magazynów za fortunę. Ale nie zgodziłam się. To znaczy... pieniędzmi bym nie pogardziła, ale te czasopisma się rozchodzą. Ludzie rzadko je wyrzucają. Nie chciałam, żeby ktoś mnie rozpoznał na ulicy. – Czekala na reakcję Rebusa, ale jego twarz zdradzała jedynie konsternację, więc roześmiała się gardłowo. – Więc to nieprawda, co mówią. Można zawstydzić gliniarza.

– Czasami. – Rebusa zapiekły policzki. Przyłożył rękę do jednego z nich, musiał coś z tym zrobić. – Czy aparat Ronniego był dużo wart? – zapytał.

Wyglądała na zaskoczoną nagłym zwrotem w rozmowie i jeszcze mocniej owinęła się ręcznikiem.

– To zależy. W końcu cena i wartość to nie to samo, prawda?

– Nie?

– Mógł zapłacić za aparat dychę, ale to nie znaczy, że był dla niego wart tylko dychę. Rozumie pan?

– Więc aparat kosztował go dziesięć funtów?

– Nie, nie, nie. – Pokręciła głową, nieostroźnie obsuwając ręcznik. – Myślałam, że trzeba być bystrym, żeby pracować w wydziale dochodzeniowym. Chodzi mi o to, że... – Spojrzała na sufit i ręcznik zsunął się z jej głowy, tak że potargane kosmyki włosów rozłożyły się na czole. – Nieważne. Aparat kosztował około stu pięćdziesięciu funtów, teraz jasne?

– Dziękuję.

– Interesuje się pan fotografią?

– Dopiero od niedawna. Więcej herbaty? – Napelnił kubek, a potem dodał saszetkę cukru. Dziewczyna lubiła dużo cukru.

– Dzięki – powiedziała, przyjmując kubek, po czym zanurzyła twarz w parze. – Czy mogę pana prosić o przysługę?

Więc o to jej chodzi, pomyślał Rebus: o pieniądze. Już wcześniej zanotował w myślach, że zanim pozwoli jej wyjść, powinien sprawdzić, czy w mieszkaniu niczego nie brakuje.

– Słucham?

Prześwidrowała go wzrokiem.

– Czy-mogę-zostać-na-noc? – wyrzuciła z siebie jednym ciągiem. – Będę spała na kanapie albo na podłodze, to będzie okej. Nie chcę wracać do squatu, nie dzisiaj. Te wszystkie okropne wydarzenia... a na dodatek ci faceci, którzy mnie śledzili...

Zadrzała i Rebus musiał przyznać, że jeśli to wszystko było tylko grą, to dziewczyna zasługiwała na Oscara. Wzruszył ramionami i już miał się odezwać, ale wstał i podszedł do okna, odkładając decyzję na potem. Pomarańczowe latarnie uliczne rzucały na chodnik blask rodem z hollywoodzkiego planu filmowego. Na zewnątrz, dokładnie naprzeciwko mieszkania, stał samochód. Rebus stał dwa piętra nad

nim, więc nie mógł zajrzeć do środka, ale podejrzwał, że szyba po stronie kierowcy jest lekko opuszczona, bo ulatniał się stamtąd dym.

– No więc? – wyszeptwała za jego plecami Tracy. Całkowicie straciła pewność siebie.

– Słucham? – rzucił z roztargnieniem Rebus.

– Czy mogę...

Odwrócił się w jej stronę.

– Czy mogę zostać? – powtórzyła.

– Jasne. – Ruszył do drzwi. – Zostań, jak długo chcesz.

Był w połowie krętej klatki schodowej, kiedy zdał sobie sprawę, że nie włożył butów. Zatrzymał się na chwilę i zastanowił nad tym. Ech, do diabła. Matka zawsze go przestrzegwała przed wyiębieniem, ale wracał do domu cały i zdrow. Teraz był dobry moment, żeby sprawdzić, czy szczęście nadal mu dopisuje.

Mijał właśnie drzwi na pierwszym piętrze, kiedy otworzyły się ze skrzypieniem i z mieszkania wyszła pani Cochrane, blokując Rebusowi drogę masywną sylwetką.

– Pani Cochrane – przywitał ją, gdy minął początkowy szok.

Podala mu coś do ręki, a on automatycznie to przyjął. Kawałek kartonu, dwadzieścia pięć centymetrów na dziesięć. Przeczytał: DZIŚ TWOJA KOLEJ MYCIA SCHODÓW. Kiedy podniósł wzrok, drzwi mieszkania pani Cochrane już się zamykały i mógł niemal usłyszeć, jak kobieta szura kapciami w stronę telewizora i kota. Śmierdzące babsko.

Rebus z tabliczką w dłoni podreptał na dół; chłód schodów przenikał przez skarpety. Kot też nie pachnie zbyt przyjemnie, pomyślał złośliwie.

Drzwi wejściowe były zamykane na zasuwę. Rozsunął ją, starając się, by wiekowy mechanizm zadziałał jak najciszej. Gdy wyszedł na zewnątrz, samochód wciąż tam stał, dokładnie naprzeciw niego. Ale kierowca już go zauważył; wyrzucił niedopałek papierosa na jezdnię i uruchomił silnik. Rebus na palcach podbiegł do krawężnika. Reflektory samochodu zapaliły się nagle, ich wiązka była mocna jak w stalagu. Rebus zatrzymał się i zmużył oczy, gdy kierowca dodał gazu, odbił w lewo i popędził w dół, do końca ulicy. Rebus nie spuszczał wzroku z auta, próbując odczytać numer rejestracyjny, ale jego oczy chłonęły tylko białe plamy. Jednego był pewien – to był ford escort.

Samochód zatrzymał się na skrzyżowaniu z drogą z pierwszeństwem przejazdu i czekał, aż będzie mógł je opuścić. Niedaleko, niecałe sto metrów dalej. Rebus podjął decyzję. W młodości był niezłym sprinterem, wystarczająco dobrym dla szkolnej drużyny w sytuacjach, gdy brakowało zawodników. Popędził na złamanie karku w stronę auta, ogarnięty czymś w rodzaju pijackiej euforii, i przez myśl przebiegło mu wino, które otworzył. Kwas w żołądku podniósł się do gardła na samo wspomnienie, więc zwolnił. Za późno; poślizgnął się na czymś, co leżało na chodniku, i ujrzał, jak samochód z rykiem pokonuje skrzyżowanie.

Nieważne. Wystarczył rzut oka po tym, jak uchylił drzwi wejściowe: widział mundur policyjny. Twarzy nie, ale mundur na pewno. Policjant, mundurowy, prowadzący escorta. Z rozmyślań wybudził go rechot. Tuż obok niego przeszły dwie dziewczyny, rozbawione jego widokiem, i wtedy zdał sobie sprawę, że stoi na chodniku, sapiąc, bez butów, z tabliczką informującą, że nadeszła jego KOLEJ MYCIA SCHODÓW. Zerknął pod nogi i zobaczył, na czym się poślizgnął.

Zaklął cicho, ściągnął skarpety, wyrzucił je do rynsztoka i bosy wrócił do mieszkania.

POSTERUNKOWY Z DOCHODZENIÓWKI, Brian Holmes, pił herbatę. Uczynił z tego coś w rodzaju rytuału; trzymając kubek przy twarzy, dmuchał na nią, a potem sączył leniwie. Dmuchięcie, sączenie, przełknięcie. I parujący wydech. Dziś trząsał się z zimna, zziębnięty jak wółczęga na ławce w parku. Nie miał nawet gazety, a herbata smakowała obrzydliwie, przelana z termosu, wrząca i pachnąca plastikiem. Mleko też nie było najświeższe, ale przynajmniej napar był rozgrzewający. Nie na tyle jednak, by rozmrozić palce u stóp, jeśli jeszcze w ogóle je miał.

– Coś się dzieje? – syknął do aktywisty organizacji na rzecz zwierząt SSPCA.

Ten przyłożył lornetkę do oczu, jakby chciał ukryć zakłopotanie.

– Nic – wyszeptał.

Zgłoszenie było anonimowe. Trzecie w tym miesiącu i prawdę mówiąc, pierwsze bezpodstawne. Walki psów znowu były modne. W ciągu ostatnich trzech miesięcy znaleziono kilka „ringów” – małych, brudnych dołów otoczonych kawałkami blachy, zlokalizowanych głównie na złomowiskach. Ale dziś wieczorem sprawdzali kawał pustkowie. Nieopodal przejeżdżały pociągi towarowe, zmierzające do centrum miasta, ale poza nimi i cichym szumem odległego ruchu ulicznego miejsce to było ziemią niczyją. Owszem, ktoś wykopał prowizoryczny dół. Zajrzeli do niego w świetle dziennym, rznąc głupa, że wyprowadzają na spacer swoje wilczury, które w rzeczywistości były psami policyjnymi. Rozglądali się za pitbulterierami, bo to je wykorzystywano do walk. Brian Holmes widział kilka psów tej rasy, weteranów z oczami oszalałymi z bólu i strachu. W pobliżu nie było żadnego weterynarza ze śmiertelnym zastrzykiem.

– Poczekaj – rzucił.

Przez pustkowie szło dwóch mężczyzn z rękami w kieszeniach, ostrożnie torujących sobie drogę po nierównej nawierzchni i uważających na nieprzewidziane krater. Wydawało się, że wiedzą, dokąd zmierzają: prosto do płytkiego dołu. Tam rozejrzeli się po raz ostatni. Brian Holmes wpatrywał się prosto w nich; wiedział, że nie są w stanie go zobaczyć. Podobnie jak aktywista SSPCA, przykucnął za gęstym krzakiem i oparł się o ścianę jakiegoś budynku. Choć światło słoneczne padało w kierunku dołu, tutaj było go niewiele, więc, jak w lustrze weneckim, mógł widzieć, nie będąc widzianym.

– Mam was – powiedział aktywista SSPCA, gdy dwaj mężczyźni zeskoczyli do dołu.

– Czekaj – rzucił Holmes, nagle ogarnięty przeczuciem.

Mężczyźni zaczęli się obejmować, a kiedy osuwali się na ziemię, ich twarze połączyły się w powolnym, przedłużającym się pocałunku.

– Chryste! – wykrzyknął człowiek z SSPCA.

Holmes westchnął. Spojrzał w dół na wilgotną, twardą jak skała ziemię pod swoimi kolanami.

– Nie sądzę, żeby pitbule wchodziły tu w grę – skwitował. – A nawet jeśli, to raczej mamy tu bestialstwo niż szczególne okrucieństwo.

Aktywista SSPCA wciąż trzymał lornetkę przy oczach, przerażony i zaabsorbowany.

– Słyszysz różne historie... – odezwał się – ale nigdy nie... no... wiesz.

– Nie widzi się ich na własne oczy? – podpowiedział mu Holmes, z bólem powoli wstając na nogi.

ROZMAWIAŁ Z FUNKCJONARIUSZEM na nocnej służbie, kiedy nadeszła wiadomość. Inspektor Rebus chciał zamienić z nim słowo.

– Rebus? Czego on może chcieć? – Brian Holmes spojrział na zegarek. Była druga piętnaście w nocy.

Rebus był w domu i właśnie tam Holmes miał zadzwonić. Sięgnął po słuchawkę w dyżurce.

– Halo? – Rozpoznał oczywiście inspektora, pomagał mu przy kilku sprawach, ale telefony w środku nocy? Tego jeszcze nie było.

– Czy to ty, Brian?

– Tak, panie inspektorze.

– Masz kartkę? Chcę, żebyś coś zapisał.

Wygrzebując niezdarnie notatnik i długopis, Holmes odniósł wrażenie, że słyszy muzykę grającą na linii. Gdzieś już to słyszał. Ach, tak, *White Album* Beatlesów.

– Gotowy?

– Tak jest.

– W porządku. Wczoraj, a właściwie kilka dni temu, znaleziono martwego ćpuna w Pilmuir. Przedawkowanie. Dowiedz się, kim byli mundurowi, którzy go znaleźli. Niech przyjdą do mojego biura o dziesiątej. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, panie inspektorze.

– Dobrze. Chcę, żebyś zrobił dla mnie coś jeszcze. Weź adres budynku, gdzie znaleziono ciało, odbierz klucze od tego, kto je trzyma, i pojedź tam. W jednym z pokoi na piętrze jest ściana pokryta zdjęciami, niektóre z nich przedstawiają zamek w Edynburgu. Zabierz je i idź do redakcji lokalnej gazety. W archiwum powinni mieć stos zdjęć. Jeśli będziesz miał szczęście, może trafisz na dyżur starego wygi z pamięcią słonia. Chcę, żebyś poszukał wszelkich fotografii, które zostały ostatnio opublikowane w gazecie i wyglądają, jakby zostały zrobione pod tym samym kątem, co te na ścianie w sypialni. Zrozumiałeś?

– Tak, panie inspektorze – powiedział Holmes, bazgrząc zaciekłe.

– Świetnie. Muszę wiedzieć, kto zrobił te zdjęcia do gazety. Na odwrocie każdej odbitki będzie pieczętka lub coś w tym rodzaju, z nazwiskiem i adresem.

– Coś jeszcze, panie inspektorze? – Słowa posterunkowego wybrzmiały jak sarkazm, nie wiadomo tylko, czy zamierzony.

– Tak. – Rebus jakby ściszył głos o decybel. – Na ścianie sypialni znajdziesz kilka zdjęć pewnej młodej kobiety. Chciałbym dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Każe do siebie mówić Tracy i twierdzi, że to jej drugie imię. Popytaj w okolicy, pokaż zdjęcie wszystkim, którzy twoim zdaniem mogą coś wiedzieć.

– Dobrze, panie inspektorze. Jedno pytanie.

– Śmiało.

– Dlaczego ja? Dlaczego teraz? Po co to wszystko?

– To są trzy pytania. Odpowiem na tyle, na ile zdołam, kiedy spotkamy się jutro po południu. Bądź w moim biurze o piętnastej.

Połączenie przerwano. Brian Holmes wpatrywał się w pijane rzędy liter w swoim notatniku: skrócony plan tygodniowej pracy, dostarczony mu w ciągu kilku minut. Dyżurny funkcjonariusz przeczytał go, patrząc ponad ramieniem Holmesa.

– Nie chciałbym być na twoim miejscu – wyznał szczerze.

JOHN REBUS WYBRAŁ HOLMESA z wielu powodów, ale głównie dlatego, że ten niewiele o nim wiedział. Chciał kogoś, kto będzie pracował wydajnie, metodycznie, nie robiąc przy tym zbyt wiele

zamieszania. Kogoś, kto nie znał go na tyle dobrze, by mieć pretensje, że trzyma się go w niewiedzy i używa jak lokomotywy manewrowej. Kogoś, kto będzie jak chłopak na posyłki i wierny pies tropiciel. Rebus wiedział, że Holmes ma na komendzie dobrą opinię za skuteczność i za to, że nie zrzędzi. To wystarczyło, żeby zlecić mu tę robotę.

Przeniósł telefon z przedpokoju do salonu, położył na półce z książkami i podszedł do hi-fi, żeby włączyć kasetę i wzmacniacz. Wyjrzał na pustą ulicę, której światło latarni nadawało kolor czerwonego sera leicester. Ten obraz przypominał mu o przekąsce o północy, którą obiecał sobie kilka godzin temu, więc uznał, że nadeszła pora na wizytę w kuchni. Tracy niczego by nie chciała, był tego pewien. Przyglądał się jej, gdy leżała na kanapie, z głową przechyloną w stronę podłogi, z jedną ręką na brzuchu, a drugą zwisającą w dół, jakby chciała dotknąć wełnianego dywanu. Jej oczy były niewidzącymi szczelinami; usta, otwarte w posępnym grymasie, odsłaniały niewielką szparę między dwoma przednimi zębami. Spała spokojnie, gdy zarzucił na nią koc; sen miała twardy, oddech miarowy. Coś go dręczyło, lecz nie potrafił określić co. Może głód. Miał nadzieję, że zamrażarka sprawi mu miłą niespodziankę. Ale najpierw znów podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Ulica była zupełnie martwa i on czuł się tak samo: martwy, ale aktywny. Podniósł z podłogi *Niezwykły przypadek doktora Jekylla i pana Hyde'a* i zaniósł książkę do kuchni.

# ŚRODA

*Im bardziej coś jest podejrzane, tym mniej zadaję pytań.*

POSTERUNKOWI HARRY TODD i Francis O'Rourke stali przed biurem Rebusa, kiedy rano dotarł na spotkanie. Opierali się o ścianę, oddawali leniwej rozmowie, na pozór nie przejmując się dwudziestominutowym spóźnieniem inspektora, który uznał, że szlag by go trafił, gdyby miał przeprosić. Wdrapał się na szczyt schodów i zauważył z satysfakcją, że stanęli na baczność i zamknęli usta.

To był dobry początek.

Otworzył drzwi, wszedł do pokoju i zamknął je, kruszeli jeszcze przez minutę. Teraz naprawdę mieliby o czym rozmawiać. Zadzwonił do sierżanta dyżurnego, ale Briana Holmesa nie było na komendzie. Wyjął z kieszeni skrawek papieru i wykrcił numer do domu Holmesa. Telefon wydzwaniał bez odzewu; posterunkowy musiał być w terenie.

Dobra passa trwała.

Na biurku leżała poczta. Rebus przewertował ją, zatrzymując się na chwilę, żeby wyciągnąć notatkę od komendanta Watsona. Zaproszenie na lunch. Dzisiaj. O dwunastej trzydzieści. Do diabła, o trzeciej miał się spotkać z Holmesem. Lunch był z biznesmenami, którzy wyłożyli twardą gotówkę na kampanię antynarkotykową Watsona. Do diabła! Na dodatek odbywał się w The Eyrie, co oznaczało założenie krawata i czystej koszuli. Rebus spojrział w dół na swoją. Nadawałaby się. Ale krawat już nie. Do diabła!

Uśmiech opuścił jego duszę.

Podobnie jak uśmiech losu. Tracy obudziła go rano ze śniadaniem na tacy: sok pomarańczowy, tosty i miód, mocna kawa. Wyszła z domu wcześniej, zabierając ze sobą trochę pieniędzy, które znalazła na regale w salonie – miała nadzieję, że nie będzie miał nic przeciwko temu. Znalazła otwarty sklep na rogu, zrobiła zakupy, wróciła do mieszkania i zrobiła mu śniadanie.

– Dziwię się, że nie obudził cię zapach palących się tostów – powiedziała.

– Patrzysz na człowieka, który przespał *Płonący wieżowiec* – odparł.

Roześmiała się, a potem usiadła na łóżku i chrupała z apetytem tosty, odsłaniając zęby. Rebus gryzł swoje powoli, pogrążony w myślach. Pełen luksus. Ile to już czasu minęło od ostatniego razu, kiedy przyniesiono mu śniadanie do łóżka? Przeraził się na tę myśl...

– Proszę wejść! – ryknął teraz, chociaż nikt nie zapukał.

Tracy wyszła bez skargi. Powiedziała, że czuje się dobrze. Nie mogła wiecznie siedzieć w zamknięciu, prawda? Odwiozł ją do Pilmuir, a potem zrobił coś głupiego: dał jej dziesięć funtów. To nie były tylko pieniądze, z czego zdał sobie sprawę sekundę po ich wręczeniu. To był wyraz więzi między nimi, więzi, której nie powinien tworzyć. Kiedy sobie to uświadomił, poczuł pokusę, żeby wyrwać pieniądze z jej dłoni, ale wyszła już z samochodu i oddalała się. Jej ciało było kruche jak porcelana, chód pełen determinacji i siły. Chwilami przypominała mu jego córkę Sammy, a czasem...

A czasem Gill Templer, byłą kochankę.

– Wejść! – ryknął ponownie.

Drzwi uchyliły się o parę centymetrów, potem o kolejne i do biura wsunęła się głowa.

– Nikt nie pukał, panie inspektorze – powiedziała nerwowo głowa.

– Czyżby? – zapytał Rebus swoim najlepszym scenicznym głosem. – W takim razie porozmawiam sobie z wami dwoma. Może wejdziecie?



Chwilę później znaleźli się w środku i przystanęli, straciwszy nieco rezonu. Rebus wskazał na dwa krzesła po drugiej stronie biurka. Jeden z nich usiadł od razu, drugi stanął na baczność.

– Wolałbym stać, panie inspektorze – oznajmił. Wyglądał na przestraszonego, jakby przeraził się, że złamał jakąś zasadę protokołu.

– To nie jest cholerna armia – powiedział Rebus do tego stojącego, gdy jego siedzący kolega już się podnosił. – Spocznij!

Obaj więc spoczęli. Rebus potarł czoło, udając, że boli go głowa. Szczerze mówiąc, prawie zapomniał, kim są ci posterunkowi i dlaczego się tu znaleźli.

– Dobrze – zaczął. – Jak myślicie, dlaczego wezwałem was tu dzisiaj? – Tekst oklepany, ale skuteczny.

– Czy chodzi o czarownice, panie inspektorze? – spytał jeden z mundurowych.

– Czarownice? – Rebus spojrzał na niego i przypomniał sobie młodego zapaleńca, który pokazał mu oryginalny pentagram. – Zgadza się, czarownice. I przedawkowania.

Przetarli oczy ze zdumienia. Gorączkowo szukał pytań do przesłuchania, jeśli to w ogóle miało być przesłuchanie. Powinien był staranniej przygotować się do spotkania.

A przynajmniej powinien pamiętać, że kazał im tu przyjść. Ale zobaczył banknot dziesięciofuntowy, uśmiech, poczuł zapach przypalonych tostów...

Spojrzał na krawat posterunkowego.

– Jak się nazywasz, synu?

– Todd, panie inspektorze.

– Todd? To po niemiecku martwy, wiedziałeś o tym, Todd?

– Tak, panie inspektorze. Uczylem się niemieckiego w szkole, aż do matury.

Rebus skinął głową, jakby był pod wrażeniem. Cholera, rzeczywiście był pod wrażeniem. Wyglądało na to, że w tych czasach wszyscy ci wyjątkowo młodo wyglądający gliniarze mieli maturę. Niektórzy poszli dalej: college, uniwersytet. Pomyślał, że Holmes pewnie był na uniwersytecie. Rebus miał tylko nadzieję, że nie wziął sobie do pomocy sprytnego cwaniaczka.

Wskazał na krawat.

– To nie wygląda dobrze, Todd.

Posterunkowy natychmiast spojrzał w dół, na swój krawat, pochylając głowę tak mocno, że Rebus obawiał się, że zaraz złamie kark.

– Nie wiem, o czym pan mówi, panie inspektorze?

– O tym krawacie. Często go nosisz?

– Tak jest, panie inspektorze.

– I w ostatnim czasie go nie uszkodziłeś?

– Czy uszkodziłem krawat, panie inspektorze?

– Pytam, czy uszkodził ci się w nim zatrzask – wyjaśnił Rebus.

– Nie, panie inspektorze.

– A ty, jak się nazywasz, synu? – Rebus zwrócił się do drugiego posterunkowego, który wyglądał na całkowicie oszłomionego przebiegiem tej wizyty.

– O'Rourke, panie inspektorze.

– Irlandzkie nazwisko – skomentował Rebus.

– Owszem, panie inspektorze.

– A co z twoim krawatem, O'Rourke? Czy ten jest nowy?

– Nie bardzo, panie inspektorze. To znaczy... mam ich parę sztuk na wymianę.

Rebus skinął głową. Podniósł ołówek, przyjrzał mu się i odłożył. Marnował tylko czas.

– Chciałbym zobaczyć raporty, które sporządziliście z odnalezienia denata.

– Tak jest, panie inspektorze – odpowiedzieli.

– W budynku nie było niczego niezwykłego? Kiedy przyjechaliście tam po raz pierwszy? Nic nadzwyczajnego?

– Tylko trup, panie inspektorze – odparł O'Rourke.

– I obraz na ścianie – dodał Todd.

– Czy któryś z was zaglądał na górę?

– Nie, panie inspektorze.

– Gdzie było ciało, gdy dotarliście na miejsce?

– W pokoju na parterze, panie inspektorze.

– I nie poszliście na górę?

Todd spojrział na swojego kolegę.

– Krzyknęliśmy parę razy, żeby sprawdzić, czy ktoś tam się kręci. Ale nie, nie poszliśmy na górę.

Wciąż jak zatrask od krawata mógł dostać się na górę? Rebus wypuścił powietrze, a potem odchrząknął.

– Jakim samochodem jeździsz, Todd?

– Ma pan na myśli radiowóz, panie inspektorze?

– Nie, do jasnej cholery, nie! – Rebus uderzył ołówkiem o biurko. – Samochód do użytku prywatnego.

Todd był teraz jeszcze bardziej zdezorientowany.

– Austin metro, panie inspektorze.

– Kolor?

– Białe.

Rebus skierował wzrok na jego kolegę.

– Nie mam samochodu – powiedział O'Rourke. – Lubię motocykle. Właśnie kupiłem hondę siedemsetpięćdziesiątkę.

Rebus skinął głową. Żadnych fordów escortów. To nie któryś z nich wiał sprzed jego domu o północy.

– No dobrze, to by było na tyle, panowie. – Odprawił ich uśmiechem, podniósł ołówek, zbadał jego czubek i bardzo celowo złamał o krawędź biurka.

Rebus myślał o Charliem, gdy zatrzymał samochód przed małym, staroświeckim sklepikiem z odzieżą męską przy George Street. Myślał o Charliem, gdy sięgnął po krawat, a potem za niego płacił. Myślał o Charliem, gdy wrócił do samochodu, zawiązywał krawat, uruchamiał silnik i ruszał. Jadąc na lunch z jednymi z najbogatszych biznesmenów w mieście, myślał tylko o Charliem i o tym, że ten chłopak prawdopodobnie sam będzie chciał być kiedyś taki jak ci biznesmeni. Skończy uniwersytet, wykorzysta rodzinne koneksje, żeby znaleźć dobrą pracę, i w ciągu paru lat sprytnie awansuje na wyższe stanowisko kierownicze. Zapomni o swoim zauroczeniu dekadencją i sam stanie się dekadentki w sposób, w jaki mogą być tylko ludzie bogaci i odnoszący sukcesy... I to będzie prawdziwa dekadencja, a nie jakieś podrzędne czary i demonizm, narkotyki i przemoc. Te siniaki na ciele

Ronniego... czy mogły być faktycznie efektem płatnych usług dla brutalni? Sadomasochistycznej gry, która się nie udała? Prowadzonej być może z tajemniczym Edwardem, którego imię Ronnie wykrzykiwał?

A może rytuał posunął się za daleko?

Czy nie za szybko odrzucił trop satanizmu? Czy detektyw policyjny nie powinien mieć otwartego umysłu? Być może, ale satanizm zastał Rebusa z zamkniętym umysłem – w końcu był chrześcijaninem. Może i nie chodził często do kościoła, nie znosił dłużących się kazań i śpiewania hymnów, ale to nie znaczyło, że nie wierzył w swojego małego, mrocznego, osobistego Boga. Każdy ma swojego Boga, który towarzyszy mu w życiu. A Bóg Szkotów jest bardzo złowieszczy.

W południe Edynburg ukazywał mroczniejsze oblicze niż kiedykolwiek, odzwierciedlające być może nastrój miasta. Zamek zdawał się rzucać cień na całe New Town, ale ten cień nie sięgał, nie mógł sięgać tak wysoko, jak położona była The Eyrie. Najdroższa edynburska restauracja – i najbardziej ekskluzywna. Plotka głosiła, że na lunch rezerwowano w niej miejsca z dwunastomiesięcznym wyprzedzeniem, a na kolację trzeba było czekać od ośmiu do dziesięciu tygodni. Restauracja mieściła się na całym ostatnim piętrze georgiańskiego hotelu w sercu New Town, z daleka od zgiełku na dole.

Ulice przy hotelu także nie były spokojne; samochody zatrzymywały się tu na długo, więc parkowanie było problemem. Ale nie dla detektywa. Rebus zatrzymał się na podwójnej żółtej linii tuż przed głównymi drzwiami hotelu i mimo ostrzeżeń portiera o strażnikach i mandatach zostawił tam samochód i wszedł do środka. Poczuł uścisk w żołądku, gdy winda przenosiła go cztery piętra wyżej, i ulgę, że jedzie nią na czczo. Ci biznesmeni pewnie zanudzą go na śmierć, a myśl o spędzeniu dwóch godzin z Farmerem Watsonem była dla niego nie do zniesienia, ale przynajmniej zje dobry lunch. O tak, wymieniony lunch.

A biorąc pod uwagę kartę wykwinnych win, puści gnojków w skarpetkach.

BRIAN HOLMES WYSZEDŁ z baru z przekąskami, niosąc styropianowy kubek z herbatą earl grey, i przyglądał mu się, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wypił filiżankę dobrej herbaty, prawdziwej herbaty, herbaty, którą sam zaparzył. Jego życie kręciło się wokół styropianowych kubków i termosów, pozbawionych smaku kanapek i czekoladowych herbatników. Dmuchińcie, łyk. Dmuchińcie, łyk. Przełknięcie.

I dla tego zrezygnował ze studiów.

Przez jakieś osiem miesięcy obracał się w środowisku uczelnianym, studiując historię na Uniwersytecie Londyńskim. Przez pierwszy miesiąc zachwycał się miastem, usiłując odnaleźć się w jego wielkiej przestrzeni i złożoności życia, na które składały się ciągle podróże i próby przetrwania z godnością. Drugi i trzeci miesiąc wypełniły próby odnalezienia się w akademickiej rutynie, w gronie nowych przyjaciół, otwierania się na dyskusje, włączania do tej czy innej grupy. Za każdym razem, zanim się gdzieś przyłączył, badał grunt, zestresowany jak dziecko uczące się pływać. W czwartym i piątym miesiącu poczuł się londyńczykiem; dojeżdżał codziennie na uniwersytet ze swojej kwatery w Battersea. Jego życiem zaczęły rządzić liczby, rozkłady połączeń kolejowych, autobusów i linii metra, w tym późne odjazdy autobusów i pociągów, które odwoziły go od kawiarnianej polityki do pokoju w hałaśliwym mieszkaniu. Przegapienie połączenia kolejowego zaczęło być agonią, przemieszczanie się w godzinach szczytu stało się męczarnią; był to okres spędzony w piekle. W szóstym i siódmym miesiącu był odizolowany w Battersea; studiował w swoim pokoju, prawie

w ogóle nie chodząc na wykłady. A w ósmym, w maju, ze słońcem grzejącym mu w plecy, opuścił Londyn i wrócił na północ, do starych przyjaciół i nagłej pustki w życiu, którą musiała wypełnić praca.

Ale dlaczego, na Boga, wybrał policję? Zgniótł pusty styropianowy kubek i wystrzelił nim w stronę pobliskiego śmietnika. Nie trafił. No i co z tego? – pomyślał. Potem oprzytomniał, podszedł do kubka, schylił się, podniósł go i wyrzucił do kosza. Nie jesteś już w Londynie, Brian, powiedział sobie. Jakaś starsza kobieta uśmiechnęła się do niego.

Zabłysnął dobrym uczynkiem w paskudnym świecie.

Paskudny świat. Wpadł jak śliwka w kompot z zatrutej ludzkości. Rebus go tam wrzucił. Pilmuir, Hiroszima duszy, która więziła cię mimo strachu przed promieniowaniem. Miał przy sobie krótką listę, sporządzoną starannie podczas wczorajszej rozmowy telefonicznej. Wyjął ją z kieszeni, żeby się jej przyjrzeć. Posterunkowych łatwo było zlokalizować, Rebus powinien być już po rozmowie z nimi. Poszedł do squatu w Pilmuir i schował fotografie do wewnętrznej kieszeni. Zamek w Edynburgu. Dobre ujęcia. Niezwykłe kąty. I ta dziewczyna. Uznał ją za całkiem ładną. Jej wieku nie dało się jednoznacznie określić, twarz miała zahartowaną przez ciężkie życie, ale była dość atrakcyjna na swój szorstki, niewyszukany sposób. Nie miał pojęcia, jak miał się o niej czegoś dowiedzieć – wiedział tylko, że na imię ma Tracy. Co prawda, byli ludzie, których mógł popytać. Znajomości w Edynburgu, na jego ojczystym terenie, zapewniały ogromną przewagę w tej branży. Miał kontakty, starych przyjaciół, przyjaciół przyjaciół, a po fiasku w Londynie odświeżył niektóre relacje. Wszyscy mówili mu, żeby tam nie jechał. I byli zadowoleni, kiedy ujrzeli go wkrótce po tym, jak go ostrzegali, zadowoleni, że mogą się pochwalić swoją dalekowzrocznością. To było pięć lat temu... A miał wrażenie, że minęły już wieki.

Dlaczego wstąpił do służby? Jego pierwszym wyborem było dziennikarstwo, dawno temu, jeszcze za czasów szkolnych. Cóż, marzenia z dzieciństwa mogły się spełnić chociaż na chwilę, ponieważ jego kolejnym przystankiem była redakcja lokalnego dziennika, do której się wybierał, żeby sprawdzić, czy znajdzie zdjęcia zamku robione pod jakimiś niezwykłymi kątami. Przy odrobinie szczęścia dostanie też porządną filiżankę herbaty.

Już miał iść dalej, kiedy zobaczył okno agenta nieruchomości po drugiej stronie ulicy. Zawsze zakładał, że ta konkretna agencja, ze względu na swoją nazwę, musi być droga. Ale co tam, był zdesperowany. Przebił się między samochodami stojącymi w korku i zatrzymał przed szyldem z napisem: *Bowyer Carew*. Po minucie, z ramionami nieco bardziej opuszczonymi niż wcześniej, wrócił na właściwy szlak i ruszył w stronę Mostów.

– A TO JEST JAMES CAREW z agencji Bowyer Carew.

James Carew podniósł z masywnego krzesła o milimetr swój masywny kuper, uściśnął rękę Rebusa i usiadł z powrotem. Nie spuszczał wzroku z krawata Rebusa.

– Finlay Andrews – kontynuował prezentację komendant Watson, a Rebus uściśnął kolejną mocną masonską dłoń.

Nie musiał znać sekretnych punktów nacisku, by odróżnić masona; sam uścisk mówił wszystko, trwał nieco dłużej niż zwykle, a dodatkowy czas potrząsania dłonią miał na celu sprawdzenie, czy należysz do jego bractwa, czy nie.

– Może znasz pana Andrews'a? Ma salon gier w Duke Terrace. Jak on się nazywa? – Watson starał się za bardzo: za bardzo próbował być dobrym gospodarzem, za bardzo chciał dogadać się z tymi ludźmi, za bardzo ich przyjąć z za bardzo otwartymi rękami.

– Po prostu Finlay's – odparł Finlay Andrews, uwalniając dłoń Rebusa.

– Tommy McCall – przedstawił się ostatni gość na lunchu, potrząsając ręką Rebusa szybko i chłodno.

Rebus uśmiechnął się i dołączył do nich przy stole, zadowolony, że wreszcie może się rozsiąść.

– Brat Tony’ego McCalla? – spytał.

– Jakżeby inaczej. – McCall się uśmiechnął. – Więc zna pan Tony’ego?

– Całkiem dobrze – odparł Rebus.

Watson wyglądał na zdumionego.

– Inspektor McCall – wyjaśnił Rebus.

Komendant energicznie skinął głową.

– A więc – powiedział Carew, przesuwając się na krześle – czego się pan napije, inspektorze Rebus?

– Nie piję na służbie, proszę pana – rzucił Rebus, rozkładając zgrabnie poskładaną serwetkę. Zobaczył wyraz twarzy Jamesa Carew i zareagował uśmiechem. – Żartowałem. Proszę gin z tonikiem.

Wszyscy się uśmiechnęli. Policjant z poczuciem humoru – to zwykle zaskakiwało ludzi. Zdziwiliby się jeszcze bardziej, gdyby wiedzieli, jak rzadko Rebus żartuje. Ale poczuł potrzebę dopasowania się do nich, wmieszczenia w towarzystwo.

Przy jego ramieniu stał kelner.

– Ja również gin z tonikiem, Ronald – zwrócił się do niego Carew, a ten uklonił się i odszedł; zastąpił go inny, który zaczął rozdawać oprawione w skórę ogromne menu.

Gruba serwetka z materiału ciążyła Rebusowi na kolanach.

– Gdzie pan mieszka, inspektorze? – spytał Carew. Jego uśmiech wydawał się czymś więcej niż uśmiechem, więc Rebus był ostrożny.

– W Marchmont – oznajmił.

– Och – zachwycił się Carew – to zawsze była piękna okolica. W dawnych czasach były tam farmy, wie pan o tym?

– Naprawdę?

– Aha. Przyjemne miejsce.

– James ma na myśli to – wtrącił Tommy McCall – że domy są tam warte małe fortuny.

– A co w tym dziwnego? – burknął Carew. – Dogodny dojazd do samego centrum, blisko parku Meadows i uniwersytetu.

– James, znów mówisz o interesach – upomniał go Finlay Andrews.

– Czyżby? – Carew wyglądał na szczerze zaskoczonego. Wyszczerył zęby, patrząc na Rebusa. – Wybaczcie.

– Polecam stek z poledwicy – powiedział Andrews.

Kiedy kelner przyjmował zamówienie, Rebus postanowił zamówić solę.

Starał się zachowywać swobodnie, nie gapić się na innych gości, nie zagłębiać w szczegóły zastawy, nieznanych mu przyrządów, miseczek na palce, sztuczków z firmowym logo. Ale przecież to była jedna z tych okazji, które zdarzają się raz w życiu, prawda? Dlaczego więc miałby się nie gapić? Rozejrzał się i zobaczył około pięćdziesięciu dobrze odżywionych, zadowolonych twarzy, głównie męskich, z niezbyt ostentacyjnymi dowodami bogactwa dla zachowania przyzwoitości i elegancji. Wyborne steki z poledwicy. Rebus wypatrzył, że to właśnie je zamawiała większość gości lokalu. I wino.

– Kto chce wybrać wino? – McCall pomachał kartą.

Carew wyglądał na chętnego po nią sięgnąć, więc Rebus się powstrzymał. Nie zachowałby się przyzwoicie i elegancko, gdyby chwycił za listę i wykrzyknął: „Ja, ja, ja!”, a potem połykał ceny wygłodniałymi oczami, życząc sobie...

– Jeśli panowie pozwolą... – powiedział Finlay Andrews, przechwytyjąc listę win z ręki McCalla.

Rebus taksował wzrokiem grawer na widelcu.

– A więc – odezwał się McCall, patrząc na Rebusa – komendant Watson wciągnął pana w naszą małą misję, tak?

– Wciągarka nie była potrzebna – odparł Rebus. – Cieszę się, że mogę pomóc, jeśli tylko zdołam.

– Jestem pewien, że twoje doświadczenie będzie nieocenione – zwrócił się Watson do Rebusa z uśmiechem.

Ten spojrział mu w oczy, ale nic nie powiedział.

Na szczęście Andrews zdawał się wiedzieć co nieco o winie i zamówił przyzwoity claret, rocznik 1982, oraz rzeńskie chablis. Rebus ożywił się, gdy Andrews złożył zamówienie. Jak się nazywał ten lokal? Andrews? Finlay's? Tak, to było to: Finlay's. Słyszał o nim, małe kasyno, ciche. Rebus nigdy nie miał powodu, żeby tam chodzić, ani zawodowo, ani dla przyjemności. A zresztą, jaka to przyjemność tracić uciulane pieniądze?

– Finlay, czy ten Chińczyk nadal odwiedza twój salon? – zapytał McCall, podczas gdy dwóch kelnerów nalewało cienką warstwę zupy do dużych wiktoriańskich talerzy.

– Już nie przyjdzie. Zastrzegamy sobie prawo do odmowy wstępu.

McCall zarechotał i odwrócił się do Rebusa.

– Finlay miał tam kiepską passę. Chińczycy są okropnie cwani w hazardzie. I jeden z nich nieźle wyrolował Finlaya.

– Miałem krupiera żółtodzioba – wyjaśnił Andrews. – Chińczyk, doświadczone oko, mam na myśli bezsprzecznie doświadczone, potrafił przewidzieć, gdzie kulka trafi na koło ruletki, dzięki temu, że uważnie obserwował ruch krupiera, który nią rzucał.

– Niesamowite – wtrącił Watson, zanim dmuchnął na łyżkę zupy.

– Niekoniecznie – rzucił Andrews. – Widziałem nie takie sztuczki. Gracza można zdemaskować, zanim zdąży obstawić na duże pieniądze. A potem należy to załatwić po dżentelmeńsku. Jak dotąd rok był dobry, w Szkocji pojawiły się duże pieniądze, a że okazało się, że nie ma tu wiele do roboty, to dlaczego ich po prostu nie przegrać?

– Pieniądze pojawiają się same? – zainteresował się Rebus.

– Ludzie, praca. Londyńscy menedżerowie z londyńskimi pensjami i londyńskimi przyzwyczajeniami. Nie zauważył pan?

– Nie mogę powiedzieć, że bym zauważył – wyznał Rebus. – W każdym razie nie w okolicach Pilmuir.

Goście się uśmiechnęli.

– Zauważyła to natomiast moja agencja – powiedział Carew. – Rośnie popyt na coraz większe nieruchomości. W niektórych przypadkach to nabywcy korporacyjni. Firmy przenoszą się tutaj, otwierają biura. Biznesmeni wiedzą, co jest dobre, wywęszą pismo nosem, a Edynburg to dobra inwestycja. Ceny domów poszybowały w górę. Nie widzę powodu, dla którego miałyby się zatrzymać. – Przykuł spojrzenie Rebusa. – Budują nowe domy nawet w Pilmuir.

– Finlay – przerwał mu McCall – powiedz inspektorowi Rebusowi, gdzie chińscy gracze trzymają kasę.

– Nie podczas lunchu, panowie – upomniał ich Watson, a kiedy McCall, chichocząc, spojrzął na swój talerz z zupą, Rebus zobaczył, jak Andrews rzuca mu nienawistne spojrzenie.

Podano wino: schłodzone, w kolorze miodu. Rebus upił łyk. Carew wypytywał Andrewsa o pozwolenie na budowę w związku z rozbudową kasyna.

– Nie będzie problemu – odparł tamten, starając się nie brzmieć na zbyt zadowolonego z siebie.

Tommy McCall roześmiał się.

– Nie wątpię – skwitował. – Czy z twoimi sąsiadami też poszłoby tak gładko, gdyby spróbowali poszerzyć swoją nieruchomość o jakąś nędzną przybudówkę?

Na twarzy Andrewsa pojawił się uśmiech równie zimny jak chablis.

– Każdy przypadek rozpatrywany jest indywidualnie i skrupulatnie, Tommy, o ile mi wiadomo. A może ty wiesz lepiej?

– Nie, nie. – McCall skończył pierwszy kieliszek wina i sięgnął po drugi. – Jestem pewien, że to wszystko jest całkowicie zgodne z prawem, Finlay. – Spojrzął konspiracyjnie na Rebusa. – Mam nadzieję, że nie będzie pan tego opowiadać dalej, John.

– Nie widzę takiej potrzeby. – Rebus zerknął w stronę Andrewsa, który kończył jeść zupę. – Poza tym podczas lunchu mam otwarte usta, nie uszy.

Watson skinął głową z aprobatą.

– Dzień dobry, Finlay. – Przy stole zatrzymał się rosły mężczyzna, mocno zbudowany, umięśniony. Miał na sobie najdroższy garnitur, jaki Rebus kiedykolwiek widział: jedwabisty połysk błękitu, przecinanego srebrnymi nitkami. Włosy mężczyzny również były srebrzyste, choć jego twarz wyglądała na czterdzieści kilka lat, nie więcej. Przy jego boku stała pochylona ku niemu, delikatna orientalna piękność, bardziej dziewczyna niż kobieta. Była tak niezwyklej urody, że wszyscy podnieśli się zza stołu z zachwytem. Mężczyzna machnął nonszalancko ręką, dając znak, aby usiedli. Skomplementowana wzrokiem kobieta ukryła swoje zadowolenie pod rzesami.

– Dzień dobry, Malcolm. – Finlay Andrews wskazał na mężczyznę. – Malcolm Lanyon, adwokat.

Słowa były zbędne, wszyscy znali Malcolma Lanyona, ulubieńca kolumn plotkarskich. Jego bardzo publiczny styl życia wzbudzał nienawiść albo zazdrość. Ten człowiek był uosobieniem wszelkich cech, którymi gardzono w zawodzie prawnika, a zarazem żywą operą mydlaną. Żył dość rozpustnie, co szokowało, ale zaspokajało zarazem głód czytelników niedzielnych tabloidów. Z pewnych źródeł Rebus wiedział, że był nadzwyczaj dobrym prawnikiem. Musiała być to prawda, inaczej reszta jego wizerunku byłaby tylko barwną tapetą, niczym więcej. A to nie była tapeta. To były cegły i zaprawa murarska.

– A oto – Andrews zatoczył ręką łuk, wskazując osoby siedzące przy stole – członkowie komitetu, o którym ci wspomniałem.

Lanyon skinął głową.

– Kampania przeciwko narkomanii. Doskonały pomysł, panie komendancie.

Watson niemal się zarumienił, słysząc ten komplement, zresztą komplementem było już to, że Lanyon wiedział, kim jest Watson.

– Finlay, pamiętasz o jutrzejszym wieczorze? – spytał Lanyon.

– Zapisane tłustymi literami w kalendarzu, Malcolm.

– Doskonale. – Lanyon popatrzył na pozostałych. – Właściwie to chciałbym, żebyście wszyscy przyszli. Małe spotkanie w moim domu, bez okazji... po prostu miałem ochotę na imprezę. O ósmej. Strój swobodny. – I już się oddalał, obejmując ramieniem kruchą talię swojej towarzyszki.

Rebus wylała ostatnie słowa: jego adres. Heriot Row, jedna z najbardziej ekskluzywnych ulic w New Town. Był to dla niego całkiem nowy świat i choć nie miał pewności, czy zaproszenie traktować poważnie, poczuł pokusę, by z niego skorzystać. Raz się żyje i tak dalej.

Nieco później rozmowa przeszła na kampanię antynarkotykową, a kelner podał salate.

– SAŁATA! – ZAWOŁAŁ ZDENERWOWANY młody człowiek, przynosząc kolejny stos gazet do stołu, przy którym stał Holmes. – W kieszeni salata, a w głowie wata! To naprawdę mnie martwi, liczy się dla nich tylko to, żeby dochrapać się więcej niż inni. Chłopaki, z którymi chodziłem do szkoły, w wieku czternastu lat wiedziały, że chcą być bankierami, księgowymi, ekonomistami. Ich życie skończyło się, zanim się zaczęło. Te są z maja.

– Co proszę? – Holmes prznosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Dlaczego nie mieli krzesel? Stał już tutaj od ponad godziny. Palce mu poczerniały od starego papieru gazetowego, gdy wertował wydania z kolejnych dni: jedno poranne, jedno wieczorne. Od czasu do czasu jego uwagę przyciągał nagłówek albo artykuł o piłce nożnej, który przeoczył za pierwszym razem. Ale wkrótce się zmęczył i przeglądał prasę automatycznie, a od tego przewracania stron rozbolały go ręce.

– To wydania majowe – wyjaśnił młody człowiek.

– Ach, tak, dziękuję.

– Skończył pan czerwiec?

– Tak, dziękuję.

Chłopak skinął głową, zapiął dwa skórzane pasy na teczce, wziął ją na ręce i wyszedł z pokoju. Znowu się zaczyna, pomyślał Holmes, biorąc się za najnowszą partię starych wiadomości i gazetowych zapchajdziur.

Rebus się pomylił. Nie było tu starego wygi z pamięcią komputerowej dyskietki, nie było też komputera. Pozostało mu więc mozolne kartkowanie stron w poszukiwaniu fotografii znajomych miejsc, które dzięki zastosowaniu dziwnych kątów ustawienia obiektywu nabrały nowej jakości. Po co to robił? Nawet tego nie wiedział i to go frustrowało. Miał nadzieję, że dowie się późnym popołudniem, gdy spotka się z Rebusem. Znowu rozległ się odgłos szurania; chłopak wrócił z opuszczonymi ramionami i opadniętą szczęką...

– Dlaczego nie poszedłeś w ślady przyjaciół? – zagadnął go Holmes.

Młody człowiek zmarszczył nos.

– Chciałem czegoś innego. Studiuję dziennikarstwo. Taka fucha to dobry początek, prawda?

Prawda, pomyślał Holmes, przewracając kolejną stronę. Święta prawda.

– ŚWIETNY POCZĄTEK – powiedział McCall, wstając z krzesła.

Zgnietli zużyte serwetki i rzucili na sfatygowany obrus. To, co kiedyś było nieskazitelnie czyste, teraz pokrywały okruchy chleba i rozbryzgi wina, ciemna plama masła i plama z kawy. Gdy Rebus podniósł się z krzesła, był zamroczony. I pełny. Język miał cierpki od zbyt dużej ilości wina i kawy, i tego koniaku... Chryste, wyborczego! I zakazanego. A teraz ci mężczyźni planowali wrócić do pracy, a przynajmniej tak twierdzili. Rebus też. O trzeciej miał spotkanie z Holmesem. Tyle że trzecia już



minęła. No cóż, Holmes nie będzie narzekał. On podobno nie zrzedzi, przypomniał sobie Rebus z satysfakcją.

– Niezłe korytko – rzucił Carew, klepiąc się po brzuszysku.

Rebus nie był pewien, czy ma na myśli swój brzuch czy restaurację.

– I mamy pierwsze ustalenia – zauważył Watson. – Nie zapominajmy o tym.

– A jak – powiedział McCall. – Pierwsze koty za płoty.

Andrews nalegał, żeby zapłacić rachunek. Według prędkich obliczeń Rebusa był on pokaźny, trzycyfrowy. Andrews studiował go teraz, zatrzymując się nad każdą pozycją, jakby porównywał ją z cennikiem w swojej głowie. Nie tylko biznesmen, pomyślał nieuprzejmie Rebus, ale i cholerny rasowy Szkot. Potem Andrews zawołał energicznego kierownika sali i szepnął mu do ucha o jednej pozycji, którą źle policzono. Kierownik uwierzył mu na słowo, przeprosił i natychmiast naniósł poprawki na rachunek własnym długopisem.

Restauracja zaczynała pustoszeć, przyjemna godzina lunchu dobiegła końca. Rebusa ogarnęło nagle poczucie winy; właśnie zjadł i wypił swoją część rachunku na dwieście funtów. Niektórzy jedli lepiej i bardziej hałaśliwie, a potem ze śmiechem wychodzili z sali. Stare opowieści, cygara, czerwone twarze. McCall objął Rebusa nieproszonym ramieniem i wskazał głową wychodzących.

– Gdyby w Szkocji zostało tylko pięćdziesięciu torysów, John, wszyscy byliby na tej sali.

– Bardzo możliwe – przyznał Rebus.

Andrews, który właśnie odwrócił się od kelnera, usłyszał ich.

– Myślałem, że zostało już tylko pięćdziesięciu torysów – skwitował.

I znów te ciche, pewne siebie uśmiechy, zauważył Rebus. Poczul się tak, jakby zamiast chleba zjadł popiół. Popiół jak chleb. Popiół z cygara wypalał się wokół na czerwono, a jemu przez chwilę wydawało się, że zwymiotuje. Ale wtedy McCall się potknął i Rebus musiał go podtrzymać, dopóki ten nie odzyskał równowagi.

– Za dużo wychlałeś, co, Tommy? – odezwał się Carew.

– Trochę świeżego powietrza nie zaszkodzi. – McCall zwrócił się do Rebusa: – Pomożesz mi, John?

– Oczywiście. – Rebus ucieszył się z pretekstu, żeby stąd jak najszybciej wyjść.

McCall zwrócił się do Jamesa Carew:

– Przyjechałeś swoją nową bryką?

Ten potrząsnął głową.

– Zostawiłem w garażu.

McCall skinął głową i spojrzał na Rebusa.

– Ten skurczybyk właśnie kupił sobie jaguara V-dwunastkę. Prawie czterdzieści tysięcy, i nie mówię o kilometrach na liczniku.

Jeden z kelnerów stał przy windzie.

– Miło było panów znowu widzieć – powiedział; jego głos był tak samo automatyczny jak drzwi windy, które zamknęły się, gdy Rebus i McCall weszli do środka.

– Musiałem go aresztować – zażartował Rebus. – Nigdy wcześniej nie byłem w tej restauracji, więc nie mógł mnie tu wcześniej widzieć.

– To miejsce to jeszcze nic. – McCall skrzywił się. – Nic. Jeśli chcesz się zabawić, powinieneś wpaść do klubu. Powiedz, że jesteś kumplem Finlaya, to cię wpuszczą. To świetne miejsce.

– Może wpadnę – rzucił Rebus, gdy drzwi windy się otworzyły. – Kiedy mój pas od smokingu wróci z pralni chemicznej.

McCall śmiał się przez całą drogę do wyjścia z budynku.

HOLMES CAŁY ZESZTYWNIĄŁ, zanim wyszedł z budynku wejściem dla personelu. Chłopak, który przynosił mu gazety, oprowadził go po labiryncie korytarzy i pogwizdując, wrócił już do środka, z rękami w kieszeniach. Holmes zastanawiał się, czy naprawdę skończy w zawodzie dziennikarza, ale przecież zdarzały się i dziwniejsze rzeczy.

Znalazł zdjęcia, których szukał, po jednym w każdym z trzech kolejnych śródownych wydań dziennika. Na ich podstawie biblioteka fotograficzna namierzyła oryginały, na których odwrocie znajdowała się taka sama złota prostokątna naklejka, informująca, że kadry są własnością zakładu fotograficznego Jimmy’ego Huttona. Nalepki, Bogu niech będą dzięki, zawierały nawet adres i numer telefonu. Holmes pozwolił sobie więc na luksus wyprostowania ciała. Pomyślał o nagrodzeniu swoich wysiłków piwem, ale po tym, jak wisiał nad stołem przez prawie dwie godziny, ostatnią rzeczą, na którą miał ochotę, był stołek i łokcie na barze. Poza tym była trzecia piętnaście, co oznaczało, że z powodu niezawodnej wprawdzie, ale działającej powoli fototeki już się spóźnił na spotkanie – jego pierwsze – z inspektorem Rebusem. Nie wiedział, jak Rebus ustosunkowuje się do kwestii punktualności; obawiał się, że jego stanowisko będzie twarde. Trudno, jeśli efekt dzisiejszej harówki Holmesa go nie zadowoli, to znaczy, że inspektor nie jest takim człowiekiem, jak głosiła plotka.

Nie żeby Holmes wierzył plotkom. A przynajmniej nie zawsze.

JAK SIĘ OKAZAŁO, to Rebus stawiał się drugi na spotkanie, choć zadzwonił wcześniej, by przeprosić, a to już coś. Holmes siedział przed jego biurkiem, gdy inspektor w końcu przybył, ściągnął dość krzykliwy krawat i wrzucił go do szuflady. Dopiero wtedy odwrócił się do Holmesa, spojrzął, uśmiechnął się i wyciągnął do niego rękę.

No to już coś, pomyślał Rebus: chłopak nie jest masonem.

– Masz na imię Brian, tak? – zapytał, siadając.

– Zgadza się, panie inspektorze.

– Dobrze. Będę ci mówił Brian, a ty możesz mówić do mnie: panie inspektorze. Czy to wydaje się wystarczająco sprawiedliwe?

Holmes uśmiechnął się.

– Bardzo sprawiedliwe, panie inspektorze.

– W porządku. Udało ci się coś ustalić?

Holmes zaczął od początku. Rebus, choć cholernie się starał słuchać, odczuwał senność. Jego oddech był wyczuwalny po drugiej stronie stołu; cokolwiek zjadł na lunch, nie zaszkodziło mu. Holmes zakończył raportowanie i czekał, aż inspektor się odezwie.

A on tylko skinął głową i milczał przez jakiś czas. Zbierał myśli? Holmes poczuł potrzebę wypełnienia próżni.

– W czym problem, panie inspektorze, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, żebym zapytał?

– Masz pełne prawo pytać – powiedział w końcu Rebus, ale zatrzymał się na tym.

– No więc, panie inspektorze?

– Nie jestem pewien, Brian. Taka jest prawda. Dobra, oto co wiem... podkreślam, że wiem, bo mam też trochę domysłów, a to w tej sprawie nie do końca jest tym samym.

– A więc jest sprawa?

– Ty mi to powiesz, kiedy mnie wysłuchasz.

Nadeszła jego kolej na złożenie swoistego „raportu”. Gdy snuł swoją opowieść, układał też zdarzenia w umyśle. Ale ta opowieść była zbyt fragmentaryczna, zbyt spekulatywna. Widział, jak Holmes walczy z puzzlami, próbując poskładać je w jeden obraz. Ale czy w ogóle wylaniał się pełen obraz?

– Jak więc widzisz – zakończył Rebus – mamy ćpuna nafaszerowanego trucizną, którą sam sobie wstrzyknął. Ktoś mu ją dostarczył. Siniaki na ciele, świece i symbole mające związek z czarami. Mamy też zaginiony aparat fotograficzny, zatrask od krawata, kilka zdjęć i śledzoną dziewczynę. Widzisz moje problemy?

– Za dużo ich, żeby o nich mówić.

– Otóż to.

– Więc co teraz zrobimy?

To „my” przykuło uwagę Rebusa. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że nie jest już w tym sam, cokolwiek to było. Myśl ta nieco go rozweseliła, choć kac zaczynał już dawać się we znaki, pulsując lekko po obu stronach czoła.

– Idę spotkać się z chłopakiem od sabatów – oznajmił, pewny już dalszych kroków. – A ty odwiedź studio fotograficzne Huttona.

– Brzmi rozsądnie – przyznał Holmes.

– I tak, do cholery, brzydzę powinno – odparł Rebus. – To ja mam tu mózg, Brian. Ty masz skórzane buty. Zadzwoń do mnie później i daj znać, jak ci idzie. A tymczasem zjeżdżaj.

Rebus nie chciał być niemiły. Ale pod koniec rozmowy ton młodego człowieka był zbyt poufały, zbyt konspiracyjny, więc znów poczuł potrzebę ustalenia granic. Jego błąd, zdał sobie sprawę, gdy drzwi zamknęły się za Holmesem. Jego błąd; był zbyt rozmowny, za dużo gadał, zwierzał się i mówił do podwładnego po imieniu. Nie, to ten cholerny lunch był winny. Mówcie mi Finlay, mówcie mi James, mówcie mi Tommy... Nieważne, jakoś to będzie. Zaczęli dobrze, potem było gorzej. Mogło być już tylko gorzej, ale to Rebusowi odpowiadało. Lubił pewną dozę antagonizmu, współzawodnictwa. Były to zdecydowane bonusy tego zawodu.

## WIĘC REBUS JEST JEDNAK DRANIEM.

Brian Holmes wyszedł z komendy z rękami zaciśniętymi w pięści w kieszeniach. Z czerwonymi kłykciami. Ty masz skórzane buty! To go naprawdę przygnębiło, akurat wtedy, gdy myślał, że tak dobrze się dogadują. Prawie jak ludzie, a nie jak gliniarze. Powinieneś być wiedzieć lepiej, Brian. A co do powodu tej harówki... Szkoda o tym myśleć. Postawa Rebusa była tak słaba, tak osobista. To w ogóle nie była robota policyjna. To był inspektor, który przez jakiś czas nie miał nic do roboty i próbował wypełnić pustkę, bawiąc się w Philipa Marlowe’a. Jezu, obaj mieli lepsze rzeczy do roboty. W każdym razie Holmes na pewno miał. Nie zamierzał prowadzić jakiejś kampanii antynarkotykowej na pokaz. A Rebus? Jak w ogóle mogli go wybrać? Brat odsiadywał wyrok za handel prochami w więzieniu w Peterhead – największy diler w Fife. To powinno na zawsze rozpieprzyć karierę Rebusa, ale zamiast tego dali mu awans. Paskudny świat, nie ma co.

Musiał odwiedzić fotografa. Może mógłby od razu zrobić kilka zdjęć paszportowych. Spakowałby walizki i poleciał do Kanady, Australii, Stanów. Pieprzyć zakup mieszkania. Pieprzyć policję. I pieprzyć detektywa inspektora Johna Rebusa i jego polowanie na czarownicę.

Uff, co za ulga.

REBUS ZNALAZŁ W JEDNEJ ZE SWOICH nieuporządkowanych szuflad aspirynę i zmiażdżył ją na gorzki proszek, gdy schodziła na dół. Duży błąd. Usunęła mu z ust resztki śliny i nie mógł ani jej przełknąć, ani mówić. Sierżant popijał herbatę ze styropianowego kubka. Rebus wyrwał mu go, łyknął nieco letniego płynu i skrzywił się.

– Ile cukru w to wsypałeś, Jack?

– Gdybym wiedział, że pan inspektor przyjdzie na herbatę, przygotowałbym ją tak, jak pan lubi.

Sierżant zawsze miał w zanadru mądrą odpowiedź, a Rebusowi nigdy nie przychodziła do głowy jeszcze mądrzejsza riposta. Oddał kubek i odszedł z paskudnym słodkim posmakiem w ustach.

Nigdy więcej nie zamoczę ust, pomyślał, gdy uruchamiał silnik samochodu. Słowo daję, tylko kieliszek wina od czasu do czasu. Na tyle możesz mi pozwolić. Koniec z folgowaniem sobie i mieszaniami wina z mocnymi alkoholami. Okej? Więc zlituj się, Boże, i zlikwiduj tego kaca. Wypiłem tylko ten jeden kieliszek koniaku, może dwa kieliszki clareta, jeden chablis. Jeden gin z tonikiem. Żadna zbrodnia, nawet nie przypadek dla oddziału detoksykacyjnego.

Na drodze nie było na szczęście dużego ruchu, więc miał chwilę wytchnienia. Niewystarczającą, ale zawsze coś. Dojechał do Pilmuir i uzmysłowił sobie, że nie wie, gdzie mieszka Charlie. Charlie, chłopak, z którym musiał porozmawiać, żeby poznać adres kowenu. Białego kowenu. Chciał jeszcze raz sprawdzić wersję z czarami. No i chciał też sprawdzić Charliego. Ale nie chciał, żeby chłopak wiedział, że jest sprawdzany.

Kwestia czarów nie dawała mu spokoju. Rebus wierzył w dobro i zło i wierzył, że głupi ludzie mogą czuć pociąg ku temu drugiemu. Dość dobrze znał się na pogańskich religiach, czytał o nich w książkach, które były za grube i zbyt nawiedzone, żeby traktować je poważnie. Nie przeszkadzało mu, że ludzie czczą Ziemię czy cokolwiek innego – w końcu wszystko sprowadzało się do tego samego. Przeszkadzali mu natomiast ludzie czczący Zło jako siłę sprawczą i coś więcej niż siłę: jako istotę. A zwłaszcza przeszkadzało mu, że ludzie robili to dla hecy, nie wiedząc ani nie dbając o to, czym w istocie się parają.

Ludzie tacy jak Charlie. Znów przypomniał sobie książkę z odbitkami Gigerera. Szatan na środku wagi, a na odważnikach dwie nagie kobiety, po jego lewej i prawej. Kobiety były penetrowane przez ogromne węzowe wiertła, a szatan miał na głowie maskę kozła.

Tylko gdzie mieszka ten Charlie? Rebus się dowie. Zatrzyma się tu i tam i popyta. Popuka do drzwi. Zasugeruje prawne skutki w przypadku zatajenia informacji. Odegra rolę wielkiego złego policjanta, jeśli to będzie konieczne.

Tak się jednak złożyło, że nie musiał nic robić. Przed jednym z zabitych deskami budynków, niedaleko miejsca, w którym zginął Ronnie, kręcili się policjanci. Jeden z nich trzymał krótkofalówkę przy ustach. Drugi pisał w notatniku. Rebus zatrzymał samochód i wysiadł, ale potem sobie o czymś przypomniał, więc pochylił się i wyciągnął kluczyki ze stacyjki. Ostrożności nigdy za wiele, zwłaszcza tutaj. Sekundę później zamknął drzwi od strony kierowcy. Rozpoznał jednego z mundurowych; był to Harry Todd, jeden z tych, którzy znaleźli Ronniego. Todd wyprostował się, gdy zobaczył Rebusa, ale on

machnął tylko ręką na przywitanie i Todd kontynuował rozmowę przez walkie-talkie. Rebus skoncentrował się na drugim policjancie.

– Co tu jest grane? – Posterunkowy oderwał wzrok od swoich zapisków, żeby rzucić Rebusowi to podejrzliwe, niemal wrogie spojrzenie, charakterystyczne dla funkcjonariuszy policji.

– Inspektor Rebus – przedstawił się Rebus. Zastanawiał się, gdzie jest irlandzki kolega Todda, O'Rourke.

– Och – zdziwił się posterunkowy i odłożył długopis. – Mieliśmy wezwanie, panie inspektorze, do tego domu. Awantura na cztery fajerki. Zanim tu dotarliśmy, mężczyzna uciekł. Kobieta wciąż jest w środku. Ma podbite oko, nic więcej. To nie jest pańskie terytorium, panie inspektorze.

– Czyżby? – oparł Rebus. – Dzięki, że mnie uświadomiłeś, synku. Miło się dowiedzieć, co jest, a co nie jest moim „terytorium”. Dziękuję ci pięknie i proszę łaskawie o pozwolenie na wejście do budynku. Czy mogę?

Rozłoszczony posterunkowy zarumienił się; purpurowe policzki odcinały się od jego bezkrwistej twarzy i szyi... nie, nawet jego szyja była teraz zarumieniona. Rebusowi spodobało się to. Nie przeszkadzało mu nawet, że za posterunkowym stał Todd, który miał niezły ubaw.

– I jak? – zapytał Rebus.

– Przepraszam, panie inspektorze.

– Słusznie – burknął Rebus, idąc do drzwi. Ale zanim do nich dotarł, otworzyły się od wewnątrz i stanęła w nich Tracy, z oczami zaczerwienionymi od płaczu, a jednym dodatkowo podbitym, tak że wokół niego zrobił się ciemnoniebieski siniec. Nie wyglądała na zaskoczoną widokiem Rebusa, raczej poczuła ulgę, bo rzuciła się na niego i tuląc go mocno, z głową opartą o jego klatkę piersiową, znowu zaczęła ronić łzy.

Zaskoczony i zakłopotany, odwzajemnił lekko uścisk, po czym poklepał ją po plecach jak ojciec przestraszone dziecko. Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na mundurowych; udawali, że niczego nie zauważyli. Wtedy podjechał samochód i Rebus zobaczył, jak Tony McCall zaciąga hamulec ręczny, otwiera drzwi od strony kierowcy, wysiada i wpatruje się w niego i dziewczynę.

Rebus położył dłonie na ramionach Tracy i odsunął ją nieco, ale wciąż przytrzymał. Spojrzała na niego i zaczęła walczyć ze łzami. W końcu cofnęła jedną rękę, by wytrzeć oczy, potem drugą i kontakt się urwał. Na razie.

– John? – To był McCall, stojący tuż za nim.

– Tak, Tony?

– Dlaczego mój rewir stał się nagle twoim rewirem?

– Ot, przechadzam się – powiedział Rebus.

WNĘTRZE DOMU BYŁO ZASKAKUJĄCO SCHLUDNE i uporządkowane. Znajdowały się tam liczne, choć niedopasowane meble: dwie wysłużone kanapy, kilka krzeseł z jadalni, stół z ceratą w kratkę, kilka pufów pękających w szwach, z których wystawała gąbka. A co najbardziej go zdziwiło, był tam podłączony prąd.

– Ciekawe, czy dostawca energii o tym wie – powiedział McCall, gdy Rebus włączył światło na dole.

Mimo osobliwego uroku miejsce to miało typowy anarchistyczny klimat. Na podłodze w salonie leżały rozłożone śpiwory, jakby gotowe na przyjęcie każdego zbłąkanego włóczęgi. Tracy podeszła do

jednej z kanap, usiadła i objęła kolana rękami.

- Czy to twoja miejscówka, Tracy? – zapytał Rebus, choć znał odpowiedź.
- Nie. Charliego.
- Od jak dawna to wiesz?
- Dowiedziałam się dopiero dzisiaj. On cały czas się przemieszcza, nie było łatwo go wytropić.
- Nie zajęło ci to dużo czasu.

Wzruszyła ramionami.

- Co tu się wydarzyło?
- Chciałam z nim tylko porozmawiać.
- O Ronniem?

McCall obserwował Rebusa uważnie i zdał sobie sprawę, że ten próbuje wprowadzić go w sytuację, przepytując Tracy. Dziewczyna skinęła głową.

- Może to głupie, ale musiałam z kimś porozmawiać.
- I?

– Pokłóciliśmy się. On zaczął. Powiedział mi, że to ja odpowiadam za śmierć Ronniego. – Spojrzała na nich; nie błagalnie, lecz tak po prostu, żeby pokazać, że mówi szczerze. – To nieprawda. Ale Charlie powiedział, że powinnam była opiekować się Ronniem, powstrzymać go przed braniem towaru, zabrać go z Pilmuir. Jak miałam to zrobić? On by mnie nie posłuchał. Myślał, że wie, co robi. Nikt nie potrafił go przekonać, że jest inaczej.

- Czy właśnie to powiedziałaś Charliemu?

Uśmiechnęła się.

– Nie. Dopiero teraz o tym pomyślałam. Tak jest zawsze, prawda? Znajdujesz argumenty dopiero po zakończeniu kłótni.

- Rozumiem, co masz na myśli, moja droga – odezwał się McCall.
- Więc wszczęłaś awanturę – wtrącił Rebus.
- Nie wszczęłam żadnej awantury! – ryknęła.
- Okej. Charlie zaczął na ciebie krzyczeć, a ty zaczęłaś krzyczeć na niego i wtedy cię uderzył, tak?
- Tak – odpowiedziała, spuszczać z tonu.
- A może oddałaś cios? – odpowiedział Rebus.
- Walnęłam go z całej siły.

– Zuch dziewczyna – rzucił McCall. Zwiedzał pokój, podnosił poduszki na kanapach, otwierał stare magazyny, kuczał, żeby poklepać każdy śpiwór.

- Nie traktuj mnie protekcyjnie, ty draniu – obruszyła się Tracy.

McCall zatrzymał się zaskoczony; spojrział w górę. Uśmiechnął się, a potem podszedł do następnego śpiwora. Podniósł go i zaczął nim potrząsać.

– Aha! – Na podłogę wypadła mała foliowa torebka. Uniósł ją zadowolony. – Jeden buch sprawia, że dom staje się domem, co?

- Nic mi o tym nie wiadomo – powiedziała Tracy, patrząc na saszetkę.
- Wierzmy ci – zapewnił ją Rebus. – Więc Charlie uciekł?
- Tak. Sąsiedzi musieli zadzwonić po psy... To znaczy, po policję. – Odwróciła od nich wzrok.
- Słyszeliśmy gorsze obelgi – powiedział McCall. – Co, John?
- Z pewnością. Czyli kiedy policjanci dotarli do drzwi od frontu, Charlie wyszedł innymi?

- Tylnymi, tak.
- Hm... skoro już tu jesteśmy, możemy zajrzeć do jego pokoju, jeśli w ogóle taki ma.
- Dobry pomysł – potwierdził McCall, chowając do kieszeni szaszetkę. – Nie ma dymu bez ognia.

CHARLIE MIAŁ SWÓJ POKÓJ, CO WIĘCEJ, całkiem przyzwoity. Zobaczyli tam mały śpiwór, biurko, przegubową lampę stołową i największą kolekcję książek, jaką Rebus kiedykolwiek widział w tak niewielkiej przestrzeni. Piętrzyły się pod ścianami, tworząc chwiejne filary sięgające od podłogi do sufitu. Wiele z nich okazało się egzemplarzami bibliotecznymi, których termin zwrotu już dawno minął.

- Musi być winien miastu małą fortunę – powiedział McCall.

Były tam książki o ekonomii, polityce i historii, a także naukowe i mniej naukowe tomszcza o demonizmie, kulcie diabła i czarach – beletrystyki niewiele. Większość została dokładnie przeczytana, na co wskazywały liczne podkreślenia i uwagi na marginesach naniesione ołówkiem. Na biurku leżał esej, nad którym Charlie pracował, bez wątplenia część jego zaliczenia semestralnego. Najwyraźniej próbował powiązać „ceremonialną magię” z praktykami nowoczesnego społeczeństwa, ale według Rebusa był to głównie bełkot.

- Halo! – dobiegał z dołu okrzyk i dwóch mundurowych zaczęło wchodzić po schodach.
- Halo, halo! – odezwał się McCall.

Wytrząsnął zawartość dużej torby z supermarketu na podłogę: długopisy, samochodziki, bibułki papierosowe, drewniane jajko, szpulka nici, walkman, szwajcarski szczyrzyk i aparat fotograficzny. McCall pochylił się, żeby podnieść aparat: niezły model, lustrzanka trzydziestopięciomilimetrowa. Dobra marka. Wyciągnął go w stronę Rebusa, a ten wziął go przez chusteczkę wyjętą z kieszeni.

Rebus odwrócił się w stronę Tracy, która stała z rękami skrzyżowanymi na piersi, opierając się o drzwi. Kiwnęła głową.

- Tak – powiedziała. – To aparat Ronniego.

Mundurowi byli już w szczycie schodów. Rebus wziął od McCalla torbę z supermarketu i wrzucił do niej aparat, ostrożnie, żeby nie zniszczyć odcisków palców.

– Todd – zwrócił się do znajomego posterunkowego – zabierz tę młodą damę na Great London Road.

Tracy otworzyła usta.

– To dla twojego bezpieczeństwa – wyjaśnił Rebus. – Idź z nimi. Zobaczymy się później, tak szybko, jak tylko będę mógł.

Wciąż wydawała się gotowa do protestowania, ale rozmyśliła się, skinęła głową, odwróciła się i wyszła z pokoju. Rebus słyszał, jak idzie na dół w towarzystwie funkcjonariuszy. McCall nadal prowadził przeszukanie, choć bez większego zainteresowania. Dwa znaleźiska w zupełności wystarczały, by móc działać dalej.

- Nie ma dymu bez ognia – powiedział.
- Jadłem dziś lunch z Tommym – wtrącił Rebus.
- Z moim bratem Tommym? – McCall spojrzął w górę, a Rebus skinął głową. – No to miałeś farta, przez ostatnie piętnaście lat ani razu nie zabrał mnie na lunch.
- Byliśmy w The Eyrie.
- McCall zagwizdał.

– W związku z kampanią antynarkotykową Watsona – dodał Rebus.

– Tak, Tommy to łyknał, co? Ech, nie powinienem być dla niego surowy. Wyświadczył mi w swoim czasie kilka przysług.

– Wyświadcza ich o kilka za dużo.

McCall roześmiał się lekko.

– Czyli się nie zmienił. Ale co tam, może sobie na to pozwolić, jego firma transportowa sama się prowadzi. Kiedyś harował dwadzieścia cztery godziny na dobę przez pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku; dziś bierze wolne, kiedy chce. Księgowy powiedział mu kiedyś, żeby wziął rok wolnego. Wyobrazasz to sobie? Dla celów podatkowych. Gdybyśmy tylko mieli takie problemy, co, John?

– Właśnie. – Rebus wciąż trzymał torbę z supermarketu.

McCall wskazał ją ruchem głowy.

– Czy to załatwia sprawę?

– RzUCA nieco światła – odparł Rebus. – Sprawdzę, czy nie ma odcisków palców.

– Mogę ci powiedzieć, co znajdziesz – oznajmił McCall. – Odciski denata i tego gościa, Charliego.

– Zapomniałeś o kimś.

– O kim?

– O sobie, Tony. Podniosłeś aparat palcami, pamiętasz?

– A niech to, sorry, nie pomyślałem.

– Dobra, zostawmy to.

– Tak czy inaczej, to już chyba coś? Mam na myśli coś, co można uczcić. Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu.

Kiedy wyszli z pokoju, jeden filar z książek w końcu się ugiął i rozsypał po podłodze jak kostki domina.

Rebus wrócił, żeby spojrzeć do środka.

– Duchy – powiedział McCall. – Nic więcej. Tylko duchy.

NIE BYŁO NA CO PATRZEĆ. Nie tego się spodziewał. No dobra, w jednym rogu stała roślina doniczkowa, w oknach były czarne rolety, a na nowym plastikowym biurku kurz zbierała nawet elektroniczna maszyna do pisania, ale wciąż było to drugie piętro kamienicy, zaprojektowane jako mieszkanie, a nie jako biuro i pracownia. Holmes obszedł pokój – zwany „głównym biurem” – kiedy urocza, drobna absolwentka poszła po Jego Wysokość. Tak go nazywała. Jeśli twój personel nie darzył cię szacunkiem, a przynajmniej nie robił w portki ze strachu, coś było z tobą nie tak. A kiedy drzwi się otworzyły i Jego Wysokość wszedł, Holmes spostrzegł, że z Jimmym Huttonem z pewnością coś było nie tak.

Po pierwsze, zbliżał się już do sześćdziesiątki, a włosy, które jeszcze mu zostały, były długimi, cienkimi kosmykami, zakrywającymi czoło prawie po oczy. Miał na sobie dzinsy: błąd często popełniany przez tych, którzy chcą być wiecznie młodzi, ale zabierają się do tego od złej strony. Poza tym był niski: niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Holmes zaczął dostrzegać ironię sekretarki. Jego Wysokość, rzeczywiście!

Wyraz twarzy miał znękaną; aparat zostawił w sypialni, komórce czy pokoju w małym mieszkaniu, które służyło mu za pracownię. Wyciągnął rękę, a Holmes ją uściśnął.

– Detektyw posterunkowy Holmes – przedstawił się.



Hutton skinął głową, wyjął papierosa z paczki leżącej na biurku sekretarki i zapalił. Otwarcie się na to skrzywiła i usiadła, wyglądając tył obcisłej spódnicy. Hutton nie spojrzął jeszcze na Holmesa. W jego oczach widać było roztargnienie. Podszedł do okna, wyjrzał, wygiął szyję, by wydmuchnąć pióropusz dymu w stronę wysokiego, ciemnego sufitu, po czym spuścił głowę i oparł się o ścianę.

– Przynies mi kawy, Christine. – Jego oczy spotkały się na moment z oczami Holmesa. – Ma pan ochotę?

Holmes pokręcił głową.

– Na pewno? – zapytała uprzejmie Christine, podnosząc się z fotela.

– Dobrze, poproszę.

Z uśmiechem opuściła pokój i poszła do kuchni lub ciemni, by napełnić czajnik.

– Co mogę dla pana zrobić? – odezwał się Hutton.

Kolejna osobliwa cecha tego człowieka: wysoki głos. Nie skrzeczący ani dziewczęcy, po prostu wysoki. I lekko zgrzytliwy, jakby w młodości uszkodził sobie struny głosowe i już nigdy potem się nie zregenerowały.

– Pan Hutton? – Holmes musiał się upewnić.

Mężczyzna skinął głową.

– Jimmy Hutton, profesjonalny fotograf, do usług. Żeni się pan i chce rabat?

– Nie, nic z tych rzeczy.

– W takim razie portret. Może dziewczyna? Mama i tata?

– Nie, chodzi o interesy. A dokładniej to ja mam interes.

– Ale ja na nim nie zarobię, he? – Hutton uśmiechnął się, rzucił okiem na Holmesa i zaciągnął się papierosem. – A wie pan, mógłbym panu zrobić portret: ładny mocny podbródek, przyzwoite kości policzkowe. Przy odpowiednim oświetleniu...

– Nie, dziękuję. Nie lubię, jak robi mi się zdjęcia.

– E tam, zdjęcia. – Hutton poruszył się i zaczął okrążać biurko. – Ja mówię o sztuce.

– Właśnie po to tu przyjechałem.

– Co?

– Sztuka. Byłem pod wrażeniem niektórych pana zdjęć, które widziałem w gazecie. Zastanawiałem się, czy mógłby mi pan pomóc.

– Tak?

– Zaginęła osoba. – Holmes nie był wielkim kłamcą. Od razu zaczynały go piec uszy. Nie wielki kłamca, ale dobry. – Młody człowiek, nazywa się Ronnie McGrath.

– To nazwisko nic mi nie mówi.

– Chciał być fotografem, dlatego zastanawiałem się...

– Nad czym się pan zastanawia?

– Czy kiedyś tu zawitał. No wie pan, z prośbą o radę, tego typu rzeczy. W końcu jest pan uznanym fotografem.

Bezczelność była rażąca. Holmes wyczuł to: Hutton właśnie zdał sobie sprawę, o co toczy się gra. Ale próżność w końcu zwyciężyła.

– Hm... – mruknął fotograf, opierając się o biurko, po czym z pewnością siebie splótł ręce i skrzyżował nogi. – Jak wyglądał ten Ronnie?

– Wysoki, krótkie brązowe włosy. Lubiał ćwiczyć warsztat. Wie pan, Zamek, Calton Hill.

– Pan też fotografuje, inspektorze?

– Jestem tylko posterunkowym. – Holmes uśmiechnął się, zadowolony z tej pomyłki. Ale szybko pobierał myśli: a jeśli Hutton grał z nim w jego grę próżności? – I nie, nie robię często zdjęć. Pamiątki z wakacji i tak dalej.

– Cukier? – Christine wsunęła głowę do pokoju i znów uraczyła Holmesa uśmiechem.

– Nie, dziękuję – powiedział. – Tylko mleko.

– Wlej do mojej kroplę whisky – zarządził Hutton. – Jest kochana. – Mrugnął, patrząc w stronę drzwi, gdy się zamknęły. – Brzmi znajomo, muszę przyznać. Ronnie... Ujęcia zamku. Tak, tak, chyba pamiętam. Przyszedł jakiś młody chłopak, cholernie nachalny. Robiłem portfolio, długoterminowy kontrakt, no i wie pan, umysł musiał być w stu procentach skupiony na pracy. A ten zawsze przychodził, prosił o spotkanie, chciał mi pokazać swoje prace. – Hutton uniósł przepaszająco ręce. – Wiem, wszyscy byliśmy kiedyś młodzi. Żałuję, że nie mogłem mu pomóc. Ale nie miałem czasu, nie wtedy.

– Nie przyglądał się pan jego pracom?

– Nie. Brak czasu, jak mówię. Przestał przychodzić po kilku tygodniach.

– Kiedy to było?

– Parę miesięcy temu. Trzy, może cztery.

Wróciła sekretarka z kawą. Holmes poczuł zapach whisky unoszący się znad kubka Huttona i wzbudziło to w nim jednocześnie zazdrość i obrzydzenie. Mimo to rozmowa płynęła bez zakłóceń. Czas dobić do brzegu.

– Dzięki, Christine – powiedział, jakby chciał jej sprawić przyjemność tą zażyłością.

Usiadła – sama nie piła – i zapaliła papierosa. Przez myśl mu przebiegło, żeby jej go przypalić, ale się powstrzymał.

– Proszę posłuchać – odezwał się Hutton. – Chciałbym pomóc, ale...

– Jest pan bardzo zajęтым człowiekiem. – Holmes skinął głową. – Naprawdę doceniam, że w ogóle poświęcił mi pan czas. Myślę, że to wystarczy. – Wziął do ust łyk wrzącej kawy, ale nie śmiał wypuścić jej z powrotem do kubka, więc z bólem ją przełknął.

– No, dobrze. – Hutton podniósł się zza biurka.

– Aha – powiedział Holmes. – Byłbym zapomniał, jeszcze tylko jedna mała rzecz. Czysta ciekawość, ale... pozwoli mi pan rzucić okiem na swoje studio? Nigdy wcześniej nie byłem w prawdziwym zakładzie fotograficznym.

Hutton spojrzała na Christine, która tłumiała uśmiech za dłońią, udając, że zaciąga się papierosem.

– Owszem – powiedział, uśmiechając się sam do siebie – Czemu nie? Proszę za mną.

POMIESZCZENIE BYŁO ZASKAKUJĄCO DUŻE, ale poza tym prawie takie, jakiego Holmes oczekiwał, z wyjątkiem jednego znaczącego szczegółu. Na sześciu statywach stało sześć różnego typu aparatów fotograficznych. Trzy ściany pokrywały fotografie, a na czwartej zawieszono białe tło, podejrzanie przypominające prześcieradło. Nic nadzwyczajnego, poza tym, że przed tłem ustawiono scenografię dla modela Huttona: dwa duże wolnostojące tła pomalowane na różowo. Z przodu był fotel, przed którym stał z założonymi rękami młody znudzony blondyn.

Goły, jak go Pan Bóg stworzył.

– Detektywie Holmes, to Arnold – przedstawił go Hutton. – Arnold jest modelem. Nie przeszkadza to panu, mam nadzieję?

Holmes, który gapił się na młodego mężczyznę jak sroka w gnat, zmusił się, by odwrócić wzrok. Krew napływała mu do twarzy. Spojrzał na Huttona.

– Nie, nie, ani trochę.

Fotograf podszedł do jednego z aparatów, schylił się, zmrużył oko przy wizjerze i wcelował obiektyw na Arnolda. Nie na wysokości głowy.

– Akty męskie mogą być doskonale – powiedział. – Niczego nie fotografuje się tak dobrze, jak ludzkiego ciała. – Nacisnął spust migawki, zrobił zdjęcie, nacisnął ponownie, po czym spojrzał na detektywa i zaśmiał się na widok jego konsternacji.

– Co pan zrobi z...? – Holmes szukał jakiegoś przyzwoitego słowa. – To znaczy... do czego służą te zdjęcia?

– Do portfolio, mówiłem panu. Do pokazania potencjalnym przyszłym klientom.

– No tak. – Holmes skinął głową na znak, że zrozumiał.

– Wie pan, jestem artystą, ale też portrecistą.

– Zgadza się. – Holmes ponownie skinął głową.

– Nie jest to sprzeczne z prawem, prawda?

– Nie sądzę. – Podszedł do mocno udrapowanych zasłon okna i zerknął przez niewielką szparę. – Chyba że przeszkadza to sąsiadom.

Fotograf roześmiał się. Nawet model na chwilę się uśmiechnął.

– Ustawiają się w kolejce – powiedział Hutton, gdy podszedł do okna i przez nie wyjrzał. – Dlatego muszą zaszuwać zasłony. Zboczone świnię, kobieta i mężczyzna. – Wskazał na okno na ostatnim piętrze domu po drugiej stronie ulicy: – O tam. Złapałem ich kiedyś, szybko przewinałem film i zrobiłem całą serię zdjęć. Nie spodobało im się to. – Odwrócił się od okna.

Holmes przechadzał się wzdłuż ścian, zatrzymywał się przy niektórych fotografiach i kiwał z uznaniem głową. Hutton, polechtany niewerbalnymi pochlebstwami, ruszył za nim i wyjaśniał mu różne rzeczy.

– To jest dobre – powiedział Holmes, pokazując ujęcie zamku w Edynburgu skąpanego we mgle. Było prawie identyczne jak to, które widział w gazecie, a więc przypominało również bardzo zdjęcia z pokoju Ronniego.

Hutton wzruszył ramionami.

– To nic takiego – powiedział, opierając rękę na ramieniu Holmesa. – Musi pan zobaczyć kilka moich aktów. – W jednym z rogów pokoju na ścianach wisiało kilkanaście czarno-białych fotografii o wymiarach A4. Mężczyźni i kobiety, nie wszyscy młodzi i piękni. Ale ujęcia ładne, artystyczne nawet, jak przypuszczał Holmes.

– Te są najgorętsze – rzucił podekscytowany Hutton.

– Najgorętsze czy najbardziej estetyczne? – spytał Holmes.

Starał się, żeby ta uwaga nie zabrzmiała osądzająco, mimo to Hutton stracił humor. Podszedł do dużej komody i otworzył dolną szufladę, chwycił garść zdjęć i rzucił z impetem na podłogę.

– Śmiało, niech pan patrzy! – zawołał. – Nie ma tu porno! Nic obscurnego, obrzydliwego czy obscenicznego. To tylko ciała. Upozowane ciała!

Holmes stał nad zdjęciami, nie zwracając na nie większej uwagi.

– Przepraszam – powiedział. – Jeśli to zabrzmiało...

– Mniejsza z tym. – Hutton odwrócił się tak, że jego twarz zwróciła się w stronę modela. Przetarł oczy i zgarbił się. – Jestem po prostu zmęczony. Nie chciałem wybuchnąć. Po prostu jestem zmęczony.

Holmes wpatrywał się w Arnolda przez ramię fotografa, a potem, ponieważ nie było sposobu, by zrobić to ukradkiem, schylił się, wybrał fotografię z zestawu na podłodze, wyprostował się i wsunął ją do kieszeni marynarki. Arnold to widział, a Holmes miał tylko czas, by mrugnąć do niego konspiracyjnie, zanim Hutton się do niego odwrócił.

– Ludzie wyobrażają sobie, że to łatwe, ot, robienie zdjęć przez cały dzień – powiedział Hutton.

Holmes zaryzykował spojrzenie przez jego ramię i zobaczył, że Arnold grozi mu palcem. Ale uśmiechał się przy tym zawadiacko; nie zamierzał go zdekonspirować.

– A ty cały dzień myślisz – ciągnął Hutton. – W każdej minucie każdego dnia, za każdym razem, gdy na coś patrzysz, za każdym razem, gdy używasz oczu. Widzi pan, detektywie, wszystko jest materiałem na zdjęcie.

Holmes stał już przy drzwiach, nie chciał przeciągać tej wizyty.

– Taaak. No cóż, pora na mnie, nie będę dłużej kłopotał – powiedział.

– No tak... – Hutton jakby obudził się ze snu. – Słusznie.

– Dziękuję za pomoc.

– Nie ma problemu.

– Trzymaj się, Arnold! – zawołał Holmes, po czym pociągnął drzwi, które się zatrzasnęły, i zniknął.

– Wracajmy do roboty – rzucił fotograf. Zapatrzył się w stertę zdjęć na podłodze. – Pomóż mi z tym, Arnold.

– Jasne, szefie.

– Fajny gość jak na gliniarza – powiedział Hutton, gdy wkładali zdjęcia do szuflady.

– To prawda – przyznał nagi Arnold z rękami pełnymi papieru fotograficznego. – Nie wyglądał jak typyk z brygady brudnych płaszczy przeciwdeszczowych, nie sądzisz?

Lecz kiedy Hutton zapytał, o co mu chodzi, Arnold tylko wzruszył ramionami. W końcu to nie była jego sprawa. Szkoda tylko, że policjant interesował się kobietami. Jakież marnotrawstwo tak urodziwego mężczyzny!

HOLMES STAŁ NA ZEWNĄTRZ PRZEZ MINUTĘ. Z jakiegoś powodu drżał, jakby gdzieś w środku utknął mu mały silniczek. Przyłożył rękę do klatki piersiowej: lekki szmer serca, nic więcej. Każdy to ma, prawda? Czuł się tak, jakby właśnie popełnił drobne przestępstwo, i chyba rzeczywiście je popełnił. Zabrał czyjąś własność bez wiedzy i zgody tego kogoś. Czy to nie kradzież? Kiedy jako dziecko kradł ze sklepów, zawsze potem wyrzucał to, co zdobył. Ale w końcu wszystkie dzieciaki to robiły, prawda? Prawda?

Wydobyl z kieszeni zysk z tej ostatniej kradzieży. Fotografia była zwinięta, więc ją wyprostował. Kobieta, która pchała obok niego wózek, zerknęła na nią, po czym ruszyła dalej, rzuciwszy mu zdegustowane spojrzenie. Nic się nie stało, proszę pani, jestem policjantem. Uśmiechnął się na tę myśl, po czym ponownie spojrzął na akt. Był lekko lubieżny. Młoda kobieta, rozciągnięta na czymś, co wyglądało na jedwab lub satynę. Sfotografowana z góry, jakby leżała na tym prześcieradle z rozpostartymi rękami. Usta otwarte w amatorskim uśmiechu, oczy zwięzione do szczeliny w fałszywej ekstazie. Całość wyglądała zupełnie przeciętnie; bardziej interesująca była tożsamość modelki.

Bo Holmes był pewien, że to Tracy, dziewczyna, której zdjęcie miał już ze squatu. Ta, której pochodzenie próbował ustalić. Dziewczyna denata. Pozowała naga i wcale się tego nie wstydziła; miała dobrą zabawę.

DLACZEGO CIĄGLE WRACAŁ DO TEGO DOMU? Rebus nie był pewien. Ponownie skierował światło latarki na malowidło ścienne Charliego, starając się pojąć umysł, który je stworzył. Ale po co w ogóle chciał zrozumieć tego życiowego rozbitka? Być może z powodu dręczącego go poczucia, że jest absolutnie niezbędny w tej sprawie.

– W jakiej sprawie?

W końcu powiedział to na głos. W jakiej sprawie? Nie było żadnej „sprawy”, nie w takim sensie, w jakim rozumiałby to pojęcie jakikolwiek sąd karny. Były postacie, występki, pytania bez odpowiedzi. A nawet iluzje. Ale nie było żadnej sprawy. I to właśnie najbardziej go frustrowało. Gdyby tylko istniała sprawa, gdyby tylko miał coś na tyle uporządkowanego, namacalnego, żeby wszcząć dochodzenie, dowody rzeczowe, które mógłby wziąć do ręki i powiedzieć: „Zobaczcie, co mam”. Ale nic takiego nie istniało. Wszystko było tak ulotne jak wosk ze świec, tyle że nawet wosk zostawia swój ślad. I nigdy całkiem nie znika, nie całkowicie; rzeczy zmieniają kształt, strukturę, znaczenie. Pięcioramienna gwiazda w dwóch koncentrycznych okręgach sama w sobie była niczym. Była niczym dla Rebusa, ot, jak ta blaszana odznaka szeryfa, którą otrzymał jako dzieciak. Tekszański stróż prawa, z sześciostrażalowym pistoletem w plastikowej kaburze.

Dla innych było to samo zło.

Odwrócił się do gwiazdy plecami i przypominając sobie, z jaką dumą nosił tamtą odznakę szeryfa, poszedł na górę. To tutaj leżał zatrzask od krawata. Minął to miejsce, wszedł do pokoju Ronniego i pospieszył do okna. Wyjrzał przez szparę między deskami osłaniającymi szybę. Samochód już tam stał, niedaleko od auta Rebusa. Samochód, który jechał za nim aż z komendy. Rozpoznał go od razu, ford escort, ten sam, który czekał przed jego mieszkaniem, a potem odjechał z rykiem. Teraz stał zaparkowany obok spalonej cortiny. Jego kierowca był tutaj – ford stał pusty.

Rebus usłyszał jedno skrzypnięcie deski podłogowej i już wiedział, że mężczyzna znajduje się tuż za nim.

– Musisz znać ten dom całkiem nieźle – powiedział. – Udało ci się ominąć najbardziej hałaśliwe miejsca.

Odwrócił się od okna i skierował światło latarki na twarz młodego mężczyzny o krótkich, ciemnych włosach. Gdy ten osłonił oczy przed snopem światła, Rebus skierował je niżej.

Mundur posterunkowego.

– Zapewne Neil – rzucił Rebus spokojnie. – A może wolisz Neilly?

Skierował latarkę na podłogę. Było wystarczająco jasno, żeby widzieć i być widzianym. Młody człowiek skinął głową.

– Neil jest w porządku. Tylko przyjaciele mówią do mnie Neilly.

– A ja nie jestem twoim przyjacielem. – Rebus kiwnął głową ze zrozumieniem. – Ale Ronnie był, prawda?

– Był kimś więcej, inspektorze – powiedział posterunkowy, wchodząc do pokoju. – Był moim bratem.

W SYPIALNI RONNIEGO NIE BYŁO MIEJSCA, żeby usiąść, co im nie przeszkadzało, bo żaden z nich nie potrafiłby wysiedzieć w miejscu dłużej niż parę sekund. Roznosiła ich energia: Neil musiał opowiedzieć swoją historię, Rebus musiał ją usłyszeć. Wybrał na swoje terytorium okolice okna i bezwiednie, ze spuszczoną głową, przechadzał się tam i z powrotem, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby bardziej skupić się na słowach Neila. Ten został przy drzwiach; naciskał klamkę i nasłuchiwał, a kiedy drzwi zaskrzypiały, ciągnął je lub popychał, aż znów wydawały długi rozdzierający dźwięk. Latarka dobrze służyła tej scenie: rzucając niesforne cienie na ściany, wydobywała z mroku sylwetki dwóch mężczyzn, mówiącego i słuchającego.

– Jasne, że wiedziałem, co jest grane – powiedział Neil. – Może i był starszy ode mnie, ale zawsze znałem go lepiej niż on mnie. Wiedziałem, jak działa jego umysł.

– Więc wiedziałeś, że był ćpunem?

– Wiedziałem, że brał narkotyki. Zaczął jeszcze w szkole. Raz go złapali i prawie wyrzucili, ale przywrócili po trzech miesiącach, żeby mógł zdać egzaminy. Zaliczył prawie wszystkie, więcej niż ja.

Tak, pomyślał Rebus, podziw może sprawić, że przymykasz oko.

– Po egzaminach uciekł. Nie dawał znaku życia przez kilka miesięcy. Mama i tata prawie oszaleli. Potem nagle całkiem się od niego odcięli, zakończyli temat, jakby Ronnie nigdy nie istniał. Nie wolno mi było pisać o nim słowa.

– Ale skontaktował się z tobą?

– Tak. Napisał do mnie list i przekazał go przez kumpla. Sprytnie posunięcie. Dzięki temu dostałem list bez wiedzy mamy i taty. Wspomniał w nim, że przyjechał do Edynburga i że podoba mu się tu bardziej niż w Stirling. Że ma pracę i dziewczynę. To wszystko, żadnego adresu ani numeru telefonu.

– Często pisał?

– Od czasu do czasu. Sporo kłamał, koloryzował, przedstawiał swoje życie jako lepsze, niż było. Mówił, że nie może wrócić do Stirling, dopóki nie kupi porsche i mieszkania, żeby coś udowodnić rodzicom. Potem przestał pisać. A ja rzuciłem szkołę i wstąpiłem do policji.

– I przyjechałeś do Edynburga.

– Nie od razu, ale w końcu tak.

– Specjalnie, żeby go znaleźć?

Neil uśmiechnął się.

– Gdzie tam! Ja też o nim zapomniałem. Musiałem skupić się na własnym życiu.

– Więc co się stało?

– Złapałem go pewnej nocy na swoim terenie.

– Gdzie dokładnie?

– Na wybrzeżu, w Musselburghu.

– W Musselburghu? To kawał drogi stąd. I co to znaczy, że go złapałeś?

– Prawdę mówiąc, nie złapałem, bo właściwie nic nie robił. Ale był nagrany jak piekarnik i trochę poobijany.

– Powiedział ci, co tam robił?

– Nie. Mogłem się tylko domyślać.

– Czego?

– Że robił za worek treningowy dla zwyrodnialców z okolic Calton Hill.

– Ciekawe... ktoś już o tym wspominał.

– To się zdarza. Szybka kasa dla ludzi, którym wszystko jedno.

– Ronniemu było wszystko jedno?

– Czasami tak. A czasami... Nie wiem, może nie znałem jego umysłu aż tak dobrze, jak mi się wydawało.

– Więc zacząłeś go odwiedzać?

– Tej pierwszej nocy musiałem pomóc mu wrócić do domu. Zjawiłem się tu następnego dnia. Zdziwił się na mój widok, nawet nie pamiętał, że w nocy mu pomogłem.

– Nakłaniałeś go do odstawienia prochów?

Neil milczał. Drzwi zaskrzypiały na zawiasach.

– Z początku tak – odparł w końcu. – Ale wyglądał, jakby miał to pod kontrolą. Wiem, że to brzmi idiotycznie po tym, co powiedziałem o znalezieniu go w marnym stanie tamtej pierwszej nocy, ale przecież to był jego wybór, o czym wciąż mi przypominał.

– Co sądził o bracie w policji?

– Uważał, że to zabawne. Ale nigdy nie przyszedłem tu w mundurze.

– Aż do dzisiejszego wieczoru.

– Zgadza się. W każdym razie, spotkaliśmy się kilka razy, najczęściej tutaj. Nie chciał jednak, żeby inni mnie widzieli, bał się, że wyczują psa.

Przysła kolej na uśmiech Rebusa.

– Nie śledziłeś czasem Tracy?

– Kim jest Tracy?

– Dziewczyną Ronniego. Pojawiła się w moim mieszkaniu wczoraj wieczorem. Jacyś mężczyźni ją śledzili.

Neil pokręcił głową.

– To nie byłem ja.

– Ale byłeś pod moim domem zeszłej nocy?

– Byłem.

– I byłeś tu w dniu śmierci Ronniego. – Padło dosadne, ale konieczne stwierdzenie.

Neil przestał bawić się kłamką. Tym razem milczał przez dwadzieścia, może trzydzieści sekund, a potem wziął głęboki oddech.

– Przez pewien czas byłem, tak.

Rebus wyciągnął błyszczący zatrask, ale Neil nie mógł go dojrzeć w świetle latarki. Ale wcale nie musiał go zobaczyć, żeby wiedzieć, co to jest.

– Moje zapięcie od krawata? Zastanawiałem się nad tym. Tego dnia zerwał mi się krawat, miałem go w kieszeni.

Rebus nie zamierzał oddawać zguby. Schował ją z powrotem. Neil tylko skinął głową ze zrozumieniem.

– Dlaczego zacząłeś mnie śledzić?

– Chciałem z panem porozmawiać, ale nie mogłem zdobyć się na odwagę.

– Nie chciałeś, żeby wiadomość o śmierci Ronniego dotarła do twoich rodziców?

– Tak. Pomyślałem, że może nie ustali pan jego tożsamości, ale udało się panu. Nie wiem, jak zareagują rodzice. Myślę, że w najgorszym przypadku będą szczęśliwi, bo to tylko potwierdzi, że mieli rację.

– A w najlepszym?

– W najlepszym? – Neil wpatrywał się w mrok, szukając wzroku Rebusa. – Nie ma najlepszego przypadku.

– Chyba nie – przyznał Rebus. – Ale trzeba ich zawiadomić i tak.

– Wiem. Od początku wiedziałem.

– To po co chodzisz za mną jak cień?

– Bo teraz jest pan bliżej Ronniego niż ja. Nie wiem, dlaczego tak się pan nim interesuje. A to interesuje mnie. Chcę, żeby pan znalazł szuję, która sprzedała mu tę truciznę.

– Zamierzam to zrobić, synu, nie martw się.

– Chciałbym pomóc.

– To pierwsza głupia rzecz, którą powiedziałeś, ale w porządku, posterunkowemu przystoi. Prawda jest taka, Neil, że byłbyś cholernym utrapieniem, kamieniem młyńskim u szyi. Mam dość rąk do pomocy.

– Gdzie kucharek sześć, co?

– Coś w tym stylu. – Rebus uznał, że spowiedź się kończy, że niewiele zostało do powiedzenia. Opuścił swoje terytorium pod oknem, podszedł do drzwi i zatrzymał się przed Neilem. – Już i tak mi zawadzasz. I nie psa od ciebie wyczuwam, ale rybę. Ścisłe mówiąc, śledzie. I zgadnij, jakiego są koloru.

– Co pan mówi? Jakiego?

– Czerwonego, synu, czerwonego.

Z dołu dobiegł hałas; nacisk na deski podłogowe był lepszy niż alarm na podczerwień. Rebus zgasił latarkę.

– Zostań tu – szepnął i poszedł na szczyt schodów. – Kto tam jest? – W dole pojawił się cień. Włączył latarkę i skierował smugę światła w skrzywioną twarz Tony’ego McCalla.

– Chryste, Tony. – Rebus ruszył na dół. – Narobiłeś mi strachu.

– Wiedziałem, że cię tu znajdę – powiedział McCall. – Po prostu wiedziałem. – Jego głos był nosowy i Rebus wiedział, że od kiedy rozstali się jakieś trzy godziny wcześniej, McCall bez dwóch zdań pił dalej. Zatrzymał się na schodach, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem w górę.

– Gdzie idziesz?! – zawołał McCall.

– Zamykam tylko drzwi – odparł Rebus i rzeczywiście je zamknął, z Neilem w środku. – Nie chcemy, żeby przewiało duchy, nie?

Rebus wrócił na dół. McCall chichotał.

– Pomyślałem, że moglibyśmy wychylić po jednym – powiedział. – Ale nie tego cholernego bezalkoholowego czegoś, co złopałeś wcześniej.

– W porządku – zgodził się Rebus, sprytnie wyprowadzając McCalla frontowymi drzwiami. Zamknął je na klucz, zakładając, że brat Ronniego zna wiele łatwych sposobów na wyjście z budynku, ostatecznie wszyscy gliniarze je znali.

Wszyscy.

– Dokąd się wybierzemy? – zapytał Rebus. – Mam nadzieję, że nie przyjechałeś tu autem, Tony.

– Podrzucili mnie radiowozem.

– Świetnie. Więc weźmiemy mój samochód.

– Możemy pojechać do Leith.

– Nie, mam ochotę pokręcić się bliżej centrum. Na Regent Road jest kilka dobrych pubów.



– Przez Calton Hill? – McCall był zdumiony. – Chryste, John, potrafisz sobie wyobrazić lepsze miejscówki na drinka.

– A ja nie. Chodźmy.

NELL STAPLETON BYŁA DZIEWCZYNA HOLMESA. Zawsze wolał wysokie kobiety, a przyczyną fiksacji była jego matka, która mierzyła metr siedemdziesiąt osiem. Nell była prawie pięć centymetrów wyższa od matki Holmesa, lecz mimo to ją kochał.

Nell była też inteligentniejsza od niego. Albo, jak lubił myśleć, każde z nich było bardziej inteligentne od tego drugiego na różne sposoby. W dobry dzień Nell potrafiła rozwiązać zawiłą krzyżówkę z „Guardiana” w niecały kwadrans. Ale jednocześnie miała problemy z matematyką i zapamiętywaniem nazwisk, a to z kolei były mocne strony Holmesa. Ludzie mówili, że są ładną parą i czują się ze sobą swobodnie, i chyba naprawdę tak było. Związek kwitł bez zakłóceń, bo budowali relację, przestrzegając kilku prostych zasad: żadnych rozmów o małżeństwie, żadnych planów co do dzieci, żadnych aluzji do wspólnej przyszłości, a już na pewno żadnych zdrad.

Nell była bibliotekarką na Uniwersytecie Edynburskim, co Holmes uważał za przydatne. Dziś, na przykład, poprosił ją, by znalazła mu kilka książek na temat okultyzmu. Poszła o krok dalej i znalazła kilka prac naukowych, które mógłby przeczytać na miejscu, gdyby tylko chciał. Co więcej, wydrukowała bibliografię odpowiednich materiałów i wręczyła mu ją w pubie, w którym umówili się tego wieczoru. The Bridge of Sighs był miejscem spotkań w połowie tygodnia, w drugiej połowie dnia, jak większość barów w centrum. Gdy weszli, jedna tura odwiedzających to miejsce po pracy narzucała kurtki i wychodziła, a ożywiony wieczorny tłum nie zdążył jeszcze złapać autobusów z osiedli mieszkaniowych do centrum miasta. Nell i Holmes siedzieli przy narożnym stoliku, z dala od gier wideo, ale trochę za blisko głośnika hi-fi. Gdy Holmes kupował przy barze piwo dla siebie i sok pomarańczowy z wodą Perrier dla Nell, zapytał, czy można zmniejszyć głośność.

– Przykro mi, nie można. Klienci tak lubią.

– Przecież my jesteśmy klientami – upierał się Holmes.

– Musi pan porozmawiać z kierownikiem.

– W porządku.

– Jeszcze go nie ma.

Holmes rzucił młodej barmance niezyczliwe spojrzenie, po czym odwrócił się w stronę swojego stolika. Wtedy zobaczył coś i zamarł. Nell otworzyła jego teczkę i przyglądała się zdjęciu Tracy.

– Kto to jest? – zapytała, zamykając teczkę, gdy postawił jej drinka na stole.

– Część sprawy, nad którą pracuję – odparł zimno i usiadł. – Kto ci pozwolił otworzyć moją teczkę?

– Zasada siódma, Brian. Żadnych tajemnic.

– Wszystko jedno...

– Ładna, nie?

– Co? Ja naprawdę nie...

– Widziałam ją, kręciła się na uniwersytecie.

Teraz się zainteresował.

– Widziałaś ją?

– Owszem, w bibliotecznej kawiarence. Zapamiętałam ją, bo zawsze wydawała mi się trochę starsza od innych studentów.

– Więc jest studentką?

– Niekoniecznie. Do kawiarni może wejść każdy, chociaż sama biblioteka jest otwarta tylko dla studentów. Nie przypominam sobie, żebym ją tam widziała. Tylko w kawiarni. Co ta dziewczyna zrobiła?

– Nic, o ile mi wiadomo.

– Więc dlaczego nosisz w teczce jej nagie zdjęcie?

– Zlecenie dla inspektora Rebusa.

– Niezłe zlecenie, gromadzenie dla niego sprośnych fotek.

Uśmiechnęła się i on też to zrobił. Uśmiech znikł jednak z jego twarzy, gdy do pubu weszli Rebus i McCall; po drodze do baru zaśmiewali się z jakiegoś żartu. Holmes nie chciał, żeby Rebus i Nell się spotkali; usilnie starał się zostawiać życie policyjne za sobą, kiedy spędzał z nią wieczór... no, może pomijając pewne przysługi, na przykład przygotowanie listy okultystycznych książek. Miał również zamiar trzymać Nell jako asa w rękawie, żeby mieć pod ręką bibliografię, gdyby inspektor jeszcze kiedyś jakiejś potrzebował.

A teraz zapowiadało się na to, że Rebus wszystko zepsuje. Był jeszcze jeden powód, dla którego Holmes nie chciał, by przełożony podszedł do ich stolika: obawiał się, że inspektor nazwie go „skórzany butem”.

Rebus rozglądał się po barowym asortymencie, a Holmes nie odrywał wzroku od stołu. Odetchnął z ulgą, gdy dwaj starsi detektywi po kupieniu drinków przeszli do odległego stołu bilardowego i zaczęli się sprzeczać o to, który powinien, a który nie powinien postawić dwie dwudziestopięćdziesiątki.

– Coś się stało?

Nell osunęła się na krzesło tak, że ich oczy znalazły się na tym samym poziomie, i nie spuszczała z niego wzroku.

– Nie, nic. – Odwrócił się do niej, ale i tak zerkał w stronę sali. – Jesteś głodna?

– Chyba tak, tak.

– Ja też.

– Czy ty czasem nie mówiłeś, że już jadłeś?

– Niewiele. Chodź, zapraszam do indyjskiej.

– Pozwolisz, że najpierw dokończę sok? – W trzech łykach opróżniła szklankę i wyszli. Drzwi zamknęły się za nimi bezszelestnie.

– ORZEŁ CZY RESZKA? – zapytał Rebus, rzucając monetą.

– Reszka.

Spojrzał na monetę.

– Reszka. Ty stawiasz.

Kiedy McCall pochylił kij nad stołem, zamknął jedno oko i skoncentrował na odległym trójkącie bil, Rebus sondował wzrokiem drzwi baru. W porządku, pomyślał. Holmes był po służbie, na dodatek z dziewczyną, co dawało mu podstawy do zignorowania starszego stopniem detektywa. Być może niczego nie znalazł i nie miał co zameldować. Ale Rebus nie mógł się oprzeć wrażeniu, że powinien odebrać jego postawę jako afront. Wcześniej dał Holmesowi po nosie, więc teraz chłopak żywił urazę.

– Twoja kolej, John – powiedział McCall, kiedy nie trafił do luzy.

– Racja, Tony. – Rebus nakreślił kijem trajektorię bili. – Święta racja.

Kiedy miał uderzyć, McCall podszedł do niego.

– To chyba jedyna knajpa hetero na całej ulicy – wyszeptał.

– Wiesz, czym jest homofobia, Tony?

– Nie zrozum mnie źle, John. – McCall wyprostował się i obserwował, jak wybrana przez Rebusa bila odbija się od ścianki. – Ja tam nikomu do łóżek nie zaglądam, każdy ma jakieś swoje i ten teges. Ale niektóre z tych pubów i klubów...

– Wygląda na to, że dużo wiesz.

– Gdzie tam, nie bardzo. Ale ludzie gadają.

– Konkretnie kto?

McCall wrzucił do luzu bilę z paskiem, a potem drugą.

– Daj spokój, John. Znasz Edynburg tak dobrze jak ja i wiesz, że każdy tu zna środowisko gejowskie.

– Jak powiedziałeś, Tony, każdy ma jakieś swoje... – W umyśle Rebusa wybrzmiał nagle głos: jesteś bratem, którego nigdy nie miałem. Nie, nie, wyłącz to. Za często o tym myślisz.

Jego przeciwnik spudłował przy kolejnym strzale i Rebus podszedł do stołu.

– Jak to się dzieje, że tyle chlejesz, a tak dobrze grasz? – spytał zdumiony.

McCall roześmiał się.

– Alkohol pozbawia trzęsawki – powiedział. – Dokończ piwo, idziemy na kolejne. Ja stawiam. Trochę relaksu nam nie zaszkodzi.

JAMES CAREW POCZUŁ, ŻE ZASŁUŻYŁ na chwilę relaksu. Sprzedał pokaźną nieruchomość na obrzeżach Edynburga dyrektorowi finansowemu nowego przedsiębiorstwa w Szkocji, a para architektów, mąż i żona, Szkoci z pochodzenia, ale dopiero co przenoszący się z Sevenoaks w angielskim hrabstwie Kent, właśnie złożyła lepszą, niż się spodziewał, ofertę na posiadłość o powierzchni trzech hektarów w Borders. Dobry dzień. Bynajmniej nie najlepszy, mimo to godny uczczenia.

Był właścicielem apartamentu na jednej z najpiękniejszych georgiańskich ulic New Town oraz farmy z paroma ładnymi hektarami na wyspie Skye. To były jego tłuste dni. Londyn migrował na północ, najwidoczniej z kabzami napchanymi gotówką ze sprzedaży nieruchomości na południowo-wschodnich terenach, i szukał jeszcze większych i lepszych, gotów za nie zapłacić.

O osiemnastej trzydzieści Carew opuścił biuro przy George Street i wrócił do swojego dwupoziomowego mieszkania. Mieszkania? Określenie go tym mianem ocierało się o obelgę: pięć sypialni, salon, jadalnia, dwie łazienki, porządna kuchnia, garderoby wielkości przyzwoitej kawalerki w dzielnicy Hammersmith. Carew był w doskonałym położeniu i doskonałym momencie życia. Interes kwitł, a on mógł czerpać z życia garściami, zwłaszcza w tym roku, tłustym jak żaden inny. W głównej sypialni zdjął garnitur, wziął prysznic i przebrał się w coś bardziej swobodnego, co nie oznaczało, że mniej kosztownego. Chociaż do domu wrócił pieszo, na dzisiejszy wieczór będzie potrzebował pojazdu. Samochód był garażowany na tyłach jego ulicy, kluczyki wisiały na wyznaczonym haczyku w kuchni. Czy jaguar nie był przesadną zachcianką? Uśmiechnął się, zamykając mieszkanie, i wyszedł. Może był. Ale lista jego zachcianek nie miała końca i miała się jeszcze wydłużyć.

REBUS CZEKAŁ Z MCCALLEM NA TAKSÓWKĘ, a kiedy przyjechała, podał kierowcy adres kolegi, a potem obserwował, jak samochód odjeżdża. Cholera, sam był wstawiony. Wrócił do pubu i skierował się do toalety. W lokalu panował teraz większy gwar, a szafa grająca dudniła jeszcze głośniej. Obsługa baru zwiększyła się z jednej osoby do trzech i usilnie starała się nadążać za zamówieniami. Toalety były chłodną, wyłożoną kafelkami przystanią, wolną od większości barowego dymu papierosowego. Kiedy Rebus pochylił się nad jedną z umywalk, uderzył go sosnowy zapach, środek do dezynfekcji. Włożył dwa palce do ust, aż do migdałków, i trzymał je na tylnej ścianie gardła, aż wreszcie zwymiotował, wyrzucając z siebie pół kufła piwa, a potem kolejne pół. Odetchnął głęboko, czując się już trochę lepiej, po czym obmył twarz zimną wodą i wytarł garścią papierowych ręczników.

– Wszystko w porządku? – usłyszał głos, w którym brakowało prawdziwego współczucia. Mężczyzna właśnie pchnął drzwi do męskiej toalety i już szukał najbliższego pisuaru.

– Nie może być lepiej – powiedział Rebus.

– No to git.

Git? Rebus nie był przekonany, ale przynajmniej jego głowa była jaśniejsza, a świat odzyskał ostrość. Przypuszczał, że przeszedłby test alkohometrem, i dobrze, bo jego następnym celem był samochód, zaparkowany w zaciemnionej bocznej uliczce. Wciąż zastanawiał się, jak Tony McCall, chwiejący się na nogach po sześciu dużych piwach, zdołał grać w bilard z tak stabilnym okiem i pewną ręką. Ten facet był chodzącym cudem, pokonał go w sześciu partiach z rzędu. A przecież Rebus się starał! Pod koniec naprawdę się starał. W końcu nie wygląda to dobrze, gdy człowiek ledwo stojący na nogach wybijał bilę za bilą, zmiatał je wszystkie do luz i ryczał z radości po każdym kolejnym zwycięstwie. Nie wygląda to dobrze. I Rebus nie czuł się z tym dobrze.

Była jedenasta wieczorem, może jeszcze trochę w wcześniej. Pozwolił sobie na jednego papierosa w samochodzie przy otwartym oknie; pałac, wychwytywał dźwięki otaczającego go świata. Prawdziwe dźwięki późnego wieczoru: ruch uliczny, podniesione głosy, śmiech, stukot obcasów na bruku. Jeden papieros, to wszystko. Potem uruchomił silnik i powoli przejechał niecały kilometr do celu. Niebo rozjaśniały jeszcze smugi światła, typowe dla edynburskiego lata. Wiedział, że na północy o tej porze roku nigdy nie robi się naprawdę ciemno.

Ale noc może być mroczna na inne sposoby.

Pierwszego zauważył na chodniku przed budynkiem Parlamentu Szkockiego. Nie było powodu, żeby nastolatek tam stał – pora była mało typowa na spotkanie z przyjaciółmi, a najbliższy przystanek autobusowy znajdował się sto metrów dalej, przy Waterloo Place. Chłopak palił papierosa, z jedną nogą opartą o kamienny murek. Nie spuszczał Rebusa z oka, kiedy ten powoli przejeżdżał obok, a nawet wychylił głowę do przodu, żeby móc zajrzeć do środka, jakby sprawdzał kierowcę. Rebusowi wydawało się, że widzi uśmiech, ale nie był pewien. Kawałek dalej zawrócił. Obok chłopaka zatrzymał się inny samochód, trwała rozmowa. Rebus pojechał dalej. Przed budynkiem Ministerstwa do spraw Szkocji, po tej samej stronie drogi, rozmawiało dwóch młodych mężczyzn. Nieco za nimi, przed cmentarzem Calton, stały samochody, jeden za drugim. Rebus zatoczył jeszcze jeden krąg, po czym zaparkował w ich pobliżu i poszedł pieszo.

Noc była ożywcza; żadnych chmur, lekki wietrzyk, nic więcej. Chłopak przed budynkiem Parlamentu wszedł do samochodu i okolica opustoszała. Rebus przeszedł na drugą stronę ulicy, zatrzymał się przy murze i czekał cierpliwie. Obserwował. Kilka samochodów przejechało obok niego powoli, a kierowcy odwrócili się, żeby na niego spojrzeć, ale nikt się nie zatrzymał. Próbował zapamiętać numery rejestracyjne, właściwie sam nie wiedział dlaczego.

– Czołem, brachu, masz ognia?

Był młody, miał nie więcej niż osiemnaście, dziewiętnaście lat. Ubrany w dżinsy, buty treningowe, bezkształtny T-shirt i dżinsową kurtkę. Włosy miał krótko ostrzyżone, twarz starannie ogoloną, ale pokrytą bliznami po trądziku. W lewym uchu dwa złote ćwieki.

– Dzięki – powiedział, gdy Rebus wyciągnął pudełko zapalek, i spoglądając na niego z rozbawieniem, dodał: – Jak leci?

– Zajebicie – odparł Rebus, odbierając pudełko zapalek.

Młody człowiek wydmuchał dym przez nozdrza; nie sprawiał wrażenia, jakby zaraz miał odejść. Rebus zastanawiał się, czy zna inne slangowe słowa, których powinien użyć. Mimo gęszej skórki czuł się lepki pod cienką koszulą.

– No tak, tu jak zwykle nic ciekawego... Może mała balanga?

– O tej porze? Gdzie?

Młody człowiek kiwnął głową w niejasnym kierunku.

– Cmentarz Calton. Tam zawsze się napijesz.

– Nie, dzięki. – Rebus z przerażeniem stwierdził, że spiekl raka. Miał nadzieję, że oświetlenie ulicy to ukryje.

– Spoko luz, trzymaj się. – Młody człowiek ruszył dalej.

– Cześć – powiedział Rebus z ulgą. – Trzymaj się.

– I dzięki za ogień!

Rebus patrzył, jak chłopak powoli zmierza do celu, odwracając się od czasu do czasu na błysk zbliżającego się samochodu. Mniej więcej sto metrów dalej przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył z powrotem; teraz nie zwracał na niego uwagi, myślami błądził gdzieś daleko. Rebusa uderzyło, że chłopak jest smutny, samotny; z pewnością nie był naciągaczem. Ale nie był też ofiarą.

Rebus wpatrywał się w mury cmentarza Calton, przerywane jedynie metalowymi bramami. Zabrał tam kiedyś córkę, żeby pokazać jej groby sławnych ludzi: Davida Hume'a, wydawcy Constable'a, malarza Davida Allana, a także pomnik Abrahama Lincolna. Zapytała go o mężczyzn, którzy żwawym krokiem opuścili teren cmentarza, z pochylonymi głowami. Jeden starszy facet, dwóch nastolatków. Rebus też się nad nimi zastanawiał. Ale nie za bardzo.

Nie, nie mógł tego zrobić. Nie mógł tam wejść. To nie tak, że się bał. Jezu, nie, ani przez chwilę. Był po prostu... sam nie wiedział w czym rzecz. Ale czuł się znowu oszołomiony, nogi mu się chwiały. Wróć do samochodu, pomyślał.

I zrobił to.

Siedział na miejscu kierowcy, w zamyśleniu paląc kolejnego papierosa przez jakąś minutę, gdy kątem oka przywazył postać. Odwrócił się i spojrzał w stronę, gdzie siedział chłopak; nie, nie siedział, przykucnął pod niskim murkiem. Rebus odwrócił się i palił dalej papierosa. Dopiero wtedy chłopak podniósł się na nogi i powlókł do jego samochodu. Stuknął w szybę od strony pasażera. Rebus wziął głęboki oddech i odblokował drzwi, a gdy chłopak wsiadł bez słowa, zablokował je z trzaskiem. Młody człowiek siedział, wpatrując się w przednią szybę, milczał. Rebus, nie potrafiąc wymyślić nic sensownego, co mógłby powiedzieć, również milczał. Chłopak przełamał w końcu lody.

– Heja. – Głos był głęboki, męski.

Rebus odwrócił się, żeby przyrzeć się chłopcu. Miał może szesnaście lat, skórzaną kurtkę, koszulę rozpiętą pod szyją, podarte dżinsy.

– Cześć – odpowiedział.

– Dasz wciągnąć chmurę?

Rebus podał mu paczkę. Małolat wziął jednego, oddał papierosa i przyjął pudełko zapalek. Zaciągnął się głęboko, zatrzymał dym na dłużej w płucach i prawie nic nie wypuścił z powrotem w powietrze. Bierz i nie dawaj, pomyślał Rebus. Credo ulicy.

– Jak mija wieczór? – To pytanie cisnęło się Rebusowi na usta, ale to chłopak wypowiedział je na głos.

– Zabijam czas – odparł Rebus. – Nie mogłem zasnąć.

Chłopak zaśmiał się szorstko.

– Aha, nie mogłeś zasnąć, więc uznałeś, że sobie pojeździsz. Zmęczyłeś się jazdą i zatrzymałeś tutaj. Na tej konkretnej ulicy. O tej porze nocy. Potem poszedłeś na spacer, rozprostowałeś nogi i wróciłeś do samochodu. Zgadza się?

– Obserwowałeś mnie – stwierdził Rebus.

– Nie musiałem cię obserwować. Już to wszystko widziałem.

– Jak często?

– Wystarczająco często, James.

Głos był twardy, słowa były twarde. Rebus nie miał powodów, by w nie wątpić. Z pewnością ten chłopak był z innej bajki niż pierwszy spotkany małolat.

– Nie nazywam się James – sprostował Rebus.

– Pewnie, że tak. Wszyscy się tak nazywają. To łatwiej zapamiętać niż twarz.

– Rozumiem.

Chłopak w milczeniu dokończył papierosa i wyrzucił go przez okno.

– Więc co robimy?

– Nie wiem – powiedział Rebus szczerze. – Może mała przejażdżka?

– A pieprzyć to! Dobra, pojedźmy na szczyt Calton Hill. Popatrzmy sobie na wodę, co ty na to?

– Zgoda. – Rebus uruchomił silnik.

Wjechali stromą i krętą drogą na szczyt wzgórza, punkt obserwacyjny, gdzie na tle nieba rysował się pomnik pamięci poległych Szkotów – kopia greckiego Partenonu. Na szczycie nie byli jednak sami. Stały tam inne samochody z wyłączonymi światłami, zwrócone w stronę zatoki Firth of Forth i ciemnego wybrzeża Fife. Rebus starał się nie przyglądać pozostałym pojazdom i postanowił zaparkować w dyskretnej odległości od nich, ale chłopak miał inny pomysł.

– Zatrzymaj się obok tego jaguara – rzucił. – Piękne auto.

Rebus poczuł, że jego samochód przyjął tę zniewagę z taką dumą, na jaką był w stanie się zdobyć. Zatrzymał się, hamulce zapisały w proteście. Wyłączył silnik.

– Co teraz? – zapytał.

– Cokolwiek chcesz – odparł chłopak. – Oczywiście za pobraniem.

– Oczywiście. A jeśli tylko porozmawiamy?

– Zależy od rodzaju rozmowy. Im bardziej zboczona, tym więcej cię będzie kosztować.

– Chodzi mi o chłopaka, którego tu kiedyś spotkałem, całkiem niedawno. Nie kręcił się ostatnio w pobliżu i zastanawiam się, co się z nim stało.

Chłopak nagle położył dłoń na kroczu Rebusa i szybko, mocno zaczął pocierać o materiał. Rebus wpatrywał się w dłoń przez pełną sekundę, po czym spokojnie, ale z rozmysłem, odsunął ją. Chłopak

uśmiechnął się i odchylił na oparcie siedzenia.

– Jak on się nazywa, James?

Rebus próbował pohamować drżenie strun głosowych. Żołądek wypełniała mu żółć.

– Ronnie – powiedział w końcu, oczyszczając gardło. – Nie za wysoki. Ciemne włosy, dość krótkie. Robił zdjęcia. Wiesz, pasjonował się fotografią.

Chłopak uniósł brwi.

– Aha, jesteś fotografem? Lubisz pstrykać fotki? Wszystko jasne. – Pokiwał powoli głową.

Rebus wąpił w to, czy w ogóle coś zrozumiał, ale nie zamierzał mówić więcej, niż było to konieczne. A co do jaguara, to rzeczywiście był ładny, wyglądał na nowy. Lakier jaskrawy, odblaskowy. Ktoś tu miał trochę grosza. Tylko... Jezu, dlaczego on miał erekcję?

– Myślę, że wiem, o którego Ronniego ci chodzi – odezwał się chłopak. – Ale nie widywałem go często w tej okolicy.

– Co możesz mi o nim powiedzieć?

Chłopak znów wpatrywał się w przednią szybę.

– Wspaniały widok, prawda? – rzucił. – Nawet w nocy. Zwłaszcza w nocy. Niesamowity. Rzadko przychodzę tu w ciągu dnia, wtedy wszystko wygląda tak zwyczajnie. Jesteś gliniarzem, mam rację?

Rebus spojrział w jego stronę, ale chłopak zatopił spojrzenie w widoku za szybą, uśmiechnięty, obojętny.

– Wiedziałem, że jesteś. Od początku.

– Więc dlaczego wsiadłeś do samochodu?

– Pewnie z ciekawości. Poza tym – chłopak zerknął na Rebusa – kilku moich najlepszych klientów to stróżę prawa.

– No cóż, to nie moja sprawa.

– Nie? A powinna być. Jestem niepełnoletni, wiesz?

– Domyśliłem się.

– Ech... – Chłopak odchylił się na oparcie siedzenia i położył stopy na desce rozdzielczej. Rebus przez chwilę myślał, że zaraz znowu zacznie... i zerwał się do pionu, ale młody tylko się roześmiał.

– Co ci przyszło do głowy? Że znów ci będę dotykał? A to pech, nic z tego, James.

– Więc co wiesz o Ronnie? – Rebus nie był już pewien, czy chce uderzyć tego dość brzydkiego dzieciaka w bebechy, czy zabrać go do dobrego i troskliwego domu. Ale wiedział, że przede wszystkim chce odpowiedzi.

– Daj mi jeszcze fajkę.

Rebus dał mu papierosa.

– Dlaczego tak się nim interesujesz? – chciał wiedzieć chłopak.

– Bo nie żyje.

– To się często zdarza... przedawkowania.

– Niekoniecznie. Prochy były zabójcze.

Chłopiec milczał przez chwilę.

– To zła wiadomość – odezwał się w końcu.

– Czy ostatnio krążył tu zatruty towar?

– Nie. – Młody uśmiechnął się. – Tylko ten dobry. Masz coś przy sobie?

Rebus pokręcił głową. Zaraz go walnę w bebechy, pomyślał.

– Szkoda – powiedział chłopak.

– A tak w ogóle to jak się nazywasz?

– Tylko bez imion, James, i bez kazań.– Chłopak wyciągnął rękę dłonią do góry. – Potrzebuję trochę kasy.

– Najpierw kilka odpowiedzi.

– No to pytaj, ale zanim zaczniesz, okaż trochę dobrej woli, co? – Dłoń wciąż była wyciągnięta, wyczekująca jak przysły ojciec na porodówce. Rebus znalazł w kurtce zmięty banknot dziesięciofuntowy i wręczył go chłopcu. Ten wyglądał na zadowolonego. – To gwarantuje ci odpowiedzi na dwa pytania.

Rebus zapłonął gniewem.

– Dasz mi tyle odpowiedzi, ile zechcę, albo...

– Więc jednak lubisz się bawić w brutalną, co? – Chłopak wydawał się jednak tym nie przejmować.

Może już to wszystko słyszał, pomyślał Rebus.

– Ostra jazda z chłopcami to tutaj częste zjawisko? – zapytał.

– Nie... – Chłopak zawiesił głos. – Ale i tak za częste...

– Ronnie był w to wmieszany, zgadza się?

– To jest twoje drugie pytanie – oznajmił chłopak. – A odpowiedź brzmi: nie wiem.

– Nie liczę pytań – rzucił Rebus. – A mam ich jeszcze mnóstwo.

Chłopak chwycił za klamkę; miał szczerze dość tego wszystkiego. Rebus złapał go za kark i przycisnął jego głowę do deski rozdzielczej, dokładnie tam, gdzie wciąż spoczywały obie stopy dzieciaka.

– Jezu Chryste! – Chłopak sprawdził, czy na jego czole nie ma krwi. Nie było ani kropli.

Rebus był z siebie zadowolony: maksymalny szok, minimalne widoczne obrażenia.

– Nie masz prawa...

– Mam prawo robić wszystko, co mi się żywnie podoba, łącznie ze zrzuceniem cię z najwyższego punktu w mieście. A teraz opowiedz mi o Ronniem.

– Nie mogę ci powiedzieć o Ronniem. – W oczach młodego pojawiły się łzy. Otarł czoło, próbując zmasać ból. – Nie znałem go dobrze.

– Więc powiedz mi, co wiesz.

– Dobra, dobra – prychnął, wycierając nos rękawem kurtki. – Wiem tylko, że kilku moich znajomych wdało się w jakiś szemrany biznes.

– Jaki biznes?

– Nie wiem, ale to coś poważnego. Nikt nie chce gadać, ale ślady widać wszędzie na ciele. Siniaki, rany cięte. Jeden z nich wylądował na tydzień na izbie przyjęć... Powiedział, że spadł ze schodów. Chryste, wyglądał, jakby spadł z dachu wieżowca.

– I wszyscy milczą?

– Tak, pewnie chodzi o grube pieniądze.

– Coś jeszcze?

– Sam nie wiem, czy to ma związek...

Chłopak się złamał, Rebus usłyszał to w jego głosie. Wreszcie zaczął mówić i będzie mówić aż po dzień sądu. I dobrze, bo Rebus nie miał zbyt wielu uszu w tej części miasta; świeża para mogła zrobić różnicę.



– Co takiego? – warknęła, ciesząc się teraz swoją rolą.

– No... ta fotografia... Chodzą słuchy, że jest zainteresowanie zdjęciami. Ale nie z drugiej ręki, tylko autentykami.

– Zdjęcia porno?

– Chyba tak. Plotki są dość niejasne. Plotki to do siebie mają, że też są z drugiej ręki...

– Głuchy telefon – rzucił Rebus. Cała ta sprawa jest jak zabawa w głuchy telefon, wszystko na drugim i trzecim planie, żadnego pewnego dowodu, pomyślał.

– Co?

– Nieważne. Coś jeszcze?

Chłopak pokręcił głową. Rebus sięgnął do kieszeni i ku własnemu zaskoczeniu znalazł kolejną dychę. Przypomniawszy sobie, że w trakcie chłania z McCallem poszedł do bankomatu. Wręczył dzieciakowi pieniądze.

– Proszę. Dam ci też moje nazwisko i numer telefonu. Zawsze jestem otwarty na strzępki informacji, nieważne jak małe. Przy okazji, przepraszam za głowę.

Chłopak wziął kasę.

– Nie szkodzi. Gorzej mi za takie rzeczy płacili. – Uśmiechnął się.

– Podwieźć cię gdzieś?

– Może na mosty nad zatoką Forth?

– Nie ma sprawy. Jak masz na imię?

– James.

– Naprawdę? – Rebus uśmiechnął się.

– Tak, naprawdę. – Chłopak też się uśmiechał. – Posłuchaj, coś mi się przypomniało.

– Mów śmiało, James.

– Tylko słowo, które słyszałem. Może nic nie znaczyć.

– Tak?

– Hyde.

Rebus zmarszczył brwi.

– *Hide?* Schować? Co schować?

– Nie. Hyde. H-Y-D-E.

– Hyde? Wiesz coś o tym?

– Nic. Tylko tyle słyszałem.

Rebus chwycił za kierownicę. Hyde? Hyde? Czy właśnie nie to słowo Ronnie wykrzyczał do Tracy? Może nie chodziło tylko o to, żeby się schowała, ale też o to, że człowiek, przed którym się ukrywali, nazywa się Hyde? Pogrążony w rozmyśleniach, wlepił wzrok w jaguara. A dokładniej, w profil mężczyzny siedzącego na miejscu kierowcy. Mężczyzny, który trzymał rękę na szyi dużo młodszego mężczyzny siedzącego na miejscu pasażera. Głaskał go i cały czas mówił cichym głosem. Głaskanie, rozmowa. Wszystko bardzo niewinne.

Nic dziwnego, że James Carew z agencji nieruchomości Bowyer Carew skamieniał, gdy wychwycił spojrzenie i znalazł się oko w oko z Johnem Rebusem.

Rebus, równie zdumiony, próbował przetrawić to, co zobaczył, a Carew w tym czasie przekręcił kluczyk w stacyjce, włączył nowy silnik V12 i wyjechał z parkingu, bijąc rekord prędkości, jakby gonił go kliper *Cutty Sark*.

- Spiesz mu się – zauważył James.
- Widziałeś go już wcześniej?
- Nie zauważyłem jego twarzy, ale tego samochodu nie widziałem.
- Pewnie nie, w końcu to nowy wóz – powiedział Rebus, powoli uruchamiając silnik.

MIESZKANIE WCIAŻ PACHNIAŁO TRACY. Kręciła się w salonie i łazience. Widział ją z ręcznikiem owiniętym wokół głowy, z nogami podciągniętymi pod siebie, kiedy podawała mu śniadanie... Brudne naczynia nadal leżały obok niepościelonego łóżka. Śmiała się, że spał na materacu na podłodze.

– Jak w squacie – skwitowała.

Mieszkanie wydawało się teraz opustoszałe, bardziej, niż zanim pierwszy raz przekroczyła jego próg. A Rebusowi przydałaby się kąpiel. Wrócił do łazienki i puścił gorącą wodę. Wciąż czuł dłoń Jamesa na kroczu... W salonie przez całą minutę połykał wzrokiem butelkę whisky, ale odwrócił wzrok i sięgnął do lodówki po niskoalkoholowe piwo.

Wanna napełniała się powoli; sruba Archimedesza byłaby bardziej wydajna. Dało mu to czas na telefon na komendę, żeby sprawdzić, jak traktują Tracy. Wieści nie były dobre: stała się drażliwa, odmawiała jedzenia, skarżyła się na bóle w boku. Zapalenie wyrostka robaczkowego? Albo skutki uboczne odstawienia narkotyków. Poczul dość silne poczucie winy na myśl, że jej nie odwiedził. Ale cóż, stało się, a kolejna fala wyrzutów sumienia bardziej mu nie zaszkodzi, postanowił więc odłożyć wizytę do rana. Chciał chociaż na kilka godzin uciec od tego wszystkiego, od tego plugawego majstrowania przy życiu innych. Jego mieszkanie nie było już tak bezpieczne, nie przypominało fortecy, którą było jeszcze wczoraj czy przedwczoraj. Poza tym, oprócz uszkodzeń strukturalnych, odnotował też uszkodzenia wewnętrzne: czuł się zanieczyszczony, jakby miasto zeszkrobało warstwę brudu i na siłę go nim nakarmiło.

Do diabła z tym.

Dał się przyłapać. Mieszkał w najpiękniejszym, najbardziej cywilizowanym mieście północnej Europy, a jednak codziennie miał do czynienia z jego drugą stroną, z jego ukrytym animusem. Animus? Dawno już nie używał tego słowa. Nie był nawet pewien, co dokładnie oznacza, ale grunt, że brzmiało dobrze. Przyssał się do butelki piwa i zatrzymał pianę w ustach jak dziecko bawiące się pastą do zębów. Całe to śledztwo było tylko pianą. Żadnej substancji.

Tylko piana. Gdy o tym pomyślał, wpadł na inny pomysł. Wlał do wody trochę pieniącego się płynu do kąpieli. Kąpiel z bąbelkami. Kto mu to dał, do cholery? Ach tak, Gill Templer. Teraz sobie przypomniał. Pamiętał też okazję: skarciła go subtelnie za to, że nigdy nie myje po sobie wanny, a potem podarowała mu to pachnidło.

„Wycyści cię i twoją wannę – powiedziała, czytając napis na butelce – oraz przywróci radość z kąpieli”.

Zasugerował, żeby któregoś dnia razem sprawdzili prawdziwość tego sloganu i mieli... Jezu, John, znowu popadasz w obsesję. Tylko dlatego, że odeszła z jakimś pustogłowym didżejem o nieprawdopodobnym imieniu i nazwisku: Calum McCallum. To nie był koniec niczyjego świata. Bomby nie spadały z nieba. Nie było wycia syren.

Nie było nic... Nic poza Ronniem, Tracy, Charliem, Jamesem i resztą. A teraz jeszcze ten Hyde. Rebus zaczął rozumieć znaczenie terminu „żywy trup”. Zanurzył nagie ciało w niemal wrzącej

wodzie i zamknął oczy.

# CZWARTEK

*Dom dobrowolnej niewoli... z jego tajemniczym pustelnikiem.*

ŻYWY TRUP. HOLMES ZNOWU ZIEWNAŁ, ledwo stojąc na nogach. Chociaż raz wstał z łóżka, zanim zawył radiobudzik, tak że wracał do niego z kawą rozpuszczalną, zanim do akcji włączyło się radio. Też ci pomysł na codzienną pobudkę! Gdyby miał wolne pół godziny, przestroiłby to badziewie na Radio Three czy coś w tym stylu. Wiedział jednak, że ta stacja ulułałaby go z powrotem do snu, a głos Caluma McCalluma i zgrzytliwe nagrania, które puszczał między podśmiejkami, dźwiękami i entuzjastycznymi kiepskimi żartami, budziły go z szarpnięciem, z zaciśniętymi zębami, gotowego, by stoczyć bój z kolejnym dniem.

Dziś rano pokonał w boju zadowolony z siebie, wesolutki głosik. Wyłączył radio.

– Kawa, kochanie, pora wstawać – powiedział.

Nell odwróciła głowę od poduszki i spojrzała na niego zmrużonymi oczami.

– Jest już dziewiąta?

– Jeszcze nie.

Wtuliła się z powrotem w poduszkę, jęcząc przy tym cicho.

– Dobrze. Obudź mnie znowu, kiedy będzie.

– Napij się kawy – rzucił, dotykając ramienia dziewczyny. Było ciepłe, kuszące. Rzucił jej czuły uśmiech i skierował się do wyjścia z sypialni, ale po dziesięciu krokach zawrócił. Ręce Nell były długie, opalone i chętne, by go przywitać.

MIMO ŻE PRZYNIÓŚŁ JEJ ŚNIADANIE DO CELI, Tracy była wściekła na Rebusa, zwłaszcza kiedy wyjaśnił, że może wyjść w każdej chwili, że nie jest aresztowana.

– To się nazywa ochrona – powiedział. – Ochrona przed ludźmi, którzy cię ścigali. Ochrona przed Charliem.

– Charlie... – Uspokoiła się nieco na dźwięk jego imienia i dotknęła posiniaczonego oka. – Ale dlaczego nie przyszedłeś do mnie wcześniej? – poskarżyła się.

Rebus wzruszył ramionami.

– Miałem inne sprawy na głowie.

Teraz wpatrywał się w jej zdjęcie, podczas gdy Brian Holmes siedział po drugiej stronie biurka, sącząc ostrożnie kawę z wyszczerbionego kubka. Rebus nie był pewien, czy nienawidzi Holmesa, czy uwielbia za to, że przyniósł fotografię i położył ją na biurku, tuż przed jego nosem. Bez słowa. Ani dzień dobry, ani pocałuj mnie w dupę, tylko to: fotografia, akt. Zdjęcie nagiej Tracy.

Kiedy Rebus wziął je pod lupę, Holmes składał raport. Ciężko wczoraj pracował, i to efektywnie, więc dlaczego zlekceważył Rebusa w barze? Gdyby Rebus zobaczył to zdjęcie wczoraj wieczorem, nie zrujnowałoby jego poranka, nie zniszczyło wspomnienia dobrze przespanej nocy. Odchrząknął.

– Dowiedziałeś się o niej czegoś?

– Nie, panie inspektorze – odparł Holmes. – Zdobyłem tylko to. – Skinął w kierunku fotografii, a jego powieki ani drgnęły, jakby chciał mu powiedzieć: „Dałem ci zdjęcie, czego ty jeszcze chcesz?”.

– Rozumiem – powiedział Rebus spokojnym głosem. Odwrócił zdjęcie i przeczytał małą etykietę na odwrocie: *Studio Hutton*. I numer telefonu. – W porządku, Brian, zostaw to mnie. Będę musiał to przemyśleć.

– Dobrze – rzucił Holmes. Nazwał mnie Brian! Coś mu się dziś pomieszało w głowie.

Rebus odchylił się na oparcie krzesła i pociągnął łyk kawy, z mlekiem, bez cukru. Był rozczarowany, gdy Holmes poprosił o taką samą, bo to oznaczało, że mają ze sobą coś wspólnego: gust w kwestii kawy.

– Jak idzie szukanie mieszkania? – zagaił przyjaźnie.

– Kiepsko. Skąd pan...? – zapytał Holmes i przypomniał sobie, że włożył w kieszeń marynarki listę nieruchomości na sprzedaż, zwiniętą w rulon jak tabloid. Dotknął jej.

Rebus uśmiechnął się i skinął głową.

– Pamiętam, jak sam kupowałem mieszkanie – powiedział. – Tygodniami wertowałem gazety z ogłoszeniami, zanim znalazłem takie, które mi się spodobało.

– Spodobało? – prychnął Holmes. – To byłby luksus. Moim problemem jest znalezienie lokum, na które mnie stać.

– Tak?

– Nie zauważył pan? – Holmes nie mógł w to uwierzyć. Był tak zaangażowany w śledzenie rynku nieruchomości, że trudno było mu pojąć, że nie wszystkich to interesuje. – Ceny idą w górę. W pobliżu centrum starczyłoby mi na dach.

– Ach tak... pamiętam, że ktoś mi o tym wspominał. – Rebus się zamyślił. – Wczoraj na lunchu. Jadłem go z ludźmi, którzy wyłożyli fundusze na kampanię antynarkotykową Farmera Watsona. Jednym z nich był James Carew.

– Carew? Nie ma czasem czegoś wspólnego z Carew Bowyers?

– Jest właścicielem. Chcesz, żebym zamienił z nim słowo? Podpytał o zniżkę dla ciebie?

Holmes się uśmiechnął. Ostre fragmenty lodowca między nimi zostały odłupane.

– Byłoby wspaniale – odparł. – Może zorganizuje letnie wyprzedaże i trafi się okazja... – Holmes rozpoczął to zdanie z uśmiechem na ustach, który ulotnił się, gdy je zamknął. Bo Rebus go nie słuchał, myślami był gdzie indziej.

– Dobrze – rzucił cicho. – I tak muszę zamienić słowo z panem Carew.

– Poważnie?

– Owszem. Nagabywanie...

– Nagabywał klientów? Naciągał na nieruchomości?

Rebus rzucił młodemu detektywowi oziębiałe spojrzenie.

– Ech, nieważne... Chyba potrzebujemy planu działania na dziś.

Holmes wyglądał na zakłopotanego.

– Chciałem pana o to zapytać, panie inspektorze. Miałem dziś rano telefon. Pracuję od kilku miesięcy nad sprawą walk psów. Chcą zapuszkować gang.

– Walki psów?

– Owszem, panie inspektorze. Wie pan, obstawiają zakłady, wrzucają na ring dwa psy, a te rozrywają się na strzępy.

– Myślałem, że ten proceder padł dawno temu, razem z brytyjską gospodarką.

– Znów się odrodził. Starcia na śmierć i życie. Mogę pokazać panu kilka zdjęć...

– Odrodził? Po co to komu?

– Czy ja wiem? Ludzie szukają kopa, czegoś mocniejszego niż legalny zakład u bukmachera.

Rebus pokiwał głową i znów zatonął w myślach.

– Myślisz, Holmes, że pokolenie yuppie znalazło sobie nową rozrywkę?

Holmes wzruszył ramionami: jest coraz lepiej. Przestał zwracać się do mnie po imieniu.

– No cóż, zostawmy to – powiedział Rebus. – Chcesz brać udział w aresztowaniu?

Jego podwładny skinął głową.

– Jeśli to możliwe, panie inspektorze.

– Jasne, że możliwe. Gdzie odbędzie się ta łapanka?

– Muszę sprawdzić, gdzieś w hrabstwie Fife.

– Fife? To moje rodzinne strony.

– Ach tak? Nie wiedziałem. Jak brzmiało to powiedzonko?

– O tym, że trzeba mieć łyżkę z długim trzonkiem, żeby uisnąć do stołu z kimś z Fife?

– A tak, to. Jest podobne powiedzenie o diable, prawda?

– Owszem, ale chodzi głównie o to, Holmes, że jesteśmy ze sobą mocno związani. Nie cierpimy głupców i obcych i umiemy sobie z nimi radzić. A teraz jedź do Fife i sam się o tym przekonaj.

– Dobrze, panie inspektorze. A co z panem? To znaczy... co pan robi z...? – Oczy Holmesa znów były zwrócone na fotografię.

Rebus podniósł ją i włożył pomału do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Nie martw się o mnie, synu, mam co robić. Samo trzymanie się z dala od Farmera Watsona to wystarczająca harówka na cały dzień. Może wezmę samochód i wybiorę się na przejażdżkę, taki ładny dziś dzień.

#### – ŁADNY DZIEŃ NA PRZEJAŻDŻKĘ.

Tracy robiła, co w jej mocy, żeby go ignorować. Patrzyła za szybę od strony pasażera, pozornie zainteresowana mijanym korowodem sklepów, klientów, turystów i dzieciaków, które nie miały co robić po tym, jak szkoły zamknięto na czas letnich wakacji. Była jednak wystarczająco chętna, by wydostać się z aresztu. Przytrzymał dla niej otwarte drzwi samochodu i odradził odejście. A ona się zgodziła, ale po cichu, nadąsana. Dobra, była na niego wściekła. Opuść, Rebus, przejdzie jej.

– Słuszna uwaga – powiedział. – Jesteś wkurzona. Ale ile razy mam ci powtarzać? Zamknąłem cię dla twojego bezpieczeństwa, podczas gdy ja robiłem rozeznanie.

– Gdzie jedziemy?

– Znasz tę część miasta?

Milczała. Miało nie być żadnej rozmowy. Tylko pytania i odpowiedzi: jej pytania.

– Tak sobie jeździmy – rzucił. – Musisz znać tę część miasta. Robiło się tu kiedyś dużo interesów.

– Nie podoba mi się to!

Przyszła kolej Rebusa na milczenie. Nie był jeszcze za stary na takie gierki. Skręcił w lewo, potem znów w lewo, a następnie w prawo.

– Już tu byliśmy – skomentowała.

Zauważyła to, cwaniara. Ale to nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że powoli, stopniowo, w lewo i w prawo, potem znowu w lewo i w prawo, prowadził ich do celu. Gwałtownie wjechał na krawężnik i zaciągnął hamulec ręczny.

– Dobrze, jesteśmy na miejscu – oznajmił.

– Tutaj? – Spojrzała przez boczną szybę na kamienicę. Czerwony kamień został w ciągu ostatniego roku wyczyszczony, co nadało mu wygląd plasteliny w kolorze ochry. – Tutaj? – powtórzyła, dławiąc

się tym słowem, gdy rozpoznała dokładny adres. Potem starała się tego nie okazywać.

Kiedy przestała patrzeć przez szybę, fotografia leżała już na jej kolanach. Odrzuciła ją od siebie z piskiem, jakby to był jakiś owad. Rebus podniósł zdjęcie z podłogi i podstawił jej pod nos.

– Twoje, jak sądzę.

– Skąd to, do diabła, masz?

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Jej twarz była czerwona jak kamień domu, przy którym stali, a rozbieranym w panice spojrzeniem przypominała ptaka. Walczyła z pasem bezpieczeństwa, desperacko chcąc wydostać się z samochodu, ale ręka Rebusa na guziku od drzwi była twarda jak skała.

– Puść mnie! – krzyknęła dziewczyna.

Uderzyła go w dłoń, potem pchnęła drzwi, ale przez nachylenie drogi się zamknęły, a poza tym pasy bezpieczeństwa i tak nie dawały wystarczająco dużo luzu: była uwięziona.

– Pomyślałem, że wpadniemy z wizytą do pana Huttona i zapytamy o to zdjęcie – powiedział Rebus głosem ostrym jak nóż. – Pogawędzimy sobie trochę o tym, jak zapłacił ci parę funtów za pozowanie dla niego, o zdjęciach Ronniego, które mu przyniosłaś dla odrobiny szmalu albo po to, żeby zrobić Ronniemu na złość. Tak było, Tracy? Założę się, że Ronnie był roztrzęsiony, kiedy zobaczył, że Hutton ukradł mu pomysły. Ale nie mógł tego udowodnić, co? I skąd miał wiedzieć, jakim cholernym cudem Hutton je zdobył? Spodziewam się, że winę zrzuciłaś na Charliego i dlatego nie jesteś z nim w dobrych stosunkach. Byłaś przyjaciółką Ronniego, kochanie. Przyjaciółką.

Załamana się i zrezygnowała z prób uwolnienia się z pasów. Jej głowa opadła i spoczęła w dłoniach. Dziewczyna płakała, donośnie i długo. Rebus łapał oddech. Nie był z siebie dumny, ale musiał to powiedzieć. Powinna przestać uciekać przed prawdą. To wszystko były tylko domysły, ale Rebus nie wątpił, że Hutton potwierdziłby szczegóły, gdyby go przycisnąć. Pozowała dla pieniędzy, może wspomniała, że jej chłopak był fotografem. Zaniósła zdjęcia do Huttona, oddając mu promyk szansy Ronniego na karierę w branży, jego kreatywność. I za co? Za kilka nędznych banknotów. Skoro nie możesz ufać przyjaciołom, czy możesz ufać komukolwiek?

Zostawił ją na noc w celi, żeby sprawdzić, czy nie pęknie. Nie pękła, więc przypuszczał, że musi być czysta. Ale to nie znaczyło, że nie miała jakiegoś nałogu. Jeśli nie potrzebowała igły, to czegoś innego. Każdy ma jakieś potrzeby. A pieniądze były jej potrzebne. Więc okradła swojego chłopaka...

– Podłożyłaś aparat Ronniego w squacie Charliego?

– Nie! – Wyglądało to tak, jakby po tym wszystkim, co wydarzyło się wcześniej, oskarżenie nadal bolało.

Rebus skinął głową. Czyli to Charlie zabrał aparat albo podrzucił go tam ktoś inny. Żeby on, Rebus, go znalazł. No, nie do końca... bo to nie on znalazł aparat, tylko McCall. I to z jaką łatwością, tak jak bez problemu wykrył narkotyki w śpiworze. Węch prawdziwego gliny? A może coś innego? Może trochę informacji, wewnętrznych informacji? Skoro nie możesz ufać przyjaciołom...

– Widziałaś aparat w noc śmierci Ronniego?

Zamrugła przez łzy i wytarła nos chusteczką, którą dostała od Rebusa. Jej głos wciąż się łamał, a gardło było trochę zaciśnięte, ale otrząsnęła się z szoku związanego ze zdjęciem i z tym, że dowiedział się teraz o jej zdradzie.

– Ten facet, który przyszedł do Ronniego, był w jego pokoju zaraz po mnie.

– Masz na myśli Neila?



– Chyba tak miał na imię, tak.

Gdzie kucharek sześć, pomyślał Rebus. Będzie musiał zrewidować swoją definicję „zbiegów okoliczności”. Tyle że poza „zbiegami okoliczności” konkretów miał niewiele. Odniósł wrażenie, że spirala się nakręca i coraz bardziej oddala go od centralnego, kluczowego punktu. Punktu, w którym Ronnie leżał martwy na wilgotnej gołej podłodze, otoczony świecami i wątpliwymi przyjaciółmi.

– Neil był bratem Ronniego.

– Naprawdę...? – Jej głos był zobojętniały. Kurtyna bezpieczeństwa między nią a światem znowu opadła, przedstawienie dobiegało końca.

– Tak, naprawdę. – Rebus nagle poczuł dreszcz. Jeśli nikogo nie obchodzi, co się stało z Ronniem, nikogo oprócz Neila i mnie, to po co w ogóle zawracam sobie głowę?

– Charlie zawsze myślał, że Ronnie i Neil są gejami. Nigdy nie pytałam o to Ronniego. Zakładałam, że i tak nic mi nie powie. – Położyła głowę na oparcie siedzenia, jakby znów się odprężyła. – O Boże. – Ze świstem wypuściła z płuc powietrze. – Czy musimy tu stać?

Powoli uniosła ręce i złapała się za głowę, a kiedy Rebus chciał już odpowiedzieć, że nie, zobaczył, jak jej ręce opadają szybko w dół i zwijają się w małe pięści. Nie było miejsca, by przed nimi uciec. Z całej siły uderzyły go w krocze. Gdzieś za jego oczami eksplodował flesz, świat zapadł się w czarną otchłań i pozostał tylko dźwięk, dźwięk i oślepiający ból. Ryczał, skręcając się w agonii, z głową opartą na kierownicy, wciskającą klakson. To klakson wył. Tracy odpięła pasy, otworzyła drzwi i wybiegła; zostawiła drzwi szeroko otwarte i ruszyła przed siebie na złamanie karku. Rebus patrzył oczami pełnymi łez, jakby był zanurzony w basenie, jakby oczy szczypały go od chloru, a on wyteęzał wzrok, żeby dojrzeć dziewczynę oddalającą się biegiem od brzegu, coraz dalej i dalej...

– Jezu Chryste Wszchemogący – wykrztusił, wciąż pochylony nad kierownicą. Nie zamierzał wykonać żadnego ruchu jeszcze przez dłuższą chwilę.

Myśl jak Tarzan, powiedział mu kiedyś ojciec: jedna z niewielu rad starego człowieka. Mówił o bójkach, o pojedynkach z chłopakami w szkole – po lekcjach, za schowkiem na rowery i takie tam. Myśl jak Tarzan. Jesteś silny, jesteś królem dżungli i ponad wszystko będziesz chronił swoje jaja. A gdy starszy chłopak podniósł zgięte kolano w kierunku krocza młodego Johna...

– Dzięki, tato – syknął Rebus. – Dzięki za przypomnienie. – I wtedy odczuł skurcz w żołądku.

W PORZE LUNCHU JUŻ PRAWIE mógł chodzić... Trzymał stopy blisko ziemi i poruszał się tak, jakby się zmoczył. Ludzie oczywiście się gapili, a on próbował specjalnie dla nich improwizować utykanie. Zawsze był tym, który zadowalał tłumy.

Myśl o schodach prowadzących do biura była zbyt przerażająca, a pedały w samochodzie nie do opanowania, wziął więc taksówkę do baru Sutherland. Po wypiciu trzech whisky poczuł, że ból jest zastępowany sennym odrętwieniem.

– Jakbym napił się cykuty – wymamrotał. Nie martwił się o Tracy; ktoś, kto ma taki cios, potrafi o siebie zadbać. Prawdopodobnie dzieciaki ulicy były twardsze niż połowa cholernej policji. Nie żeby Tracy była dzieckiem. Nadal nic o niej nie wiedział. To miała być działka Holmesa, ale ten ruszył w pogoń za dzikimi psami w Fife. Nie, Tracy nic się nie stanie, pewnie nie było nawet żadnych drani, którzy ją ścigali. Ale w takim razie dlaczego przyszła do niego tej nocy? Mogła mieć sto powodów. W końcu wyłudziła od niego łóżko, dużą część butelki wina, gorącą kąpiel i śniadanie. Nieźle jej szło igranie ze starym zahartowanym gliniarzem. Być może zbyt starym. Za dużo „gliny”, za mało detektywa policyjnego. Być może.

Dokąd teraz? Znał już odpowiedź na to pytanie. Oby tylko nogi pozwoliły mu jechać. I dobry Bóg.

ZAPARKOWAŁ W PEWNEJ ODLEGŁOŚCI OD DOMU, żeby nie spłoszyć nikogo, kto mógłby znajdować się w środku. Potem po prostu podszedł do drzwi i zastukał. Czekając na odpowiedź, przypomniał sobie, jak Tracy otworzyła te drzwi i wbiegła w jego ramiona, z posiniaczoną twarzą i oczami zalanymi łzami. Nie spodziewał się zastać Charliego. Nie sądził, żeby Tracy tu była. Wolałby, żeby jej nie było.

Drzwi się otworzyły. Ponury nastolatek zmrużył oczy i zerknął na Rebusa. Zmierzwiłone, pozbawione życia włosy wpadały mu do oczu.

– O co chodzi?

– Jest Charlie? Mam do niego sprawę.

– Nie. Nie widziałem go cały dzień.

– Mogę na niego zaczekać?

– Śmiało.

Chłopak już zamykał drzwi, ale Rebus przytrzymał je i zajrzał do środka.

– Chciałbym poczekać w domu.

Chłopak wzruszył ramionami i cofnął się, pozostawiając uchylone drzwi. Wcisnął się z powrotem do śpiwora i naciągnął go na głowę – był tu tylko przejazdem i nadrabiał braki snu. Rebus uznał, że chłopak nie miał nic do stracenia, wpuszczając obcego do tej meliny. Zostawił go śpiącego, a sam sprawdził pobieżnie, czy nikt się nie kręci w pokojach na dole, po czym wspiął się po stromych schodach.

Książki wciąż były porozrzucane jak rzędy powalonych kostek domina, a zawartość torby, którą opróżnił McCall, leżała wśród bałaganu na podłodze. Rebus zignorował rozgardiasz i podszedł do biurka. Usiadł i przejrzał leżące na nim kartki. Nacisnął włącznik światła obok drzwi do pokoju Charliego, a potem lampkę na biurku. Ściany były cudownie wolne od plakatów, pocztówek i tym podobnych. Nie przypominało to pokoju studenta. Jego akademicka tożsamość została ukryta, co prawdopodobnie było celowe. Nie chciał wyglądać jak student wśród przyjaciół, którzy porzucili studia; nie chciał też wyglądać jak wyrzutek wśród przyjaciół studentów. Upodabniał się do otoczenia. Kameleon, a zarazem turysta.

Rebus interesował się głównie esejem o magii, ale teraz, gdy już tu się znalazł, dobrze przyjrzał się zawartości biurka. Nic nadzwyczajnego. Nic, co sugerowałoby, że Charlie rozprawdzał zatrute narkotyki po ulicach miasta. Rebus podniósł więc esej, otworzył go i zaczął czytać.

NELL LUBIŁA BIBLIOTEKĘ, kiedy wokół panowała cisza. W trakcie semestru wielu studentów traktowało ją jako miejsce spotkań, jako coś w rodzaju ulubionego klubu młodzieżowego, i wtedy w czytelnicy na pierwszym piętrze panował harmider. Książki leżały gdzie się dało lub ginęły przenoszone do niewłaściwych działów. Strasznie frustrujące. Ale w miesiącach letnich gościli tu tylko najbardziej zdeterminowani studenci, którzy mieli do napisania pracę dyplomową, zaległości do nadrobienia albo ci nieliczni, którzy pasjonowali się jakimiś konkretnymi dziedzinami i rezygnowali ze słońca i wolności, żeby znaleźć się tutaj, wewnątrz budynku, w akademickiej ciszy.

Poznawała ich twarze, a potem imiona. W opustoszałej kawiarni można było nawiązać rozmowę, wymienić się nazwiskami autorów; w porze lunchu usiąść w ogrodach albo przejść za budynkiem

biblioteki do parku The Meadows, gdzie czytano więcej książek i na wielu twarzach malował się wyraz głębokiej kontemplacji.

Lato było też sezonem najbardziej żmudnych prac bibliotecznych. Kontrola stanu magazynowego, ponowne oprawianie nieużywanych woluminów, reklasyfikacja, sprawdzanie sprzętu komputerowego i tak dalej. Atmosfera wynagradzała z nawiązką wszelkie niedogodności, znikwały ślady stresu i pośpiechu. Nie było już skarg, że jest za mało egzemplarzy tego czy innego tytułu, rozpaczliwie potrzebnego dwuosobowemu rocznikowi do napisania zaległej pracy. Ale po wakacjach przychodził świeży narybek, a ona z każdym nowym rocznikiem czuła się o cały rok starsza i bardziej zdystansowana wobec studentów. Już teraz wydawali jej się beznadziejnie młodzi, a otaczający ich blask ambicji przypominał jej o czymś, czego nie mogła już mieć.

Kiedy wybuchła wrzawa, przeglądała właśnie formularze zamówień. Ochroniarz przy wejściu do biblioteki zatrzymał kogoś, kto próbował dostać się do środka bez dokumentu tożsamości. Nell wiedziała, że ochroniarz normalnie by się nie przejął, ale ta dziewczyna była wyraźnie zrozpaczona i pewnie nie była czytelniczką, a tym bardziej studentką. Wyklócała się niemiłosiernie, podczas gdy prawdziwy student spokojnie wyjaśniłby, że zapomniał zabrać kartę biblioteczną. Było też coś jeszcze... Nell zmarszczyła brwi, próbując umiejscowić intruzkę w szufladach pamięci. Wychwyciła jej profil i przypomniała sobie zdjęcie w teczce Briana. Tak, to ta sama dziewczyna. Właściwie nie dziewczyna, ale w pełni dojrzała, choć młoda jeszcze kobieta. Linie wokół oczu zdradzały wiek, bez względu na to, jak smukłe miała ciało i jak modnie była ubrana. Tylko po co to całe zamieszanie? Owszem, bywała w kawiarni, ale nigdy wcześniej – według wiedzy Nell – nie próbowała przekroczyć progu biblioteki. Ciekawość zwyciężyła.

Ochroniarz trzymał dziewczynę za ramię, a ona wrzeszczała na niego, rzucając zniewagi z dzikim spojrzaniem. Nell starała się iść pewnym krokiem w kierunku tej dwójki.

– Czy jest jakiś problem, panie Clarke?

– Poradzę sobie, panienko.

Jego oczy ujawniły, że uśmiech na ustach był udawany. Mężczyzna pocił się; przekroczył już przecież wiek emerytalny i nie był przyzwyczajony do tego rodzaju fizycznej walki, nie wiedział też, co z tym fantem zrobić. Nell zwróciła się do dziewczyny:

– Nie możesz tu tak po prostu wtargnąć, dobrze o tym wiesz. Ale jeśli chcesz przekazać wiadomość jednemu ze studentów w środku, zobaczę, co da się zrobić.

Młoda kobieta nadal się szamotała.

– Chcę wejść! – Argumentów zabrakło, wiedziała tylko, że skoro ktoś nie pozwala jej wejść, to musi się jakoś tam dostać.

– No cóż, nie możesz – powiedziała ze złością Nell.

Nie powinna się wtrącać. Przyzwyczała się do obcowania ze spokojnymi, racjonalnymi młodymi ludźmi. Okej, zdarzało się, że niektórzy tracili na chwilę panowanie nad sobą, sfrustrowani daremnym poszukiwaniem książki, ale wkrótce brali się w garść; znali swoje miejsce. Lecz ta dziewczyna wpatrywała się w nią dziko i absolutnie złowrogo: ani śladu ludzkiej życzliwości. Nell poczuła, jak jeżą się jej włosy na karku. Dzikuska zawyla i rzuciła się do przodu, wyrwijąc się z uścisku strażnika. Jej czoło grzmotnęło w sam środek twarzy Nell. Ta poleciała do tyłu, a że jej stopy nie oderwały się od podłogi, upadła na plecy jak kłoda. Tracy zastygła na chwilę, dochodząc do siebie. Ochroniarz chciał ją złapać, ale znowu wrzasnęła, więc się odsunął. Odepchnęła go, zmierzając do wyjścia z biblioteki, i popędziła przed siebie ze spuszczoną głową, wymachując rękami nieskoordynowanymi z ruchami nóg.

Ochroniarz z przerażeniem odprowadził ją wzrokiem, po czym skupił uwagę na nieprzytomnej Nell Stapleton z krwią na twarzy.

MĘŻCZYZNA, KTÓRY OTWORZYŁ, był niewidomy.

– Słucham pana? – zapytał, przytrzymując drzwi i patrząc w niebyt niewidzącymi oczami, dostrzegalnymi za ciemnozielonymi szklami okularów.

Korytarz za nim był pograżony w głębokim cieniu. No tak, po co mu światło?

– Pan Vanderhyde?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Słucham pana? – powtórzył.

Rebus nie potrafił oderwać wzroku od oczu starszego mężczyzny, których zielone tęczówki przypominały mu butelki clareta. Vanderhyde miał sześćdziesiąt pięć, może siedemdziesiąt lat, włosy srebrzystożółte, gęste, zadbane; był w rozpiętej pod szyją koszuli i brązowej kamizelce, z której kieszeni zwiślał łańcuszek zegarka. Opierał się lekko na lasce ze srebrną rączką. Z jakiegoś powodu Rebus pomyślał, że Vanderhyde potrafiłby sprawnie i skutecznie posługiwać się tą laską jako bronią, gdyby z wizytą przyszedł do niego ktoś nieprzyjemny.

– Panie Vanderhyde, jestem z policji. Inspektor Rebus. – Sięgnął po portfel.

– Proszę nie zaprzącać sobie głowy legitymacją, chyba że jest tłoczona alfabetem Braille'a.

Dłoń Rebusa zamarła w wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Oczywiście – wymamrotał, czując się nieco niedorzecznie.

Zabawne, że osoby niepełnosprawne mają ten szczególny dar sprawiania, że człowiek czuje się mniej sprawny od nich.

– Lepiej niech pan wejdzie, inspektorze.

– Dziękuję. – Zanim Rebus wszedł w głąb korytarza, poczuł solidne uderzenie. – Co pan...?

Vanderhyde pokręcił głową.

– Niefortunny strzał – zażartował, idąc przodem. – Strzał w ciemno, można powiedzieć. – Jego śmiech był przeraźliwy.

Rebus przyglądał się temu, co zdołał wypatrzeć w zacienionym holu, i doszedł do wniosku, że robota przy dekorowaniu wnętrza była spartaczona za bardzo nawet jak na ślepcę. Z zakurzonego blatu szafki spozierała wypchana sowa, a za stojak na parasole służyła wydrążona noga słonia. Na bogato rzeźbionym stoliku leżała sterta nieprzeczytanej poczty oraz bezprzewodowy telefon, i to jemu Rebus poświęcił najwięcej uwagi.

– Technologia poczyniła ogromne postępy, nie sądzi pan? – powiedział Vanderhyde. – Nieocenione dla tych z nas, którzy utracili jeden ze zmysłów.

– Tak – przyznał Rebus, kiedy Vanderhyde otworzył drzwi do pokoju, prawie tak ciemnego jak korytarz.

– Tutaj, inspektorze.

– Dziękuję.

W pomieszczeniu unosił się zapach stęchlizny i lekarstw dla starych ludzi. Było wygodnie umeblowane, z głęboką kanapą i dwoma solidnymi fotelami. Książki stały za szkłem regału ciągnącego się przy jednej ze ścian. Kilka niezbyt inspirujących akwareli sprawiało, że pozostałe ściany nie wydawały się gołe. Wszędzie stały bibeloty; spojrzenie Rebusa przykuły zwłaszcza te na kominku. Na

jego drewnianym gzymsie nie było ani centymetra wolnego miejsca. Gadżety były egzotyczne. Rebus rozpoznał wpływy afrykańskie, karaibskie, azjatyckie i bliskowschodnie, nie potrafił jednak wskazać żadnego kraju, z którego pochodziły poszczególnie elementy.

Vanderhyde opadł na krzesło. Rebusowi rzuciło się w oczy, że w pokoju nie ma żadnych stołów, żadnych mebli, na które mógłby wpaść niewidomy.

- Świecidełka, inspektorze. Zgromadziłem je podczas podróży za młodu.
- Dowód na to, że dużo pan podróżował.
- Dowód na umysł sroki – sprostował Vanderhyde. – Czy napije się pan herbaty?
- Nie, dziękuję panu.
- Więc może coś mocniejszego?
- Dziękuję, ale nie. – Rebus się uśmiechnął. – Wczoraj wieczorem za dużo wypilem.
- W pana głosie kryje się uśmiech.
- Nie wydaje się pan ciekaw, dlaczego tu jestem, panie Vanderhyde.
- Może dlatego, że to wiem, inspektorze. A może dlatego, że moja cierpliwość jest nieograniczona.

Czas nie znaczy dla mnie tyle, ile dla innych ludzi, nie spieszy mi się do pańskich wyjaśnień. Nie jestem zegarmistrzem, widzi pan. – Uśmiechnął się znowu, spojrzenie utkwiło gdzieś w górze, na prawo od Rebusa.

A ten milczał, czekając na kolejne wynurzenia gospodarza.

– Nie wychodzę już z domu i niewielu miewam gości, nigdy też, o ile mi wiadomo, nie złamałem żadnych praw tego kraju, a to raczej zawęży możliwe powody pańskiej wizyty. Na pewno nie napije się pan herbaty?

– Proszę się mną nie przejmować i zaparzyć dla siebie. – Rebus zauważył prawie pustą filiżankę na podłodze obok fotela staruszka. Spojrzał w dół koło swojego fotela; na dywanie w stonowany wzór stała inna filiżanka. Sięgnął po nią bezgłośnie, na jej spodzie wyczuł trochę ciepła, dywan pod nią też był ciepły.

- Nie muszę – odparł Vanderhyde. – Niedawno piłem, podobnie jak mój gość.
- Gość? – Rebus wyglądał na zaskoczonego.

Stary człowiek uśmiechał się, lekko i pobłaźliwie kręcąc głową. Rebus, przyłapany na sprawdzaniu filiżanki, postanowił mimo wszystko wypytać o gościa.

- Powiedział pan, że goście rzadko tu przychodzą?
- Nie przypominam sobie, żebym powiedział dokładnie to. Ale tak się składa, że to prawda. Dzisiejszy dzień jest wyjątkiem, który potwierdza tę regułę: dwóch gości.
- Czy mogę zapytać, kim był ten drugi gość?
- Czy mogę zapytać, inspektorze, czemu zawdzięczam pańską wizytę?

Rebus zaśmiał się i pokręcił głową. W policzkach starszego pana wzbierała krew; udało mu się go zdenerwować.

- A więc? – W głosie Vanderhyde’a słychać było zniecierpliwienie.
- No cóż... – Rebus celowo wstał z fotela i zaczął krążyć po pokoju. – Natknąłem się na pana nazwisko w pracy licencjackiej o okultyzmie. Czy to pana nie dziwi?

Vanderhyde zastanowił się, zanim odpowiedział:

- Trochę mnie to cieszy. W końcu mam ego, które wymaga pożywienia.
- Ale czy to pana nie zaskakuje?

Starszy pan wzruszył ramionami.

– W pracy wspomniano o panu w związku z działalnością grupy z Edynburga, swojego rodzaju kowenu, działającego w latach sześćdziesiątych.

– Kowen to nieprecyzyjne określenie, ale mniejsza o to.

– Brał pan w tym udział?

– Nie zaprzeczam.

– Cóż, skoro pan nie zaprzecza, to domyślam się, że był pan, mówiąc wprost, światłem przewodnim kowenu. „Światło” może być nieprecyzyjnym określeniem.

Vanderhyde zaśmiał się, wydając z siebie skrzeczący, niepokojący dźwięk.

– Trafił pan w dziesiątkę, inspektorze! Naprawdę strzał w dziesiątkę. Proszę kontynuować.

– Znalezienie pana adresu nie było trudne. Nie ma zbyt wielu Vanderhyde’ów w książce telefonicznej.

– Moi krewni mieszkają w Londynie.

– Powodem mojej wizyty, panie Vanderhyde, jest zabójstwo, a przynajmniej przypadek manipulowania dowodami na miejscu zbrodni.

– Intrygujące. – Starszy pan złożył dłoń i opuszki palców przyłożył do ust.

Trudno było uwierzyć, że ten człowiek nie widzi. Mimo że Rebus krążył po pokoju, Vanderhyde wydawał się niewzruszony.

– Ciało zostało znalezione leżące, z szeroko rozpostartymi rękami i nogami razem.

– Nagie?

– Nie, nie całkiem. Bez koszuli. Po obu stronach ciała paliły się świece, a na jednej ze ścian namalowano pentagram.

– Coś jeszcze?

– Nie. W słoiku przy zwłokach było kilka strzykawek.

– Zgon nastąpił w wyniku przedawkowania narkotyków?

– Tak.

Vanderhyde wstał z krzesła i podszedł do regału z książkami. Nie otworzył gablotki, ale stał, jakby wpatrywał się w tytuły.

– Jeśli mamy do czynienia z ofiarą, inspektorze... bo zakładam, że to pańska teoria?

– Jedna z wielu.

– Jeśli więc mamy do czynienia z ofiarą, to sposób zadania śmierci jest dość niezwykły. Nie, więcej, jest niesłychany. Po pierwsze, bardzo niewielu satanistów rozważałoby złożenie ofiary z człowieka. Wielu psychopatów dokonywało morderstw, a następnie usprawiedliwiała je rytuałem, ale to coś innego. Ofiara z człowieka... ofiara jakiegokolwiek rodzaju... wymaga krwi. W niektórych obrzędach symbolicznej, jak krew i ciało Chrystusa. W innych rzeczywistej. Ofiara bez krwi? Oryginalne. Przedawkowanie? Nie, inspektorze. Bez wątplenia bardziej wiarygodne wyjaśnienie jest takie, jak pan sugeruje: że ktoś zmacił wodę już po śmierci tego człowieka.

Vanderhyde wszedł w głąb pokoju i wyczuł pozycję Rebusa. Podniósł wysoko rękę, by zasygnalizować, że to wszystko, co ma do powiedzenia.

Rebus usiadł. Dotknął filiżanki; nie była już ciepła. Dowody ostygły, rozproszyły się, zniknęły...

Podniósł naczynie raz jeszcze i przypatrzył mu się. Był to przedmiot całkiem niewinny, wzorzysty, w kwiaty. Od krawędzi w dół ciągnęło się pojedyncze pęknięcie. Rebus poczuł nagły przypływ wiary

we własne możliwości. Znowu wstał i podszedł do drzwi.

– Wychodzi pan?

Nie odpowiedział na pytanie Vanderhyde'a, tylko skierował kroki do ciemnych dębowych schodów prowadzących na dół. Te wiodące na górę w połowie wysokości skręcały pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Widział tylko ten fragment, którego zwieńczeniem był mały podest. Sekundę wcześniej ktoś tam był, ktoś kucał i nasłuchiwał. Nie dojrzał w porę tego człowieka, ale go wyczuł. Przelknął ślinę, raczej z nerwów niż z konieczności.

– Zejdź tutaj, Charlie – powiedział i zatrzymał się. Cisza. Wciąż jednak wyczuwał młodego człowieka, tuż za zakrętem na schodach. – Chyba że chcesz, żebym to ja wszedł na górę. Tylko nas dwóch, tam na górze, w ciemności. Ale tego nie chcesz, zgadza się?

Więcej ciszy, przerwanej przez szuranie stóp Vanderhyde'a po dywanie, stukot laski o podłogę. Kiedy Rebus się rozejrzał, ujrzał gospodarza ze szczęką zacziernioną wyzywająco. Stary wciąż miał swoją dumę. Rebus zastanawiał się, czy męczyzna czuje wstyd. I wtedy pojedyncze skrzypnięcie deski podłogowej zasygnalizowało obecność Charliego na szczycie schodów.

Rebus uśmiechnął się, zwycięsko, z ulgą. Zawierzył instynktowi i udowodnił sobie, że jest niezawodny.

– Witaj, Charlie – rzucił.

– Nie chciałem jej uderzyć. Ona pierwsza mnie uderzyła.

Głos był rozpoznawalny, ale Charlie wydawał się przykuty do schodów. Jego ciało było lekko pochylone, twarz schowana w ramionach, ręce zwisały z boków. Głos wykształconego młodego człowieka rozplynął się w powietrzu, jakby nie czuł się częścią tej zacienionej kukły.

– Może zejdziesz i przyłączysz się do nas?

– Aresztuje mnie pan?

– A pod jakim zarzutem? – W głosie Rebusa słychać było rozbawienie.

– To ty powinieneś zadać to pytanie, Charles! – zawołał Vanderhyde i zabrzmiało to jak nakaz.

Rebus nagle znudził się tymi gierkami.

– Schodź na dół – rozkazał. – Wypijemy po jeszcze jednej filiżance earl greya.

REBUS ROZSUNĄŁ W SALONIE karmazynowe aksamitne zasłony. To, co pozostało z dziennego światła, rozświetliło wnętrze, które wydawało się teraz mniej ciasne, mniej przytłaczające, a na pewno o wiele mniej gotyckie. Ozdoby na kominku okazały się tylko ozdobami, a książki w większości dziełami popularnych pisarzy: Dickensa, Hardy'ego, Trollope'a. Zastanawiał się, czy Trollope jest jeszcze popularny.

Charlie zaparzył herbatę w ciasnej kuchni, podczas gdy Vanderhyde i Rebus siedzieli w milczeniu w salonie, wsłuchując się w odległe dźwięki brzęczących filiżanek i dzwoniących łyżeczek.

– Ma pan doskonały słuch – stwierdził w końcu Vanderhyde.

Rebus wzruszył ramionami. Wciąż rozglądał się po salonie. Nie, nie mógłby tu mieszkać, ale przynajmniej mógł sobie wyobrazić odwiedziny w takim miejscu u wiekowego krewnego.

– Ach, herbata – rzucił Vanderhyde, gdy Charlie wniósł tacę chwiejącą się w jego rękach.

Postawił ją na podłodze między fotelami a kanapą i spojrział na Rebusa. Błagalnym wzrokiem. Rebus zignorował go i przyjął filiżankę z kurtuazyjnym skinieniem głowy. Już miał zapytać, skąd Charlie tak dobrze wie, gdzie się ukryć, gdy chłopak sam postanowił się odezwać. Sięgnął po filiżankę

Vanderhyde'a. Była wypełniona tylko do połowy – mądra przezorność. Potem chwycił dłoń starca i naprowadził na duży uchwyt.

– Proszę bardzo, wujku Matthew – powiedział.

– Dziękuję, Charles – odrzekł Vanderhyde i gdyby nie był ślepcem, jego lekki uśmiech trafiłby prosto w Rebusa, a nie kilkanaście centymetrów nad ramieniem inspektora.

– Przyjemna – skomentował Rebus, popijając aromatyczną herbatę.

Charlie usiadł na kanapie i prawie zrelaksowany założył nogę na nogę. Tak, dobrze znał ten pokój, wślizgiwał się do niego tak, jak się wchodzi w starą, wygodną parę spodni. Już miał się odezwać, ale Vanderhyde postanowił zabrać głos jako pierwszy.

– Charles opowiedział mi o wszystkim, inspektorze. To znaczy przekazał mi tyle, ile uważał za konieczne.

Chłopak skrzywił się na słowa wuja, a ten uśmiechnął się lekko, rozszyfrowując grymas na jego twarzy.

– Nadmieniał już Charlesowi, że powinien jeszcze raz z panem porozmawiać. Najwyraźniej nie chciał tego zrobić, no ale teraz wybór został mu odebrany.

– Skąd pan wiedział? – zapytał Charlie, który zdecydowanie lepiej komponował się z tym miejscem niż z obskurnym squatem w Pilmuir.

– Skąd wiedziałem?

– Gdzie mnie znaleźć. Jak się pan dowiedział o moim wujku?

– A, to. – Rebus skubał wyimaginowane nitki spodni. – Z twojej pracy. Leżała na twoim biurku. Sprytnie posunięcie.

– Co, proszę?

– Pisanie pracy o okultyzmie, jeśli się ma czarnoksiężnika w rodzinie.

Vanderhyde zaszczebiał przenikliwie:

– Nie jestem czarnoksiężnikiem, inspektorze. Nigdy nim nie byłem. Myślę, że w całym swoim życiu spotkałem tylko jednego czarnoksiężnika, jednego prawdziwego czarnoksiężnika. Pochodzi z Edynburga, nawiasem mówiąc.

– Wujku – przerwał mu Charlie. – Nie sądzę, żeby inspektor chciał słuchać...

– Wręcz przeciwnie – wszedł mu w słowo Rebus. – To powód, dla którego tu jestem.

Charlie był rozczarowany.

– Nie po to, żeby mnie aresztować?

– Nie, choć zasługujesz na porządnego klapsa za tego siniaka, którego nabiłeś Tracy.

– Zasużyła! – Głos Charliego zdradzał rozdrażnienie. Dolna warga chłopaka wygięła się jak u dziecka.

– Uderzyłeś kobietę?! – zagrział Vanderhyde.

Charlie spojrział na niego, a potem odwrócił wzrok, jakby nie mógł powstrzymać spojrzenia, które nie... nie mogło... istnieć.

– Tak – wysyczał Charlie. – Ale spójrz. – Odsunął z szyi golf, pod którym kryły się dwie ogromne pręgi, dzieło wbijanych paznokci.

– Ładne zadrapania – skomentował Rebus, by uświadomić niewidomego. – Ty masz zadrapania, ona podbite oko. Idźcie łeb w łeb w walce oko za oko.

Podparty na łasce Vanderhyde znów się zaśmiał, odchylając głowę lekko do tyłu.



– Bardzo sprytne, inspektorze – odezwał się. – Tak, bardzo sprytne. A teraz proszę powiedzieć... – uniósł filiżankę do ust i dmuchnął – co możemy dla pana zrobić?

– Widziałem pana nazwisko w pracy Charliego. Był tam przypis, który wskazywał, że pan jest źródłem informacji. Uznałem, że mieszka pan w Edynburgu i nadal żyje... a że nie ma wielu...

– ...Vanderhyde'ów w książce telefonicznej? – dokończył starszy pan. – W rzeczy samej, słusznie pan zauważył.

– Usłyszałem już odpowiedzi na większość moich pytań. Mam na myśli związki z czarną magią. Chciałbym jednak wyjaśnić kilka kwestii z pana bratankiem.

– Czy chciałby pan, żebym... – Vanderhyde już podnosił się na nogi.

Rebus machnął, żeby został, po czym zdał sobie sprawę, że gest ten był daremny. Starszy pan zatrzymał się jednak, jakby widział jego ruch.

– Nie, proszę pana – powiedział Rebus, gdy gospodarz opadł już na fotel. – To zajmie tylko kilka minut.

Zwrócił się do Charliego, który prawie zapadał się w głębokie, wyściełane poduszki kanapy.

– Charlie, mam cię za złodzieja i współwinnego zabójstwa. Jakież uwagi?

Patrzył z przyjemnością, jak twarz chłopaka traci barwy i staje się podobna do niepieczonego jeszcze ciasta. Vanderhyde drgnął, ale również z przyjemnością, a nie z dyskomfortem. Charlie wodził wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego, szukając przyjaznych oczu. Oczywiście, które widział, były ślepe na jego prośby.

– Ja... ja...

– Tak? – zapytał Rebus.

– Doleję sobie herbaty – powiedział Charlie, jakby w jego słowniku pozostały tylko te trzy skromne słowa. Rebus siedział cierpliwie. A niech sobie gówniarz dolewa, pomyślał. I tak dostaniesz swoje odpowiedzi. Wypocisz z niego tanińę i dostaniesz odpowiedzi.

– CZY FIFE JEST ZAWSZE TAKIE PONURE?

– Tylko te bardziej malownicze fragmenty, reszta nie jest zła.

Aktywista SSPCA prowadził Briana Holmesa o zmroku przez grząskie pole. Obszar wokół był prawie całkowicie płaski, jedynie martwe drzewo przełamywało monotonię krajobrazu. Wiał silny wiatr, i to zimny. Człowiek z SSPCA nazwał go „wschodnim” wiatrem i Holmes wydedukował, że miał na myśli wschodni oraz że znajomość topografii tego człowieka jest nieco zaburzona, bo wiatr wiał niewątpliwie z zachodu.

Krajobraz okazał się zwodniczy; pozornie płaski, w rzeczywistości był pochyły. Wchodzili na zbocze, nie strome, ale wyczuwalne. Holmesowi przypomniało się podobne wzgórze gdzieś w Szkocji. Ludzie nazywali je zboczem elektrycznym, bo myśleli, że jego fenomen ma związek z polem elektromagnetycznym, ale było to jedynie złudzenie optyczne: szedłeś w dół, a myślałeś, że idziesz pod górę. A może na odwrót? Nie sądził, żeby jego towarzysz był właściwą osobą do udzielenia odpowiedzi na to pytanie.

Zaraz za wzniesieniem Holmes ujrzał czarny, ziarnisty krajobraz nieczynnej kopalni, osłonięty od pola szpalerem drzew. Już w latach sześćdziesiątych węgiel z okolicznych kopalni został całkowicie wydobyty. Ostatnio pojawiły się skądś pieniądze i niwelowano odpady kopalniane, a ich masa

wykorzystywana była do zasypywania rozpadlin pozostawionych przez górnictwo odkrywkowe. Budynki kopalni rozbierano, a okolicę obsiewano, tak jakby górnictwo w Fife nigdy nie istniało.

Tyle Brian Holmes wiedział. Jego wujowie byli górnikami. Być może nie tutaj, niemniej jednak byli wspaniałymi, głębokimi kopalniami wiedzy i anegdot. Jako dziecko chłonął każdy szczegół ich opowieści.

– Ponuro – powiedział do siebie, gdy szedł za aktywistą SSPCA w dół po niewielkim zboczu, w kierunku drzew, przy których stało kilku mężczyzn.

Zaszurali nogami i odwrócili się na odgłos kroków. Holmes przedstawił się najstarszemu z mężczyzn w cywilu.

– Detektyw posterunkowy Brian Holmes.

Mężczyzna uśmiechnął się, pokręcił głową, po czym wskazał na dużo młodszego towarzysza. Wszyscy obecni, mundurowi i cywile, nawet Judasz z SSPCA, uśmiechali się, ciesząc się z pomyłki Holmesa. A ten poczuł przyływ krwi do twarzy i zastygł w miejscu. Młody człowiek zauważył jego konsternację i wyciągnął rękę.

– Jestem detektyw sierżant Hendry. Czasami tu dowodzę.

Pojawiło się więcej uśmiechów. Holmes tym razem dołączył do reszty.

– Przepraszam, panie sierżancie.

– Właściwie mi to schlebia. Miło pomyśleć, że wyglądam tak młodo, a Harry jest taki stary. – Hendry ruchem głowy wskazał mężczyznę, którego Holmes uznał za starszego stopniem. – Dobrze, Brian. Powiem ci tylko to, co mówiłem chłopakom. Mamy cynk, że dziś wieczorem odbędzie się tutaj walka psów. To ustronne miejsce, prawie kilometr od głównej drogi, półtora kilometra od najbliższego domu. Idealnie przemyślane. Główna droga jest tam, stamtąd przyjadą. Zjawią się pewnie trzy lub cztery furgonetki z psami, a potem kto wie, ile samochodów z graczami. Jeśli zapełnią teren, jak kibice stadion Ibrox, wezwiemy posiłki. Nie przejmujemy się za bardzo łapaniem graczy, skupiamy się na właścicielach psów. Mówi się, że Davy Brightman jest tu ważniakiem. Ma złomowiska w Kirkcaldy i Methil, wiemy, że trzyma kilka pitbuli, i sądzimy, że wykorzystuje je do walk.

Z radionadajnika dobiegł szum, a potem znak wywoławczy. Detektyw sierżant Hendry odpowiedział.

– Czy jest z tobą detektyw posterunkowy Holmes? – usłyszał.

Spojrzał na Holmesa i podał mu walkie-talkie. Holmes mógł jedynie przeprosić wzrokiem.

– Mówi detektyw posterunkowy Holmes.

– Mamy dla pana wiadomość.

– Śmiało – rzucił Holmes.

– Chodzi o Nell Stapleton.

SIEDZĄC W SZPITALNEJ POCZEKALNI i jedząc czekoladę z automatu, Rebus przeanalizował wydarzenia dnia. Przypomniał sobie incydent z Tracy w samochodzie i jego moszna zaczęła unosić się do góry w akcie samoobrony. Wciąż bolała, jakby miał przepuklinę.

Ale popołudnie było rzeczywiście bardzo interesujące. Vanderhyde okazał się interesujący. A Charlie, cóż, Charlie śpiewał jak ptak.

– Co chce pan wiedzieć? – zapytał, wnosząc do salonu herbatę.

– Interesuje mnie czas, Charlie. Twój wujek już mi powiedział, że jego czas nie interesuje. Czas nim nie rządzi, ale nami, policjantami, owszem. Zwłaszcza w takiej sprawie jak ta. Widzisz, chronologia wydarzeń w mojej głowie nie do końca się zgadza. To właśnie chcę ustalić, jeśli to możliwe.

– Jak mogę pomóc?

– Byłeś tamtego wieczoru u Ronniego?

– Tak, przez chwilę.

– A potem poszedłeś szukać jakiejś imprezki czy czegoś takiego?

– Zgadza się.

– I zostawiłeś Neila w domu z Ronniem?

– Nie, Neil wyszedł już wcześniej.

– Nie wiedziałeś oczywiście, że Neil był bratem Ronniego?

Wyraz zaskoczenia na twarzy Charliego wydawał się autentyczny, ale Rebus poznał tego chłopaka jako znakomitego aktora i nie brał niczego za pewnik, już nie.

– Nie, nie wiedziałem o tym. Cholera, jego brat... Dlaczego nie chciał, żebyśmy się z nim spotykali?

– Neil i ja wykonujemy ten sam zawód – wyjaśnił Rebus.

Charlie tylko uśmiechnął się i pokręcił głową. Vanderhyde odchylił się zamyślony na oparcie fotela, jak skrupulatny sędzia podczas procesu.

– Neil twierdzi – ciągnął Rebus – że wyszedł dość wcześnie. Ronnie był mało komunikatywny.

– Domyślam się dlaczego.

– Dlaczego?

– To proste. Właśnie przyćpał, prawda? – Charlie nagle uzmysłowił sobie, że słucha go jego wiekowy wujek, i zawiesił głos, żeby spojrzeć na starszego pana.

Vanderhyde, przebiegły jak zawsze, wyczuł to i uniósł arystokratycznym ruchem rękę, jakby chciał powiedzieć: zbyt długo żyję na tej planecie, nic mnie już nie dziwi.

– Myślę, że masz rację – zwrócił się Rebus do Charliego. – Sto procent racji. Zatem w pustym domu Ronnie zażywa narkotyki. Zabójczy towar, złoty strzał. Kiedy Tracy przychodzi, znajduje go w jego pokoju...

– Tak panu powiedziała – wtrącił Charlie.

Rebus skinął głową, uznając jego sceptycyzm.

– Przyjmijmy na razie, że tak się właśnie stało. Ronnie nie żyje albo tak jej się wydaje. Ona wpada w panikę i ucieka. Dobrze. Jak na razie dobrze. Teraz zaczyna się robić mgliście i właśnie tutaj potrzebuję twojej pomocy, Charlie. Potem ktoś przenosi ciało Ronniego na dół. Nie wiem dlaczego. Może dla durnej zabawy albo, jak zwiędłe ujął to pan Vanderhyde, żeby zmącić wodę. Tak czy inaczej, mniej więcej na tym etapie chronologii pojawia się druga saszetka białego proszku. Tracy widziała tylko jedną. – Rebus zauważył, że Charlie znowu chce mu przerwać. – Tak mówi. Ronnie miał więc jedną saszetkę i wstrzyknął sobie jej zawartość. Kiedy umarł, jego ciało zeszło sobie na dół i w magiczny sposób pojawiła się kolejna saszetka. Ta nowa zawierała dobry towar, a nie truciznę, którą zażył Ronnie. A żeby dodać jeszcze trochę do tej mętnej mikstury, aparat Ronniego zniknął, potem pojawił się w twoim mieszkaniu, Charlie, w twoim pokoju i w twojej czarnej reklamówce.

Charlie przestał patrzeć na Rebusa. Skupił się na podłodze, na filiżance, na dzbanku. Jego oczy nadal były nieobecne, gdy wreszcie się odezwał:

– Tak, zabrałem go.

– Zabrałeś aparat?

– Właśnie powiedziałem, że to zrobiłem, prawda?

– Dobrze. – Głos Rebusa był neutralny. Tłący się w Charliem wstyd mógł w każdej chwili się wzniecić i zapłonąć gniewem. – Kiedy go wziąłeś?

– Nie zatrzymałem się, żeby spojrzeć na zegarek.

– Charles! – Głos Vanderhyde’a był donośny, imię wyszło z jego ust jak ukąszenie.

Charlie się zreflektował, wyprostował w fotelu, a jego tupet ulotnił się, zastąpiony dziecięcym strachem przed tą imponującą istotą, jego wujem czarnoksiężnikiem.

Rebus odchrząknął. Czuł na języku posmak earl greya.

– Czy ktoś był w budynku, kiedy tam wróciłeś?

– Nie, chyba że Ronnie...

– Był na górze czy na dole?

– Był na szczycie schodów, jeśli musi pan wiedzieć. Po prostu tam leżał, jakby próbował zejść. Myślałem, że odleciał, ale nie wyglądał dobrze. To znaczy... kiedy ktoś śpi, jego ciało się trochę porusza. Ale Ronnie był... sztywny. Skórę miał zimną i wilgotną.

– I leżał na szczycie schodów?

– Tak.

– Co wtedy zrobiłeś?

– Hm... wiedziałam, że nie żyje. Miałam wrażenie, że śnię. Wiem, że to brzmi głupio, ale tak było. Teraz już rozumiem, że po prostu próbowałam to wyprzeć. Poszedłam do pokoju Ronniego...

– Czy był tam słoik ze strzykawkami?

– Nie pamiętam.

– Nieważne, mów dalej.

– Wiedziałem, że kiedy wróci Tracy...

– Tak?

– Boże, wyjdę na potwora.

– Co zrobiłeś?

– No cóż, wiedziałem, że kiedy wróci, zobaczy, że Ronnie nie żyje, i obrabuje go, z czego się da. Wiedziałem, że to zrobi, po prostu to czułem. Więc wziąłem to, co moim zdaniem Ronnie chciałby dać mnie.

– Z powodów sentymentalnych? – spytał Rebus z przekąsem.

– Nie do końca – przyznał Charlie.

Przez głowę Rebusa przebiegła chłodna myśl: to idzie zbyt gładko.

– To była jedyna rzecz, którą miał Ronnie, a która była warta jakiegoś pieniądza.

Rebus skinął głową. Tak, to było bardziej prawdopodobne. Nie żeby Charliemu brakowało paru funtów, zawsze mógł polegać na wujku Matthew, ale nielegalny aspekt tego czynu był pociągający. Poza tym Ronnie chciałby, żeby go miał. Albo tak mu się zdawało.

– Więc zabrałeś aparat? – zapytał.

Charlie pokiwał głową.

– A potem wyszedłeś?

– Wróciłem prosto do squatu. Ktoś powiedział, że Tracy mnie szukała. Podobno była roztrzęsiona, więc uznałem, że już wiedziała o Ronniem.

– I nie uciekła z aparatem, tylko chciała cię znaleźć.

– Tak.

Charlie wydawał się prawie skruszony. Prawie. Rebus zastanawiał się, co Vanderhyde sądzi o tym wszystkim.

– A co z nazwiskiem Hyde, czy coś ci mówi?

– Postać z książki Roberta Louisa Stevensona.

– A poza tym?

Chłopak wzruszył ramionami.

– A ten człowiek o imieniu Edward?

– Postać z książki Roberta Louisa Stevensona.

– Nie rozumiem.

– Przepraszam, żartowałem. Edward to imię Hyde’a z *Przypadków Jekylla i Hyde’a*. Nie, nie znam nikogo o imieniu Edward.

– W porządku. Powiedzieć ci coś, Charlie?

– Tak?

Rebus spojrział na Vanderhyde’a, który siedział beznamyślnie.

– Właściwie to myślę, że twój wujek już wie, co zaraz powiem.

Na twarzy starszego pana pojawił się uśmiech.

– W rzeczy samej. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, inspektorze, ale sądzę, że miał pan zamiar powiedzieć, że skoro ciało tego młodego człowieka przeniosło się z sypialni na schody, to należy przypuszczać, że osoba, która je przeniosła, była w budynku, kiedy pojawił się tam Charles.

Charliemu dosłownie opadła szczęka. Rebus nigdy wcześniej nie był świadkiem takiej reakcji na żywo.

– Zgadza się – rzucił. – Powiedziałbym, że miałeś szczęście, Charlie. Co więcej, sądzę, że ktoś przeniósł ciało na dół i usłyszał twoje kroki, więc ukrył się w jednym z innych pokoi, może nawet w tej cuchnącej łazience, i siedział tam, dopóki nie wyszedłeś. Był w domu przez cały czas, kiedy ty tam byłeś.

Charlie przełknął ślinę. Potem zamknął usta. A na koniec opuścił głowę i zaczął szlochać. Niezupelnie bezgłośnie, tak że jego wuj wychwycił to i uśmiechnął się z satysfakcją i pokiwał głową, zwracając się twarzą do Rebusa.

**REBUS DOKOŃCZYŁ CZEKOLADĘ.** Smakowała antyseptycznie: miała mocny aromat korytarza, oddziałów i poczekalni, gdzie zatroskane twarze zakopywały się w starych kolorowych pismach, siląc się na zainteresowanie przez sekundę, może dwie. Drzwi się otworzyły i wkroczył Holmes. Wyglądał na niespokojnego i wyczerpanego. Czterdziestominutowa podróż samochodem, podczas której przeżył swoje najgorsze lęki, odcisnęła piętno na jego twarzy. Rebus wiedział, że potrzebna jest szybka kuracja.

– Nic jej nie jest. Możesz ją zobaczyć, kiedy tylko chcesz. Zatrzymują ją na noc bez żadnego wyraźnego powodu, ma złamany nos.

– Złamany nos?

– To wszystko. Żadnego wstrząsu mózgu ani zaburzeń widzenia. Stary dobry złamany nos, przekleństwo wojownika walczącego gołymi rękami.

Rebus myślał przez chwilę, że Holmes ma zamiar się obrazić. Ale młody mężczyzna poczuł ulgę i uśmiechnął się; jego ramiona się rozluźniły, a głowa opadła wraz z napięciem.

– A więc chcesz ją zobaczyć? – spytał Rebus.

– Tak.

– Chodź, zaprowadzę cię. – Położył rękę na ramieniu Holmesa i wyprowadził go przez kolejne drzwi.

– Ale skąd pan wiedział? – zapytał Holmes, gdy szli w górę korytarza.

– Co wiedziałem?

– Że to Nell? Jak się pan dowiedział o mnie i Nell?

– Jesteś detektywem, Brian, pogłóWKuj trochę.

Rebus spostrzegł, że Holmes wyęcza umysł, by rozwiązać zagadkę. Miał nadzieję, że dzięki temu wróci do formy. Wreszcie Holmes się odezwał:

– Nell nie ma rodziny, więc powiedziała lekarzom, żeby się ze mną skontaktowali.

– Napisała. Przez ten złamany nos trudno zrozumieć, co mówi.

Holmes pokiwał głową, nieprzejęty jego uwagą.

– Ale nie udało się mnie zlokalizować, więc zapytano pana, czy pan wie, gdzie jestem?

– Blisko, dobra robota. Jak było w Fife? – Wracam tam tylko raz do roku, dwudziestego ósmego kwietnia, pomyślał.

– W Fife? W porządku. Musiałem wyjechać przed obławę, szkoda. Ale nie wydaje mi się, żebym zaimponował ekipie, do której miałem należeć.

– Kto dowodził?

– Młody detektyw sierżant, nazywa się Hendry.

Rebus skinął głową.

– Znam go. Dziwię się, że ty go nie znasz. A przynajmniej jego reputacji.

Holmes wzruszył ramionami.

– Mam tylko nadzieję, że złapią tych drani.

Rebus zatrzymał się przed drzwiami oddziału.

– Tutaj? – zapytał Holmes.

Inspektor skinął głową.

– Chcesz, żebym z tobą wszedł?

Holmes wpatrywał się przez chwilę w przełożonego z czymś w rodzaju wdzięczności, po czym pokręcił głową.

– Nie, w porządku. Poza tym nie zostanę, jeżeli Nell śpi. Ale mam pytanie.

– Tak?

– Kto to zrobił?

KTO TO ZROBIŁ. To dopiero była rzecz niepojęta. Kiedy Rebus wracał korytarzem, wciąż przed oczami widział opuchniętą twarz Nell, malujące się na niej cierpienie, gdy próbowała mówić, ale nie była w stanie. Zasygnalizowała prośbę o kartkę papieru, więc wyjął z kieszeni notes i podał jej długopis,

a potem pisała wściekle przez całą minutę. Zatrzymał się teraz i wyjął notatnik, po czym przeczytał informację czwarty lub piąty raz tego wieczoru.

*Pracowałam w bibliotece. Jakaś kobieta próbowała przedrzeć się do budynku, omijając strażnika. Proszę z nim porozmawiać, jeśli pan sobie życzy. Kiedy podeszłam, kobieta uderzyła mnie w twarz. Staralam się jej pomóc, uspokoić ją, ale musiała pomyśleć, że się wtrącam. Oczywiście tak nie było, chciałam pomóc. To była dziewczyna ze zdjęcia, z aktu, który Brian miał w teczce wczoraj wieczorem w pubie. Był pan tam, prawda? W tym samym pubie co my. Nietrudno było zauważyć, lokal świecił pustkami. Gdzie jest Brian? Uganiam się za kolejnymi pikantnymi zdjęciami dla pana, inspektorze?*

Rebus uśmiechnął się teraz, tak jak uśmiechnął się, kiedy czytał to po raz pierwszy. Miała jaja, spryciara. Polubił ją, z usztywnionym nosem i poczerwiałymi oczami. Bardzo przypominała mu Gill.

Tak więc Tracy zostawiała za sobą srebrzysty śluz chaosu, po którym można było ją wyśledzić. Mała suka. Odbiło jej czy był jakiś powód jej wyprawy do biblioteki uniwersyteckiej? Rebus oparł się o ścianę korytarza. Boże, co za dzień. Miał być gdzieś pomiędzy jedną sprawą a drugą, miał „porządkować to, nad czym pracował”, żeby pełną parą zaangażować się w kampanię antynarkotykową. Miał mieć, na litość boską, lekki, bezproblemowy dzień.

Drzwi oddziału otworzyły się i zamknęły, więc Rebus domyślił się, że Brian Holmes jest na korytarzu. Holmes na moment stracił orientację, ale potem dostrzegł przełożonego i ruszył szybkim krokiem w jego stronę. Rebus nie był jeszcze pewien, czy ten młody człowiek jest bezcennym nabytkiem, czy obciążeniem. Czy można być jednym i drugim naraz?

– Wszystko w porządku? – zapytał troskliwie.

– Tak. Chyba tak. Obudziła się. Twarz ma zmaltretowaną.

– To tylko słuchzenia. Mówią, że nos się zagoi, po złamaniu nie będzie śladu.

– Tak, tak powiedziała Nell.

– Ona mówi? To dobrze.

– Powiedziała mi też, kto to zrobił. – Holmes spojrzął na Rebusa, a ten zaczął patrzeć w inną stronę. – O co tu chodzi? Co Nell ma z tym wspólnego?

– Nic, o ile wiem. Po prostu znalazła się w niewłaściwym miejscu i tak dalej, uznaj to za zbieg okoliczności.

– Zbieg okoliczności? Jakie gładkie słowa. Uznać pobicie za „zbieg okoliczności”, a wtedy można będzie o tym zapomnieć, tak? Nie wiem, w co pan gra, inspektorze, ale dla mnie ta gra już się skończyła.

Holmes odwrócił się i ruszył korytarzem. Rebus ostrzegł go, że w tej części budynku nie ma wyjścia, ale Holmes go zignorował. Potrzebował trochę czasu. Przerwy. Tak jak Rebus, który miał kilka rzeczy do przemyślenia, a komenda była do tego najlepszym miejscem.

REBUS ZDOŁAŁ WDRAPAC SIĘ POWOLI po schodach do swojego biura. Siedział już dziesięć minut przy biurku, zanim chęć na herbatę zmusiła go do sięgnięcia po telefon. Potem próbował na kartce przedstawić „fakty” dotyczące „sprawy”.

Zmroziła go myśl, że być może marnuje czas i wysiłek. Ława przysięgłych musiałaby się nieźle natrudzić, żeby w ogóle dostrzec jakiegokolwiek przestępstwo, bo nic nie wskazywało na to, że Ronnie nie wstrzyknął sobie narkotyku sam. Ale przecież był na głodzie, miał problem ze zdobyciem towaru, mimo że w mieście go nie brakowało. Ktoś przeniósł jego ciało i zostawił przy nim saszetkę dobrej heroiny,

licząc prawdopodobnie na to, że w testach wyjdzie na czystą, a przyczyna śmierci zostanie określona jako zwykle przedawkowanie, nieszczęśliwy wypadek. Ale w organizmie denata znaleziono trutkę na szczury.

Rebus spojrział na kartkę: w grę wchodziły „być może”, miał tylko domysły. Może twój scenariusz nie jest dobry, rzuć go w kąt, John, i pisz od nowa.

Dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby zabić Ronniego? Przecież ten biedak sam by się wykończył, gdyby dać mu trochę czasu. Był na głodzie, wstrzyknął sobie działkę, ale poznał, że towar jest brudny. Bez wątplenia wiedział, że człowiek, który ją dostarczył, chciał go zabić, ale i tak wstrzyknął sobie trutkę. Nie, taka wersja miała jeszcze mniej sensu. Zacznij od nowa, John.

Dlaczego komuś miałoby zależeć na śmierci Ronniego? Oczywiście odpowiedzi było kilka. Ponieważ ten wiedział coś, czego nie powinien wiedzieć. Ponieważ posiadał coś, czego nie powinien mieć. Ponieważ nie posiadał czegoś, co powinien mieć. Która z nich była prawidłowa? Rebus nie wiedział. Wydawało się, że nikt nie wie. Scenariusz wciąż nie miał zakończenia.

Rozległo się pukanie do drzwi i stanął w nich mundurowy z kubkiem herbaty. Był to Harry Todd. Rebus go rozpoznał.

– Bujasz się po okolicy, synu?

– Tak, panie inspektorze. – Todd postawił herbatę na rogu biurka, jedynych trzech centymetrach kwadratowych drewnianego blatu nieobłożonego papierami.

– Dziś wieczorem spokój?

– Tak jak zwykle, panie inspektorze. Kilku pijaczków. Kilka włamań. Paskudny wypadek samochodowy w pobliżu portu.

Rebus skinął głową, sięgnął po herbatę.

– Znasz posterunkowego, który nazywa się Neil McGrath? – Podniósł kubek do ust i spojrział na Todda, który zaczął się rumienić.

– Tak, panie inspektorze – powiedział. – Znam go.

Rebus spróbował herbaty; wyglądał, jakby rozkoszował się mdłym smakiem mleka i gorącej wody.

– Kazał ci mieć na mnie oko, tak?

– Panie inspektorze...

– Jeśli przypadkiem go zobaczysz, Todd, przekaż mu, że wszystko jest w najlepszym porządku.

– Tak jest, panie inspektorze. – Posterunkowy odwrócił się do wyjścia.

– Aha, Todd?

– Tak, panie inspektorze?

– Nie chcę cię więcej widzieć w pobliżu, zrozumiano?

– Tak jest, panie inspektorze. – Todd był wyraźnie przygnębiony. Przystanął przy drzwiach, jakby nagle wpadł na pomysł, jak może udobruchać przełożonego. Z miłym wyrazem twarzy odwrócił się z powrotem do Rebusa.

– Czy słyszał pan o akcji w Fife, panie inspektorze?

– Jakiej akcji? – Ton Rebusa nie zdradzał zainteresowania.

– Walka psów.

Rebus usilnie starał się wyglądać na niewzruszonego.

– Rozbili jakąś szajkę od walk psów – powiedział posterunkowy. – Niech pan zgadnie, kto został zapuszkowany.



– Malcolm Rifkind? – rzucił Rebus.

To nazwisko całkowicie zdezorientowało Todda, bo uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Nie, panie inspektorze. – Odwrócił się ponownie, by odejść.

Rebus tracił cierpliwość.

– Więc kto? – burknął.

– Ten didżej, Calum McCallum – odparł Todd i zamknął za sobą drzwi.

Rebus wpatrywał się w nie jeszcze przez pięć minut, zanim dotarło do niego, co się stało: Calum McCallum... Kochanek Gill Templer!

Podniósł głowę i wydał z siebie ryk, w którym śmiech mieszał się z opętańczym okrzykiem zwycięstwa. A kiedy już przestał się śmiać i przetaił oczy chusteczką, spojrzął ponownie na drzwi i zobaczył, że są otwarte. W progu stał ktoś, kto przyglądał się jego występowi z osłupieniem wymalowanym na twarzy.

Gill Templer.

Rebus sprawdził godzinę. Była już prawie pierwsza w nocy.

– Masz dziś nocną zmianę, Gill? – zapytał, żeby ukryć zakłopotanie.

– Przypuszczam, że już słyszałeś – powiedziała, ignorując go.

– Co słyszałem?

Weszła do pokoju, zepchnęła kilka papierów z krzesła na podłogę i usiadła, wyczerpana. Rebus spojrzął na papiery porozrzucane po podłodze.

– Sprzątaczkę i tak przychodzi rano – powiedziała. I dodał: – Słyszałem.

– Więc o to chodziło w tych twoich wrzaskach?

– Ach, to. – Rebus machnął ręką, jakby próbował zrzucić z siebie to, co zrobił, ale poczuł, jak krew pulsuje mu w policzkach. – Nie, chodziło o coś... innego.

– Nie przekonałeś mnie, ty bydlaku – wycedziła.

Chciał ją pocieszyć, powiedzieć, że dobrze wygląda czy coś w tym stylu. Ale nie byłby szczery i znowu by się skrzywiła. Wyglądała na wykończoną, za mało spała, zabawa się skończyła, a jej świat kazano zamknąć w ciasnej celi, gdzieś w Fife. Być może fotografowali go teraz i zdejmowali odciski palców, gotowi wysłać dokumenty do archiwum. Jej świat, jej Calum McCallum.

Życie jest pełne niespodzianek.

– Więc co mogę dla ciebie zrobić? – spytał.

Sondowała go wzrokiem, jakby nie była pewna, kim jest i dlaczego się tu znalazła. Potem zadrżała, jak gdyby otrząsnęła się ze snu, i wzruszyła ramionami.

– To zabrzmi banalnie, ale byłam tu przejazdem. Wpadłam do stołówki na kawę po drodze do domu i wtedy usłyszałam... – Jej ciało znowu przeszedł dreszcz.

Rebus dostrzegł, jak bardzo jest krucha. Miał nadzieję, że się nie rozpadnie.

– Usłyszałam o Calumie. Jak on mógł mi to zrobić, John? Ukryć to przede mną? I co jest zabawnego w oglądaniu rozszarpujących się psów?

– O to będziesz musiała zapytać go sama, Gill. Chcesz więcej kawy?

– Chryste, nie, już teraz trudno mi będzie zasnąć. Powiem ci, czego bym chciała, jeśli to nie jest zbyt duży kłopot.

– Nie krępuj się.

– Żebyś podwiózł mnie do domu...

Rebus pokiwał głową.

– I przytulił.

Wstał powoli, włożył marynarkę, schował długopis i kartkę do kieszeni i spotkał się z nią na środku pokoju. Podniosła się z krzesła i stojąc na raportach do przeczytania, dokumentach do podpisania, statystykach aresztowań i całej reszcie, znalazła schronienie w jego ramionach. Trwali w mocnym uścisku; ona wtuliła głowę w jego ramię, on oparł podbródek na jej szyi i wpatrywał się w zamknięte drzwi, jedną ręką głaszcząc jej plecy, drugą je poklepując. W końcu się odsunęła, odrywając najpierw głowę, potem klatkę piersiową, ale wciąż trzymała go w objęciach. Miała mokre oczy, ale najgorsze minęło. Jej twarz się rozjaśniła.

– Dzięki – powiedziała.

– Potrzebowałem tego tak samo jak ty – powiedział Rebus. – Chodź, odwiozę cię do domu.

# PIĄTEK

*Najwyraźniej mieszkali tu zamożni ludzie biorący udział w grze rynkowej, walczący o dalsze wzbogacanie się, którzy z kokieteryą demonstrowali własną zasobność.*

KTOŚ ZASTUKAŁ DO JEGO DRZWI, a raczej walił uparcie starą mosiężną kołatką, której nigdy nie czyścił. Rebus otworzył oczy. Słońce zaglądało do salonu, trzeszczała płyta winylowa w gramfonie. Kolejna noc spędzona w hotelu, w kompletnym ubraniu. Równie dobrze mógłby sprzedać materac z łóżka. Czy ktoś kupiłby sam materac?

I znowu stuk, stuk, stuk, a potem cierpliwe wyczekiwanie na odpowiedź. Rozkleił zamykające się po przebudzeniu powieki, wepchnął koszulę w spodnie i ruszył do drzwi. Czuł się nie najgorzej, jeśli się nad tym zastanowić: nie zeszytniał, nie rwało go w karku. Umyje się, ogoli i może nawet poczuje się człowiekiem.

Otworzył drzwi w chwili, gdy Holmes już miał zapukać ponownie.

- Brian. – Rebus był naprawdę zadowolony.
- Dzień dobry. Mogę wejść?
- Oczywiście. Jak się czuje Nell?
- Dzwoniłem rano, przekazano mi, że miała dobrą noc.

Rebus zaprowadził go do kuchni. Holmes wyobrażał sobie, że mieszkanie będzie pachniało piwem i papierosami, jak to u kawalera z odzysku, ale w rzeczywistości było schludniejsze, niż się spodziewał, urządzone z odrobiną smaku. Zaskoczył go zbiór książek; inspektor nie sprawiał wrażenia zapalonego czytelnika. Ale niektóre książki wyglądały na nietknięte, pewnie były kupione z myślą o deszczowym martwym weekendzie. Weekendzie, który nigdy nie nadszedł.

Rebus wskazał niejasno w jakimś kierunku, mając na myśli czajnik i szafki.

- Zrób nam kawę, dobrze? Wezmę tylko szybki prysznic.
- Zgoda. – Holmes pomyślał, że jego wieści mogą poczekać, przynajmniej dopóki Rebus w pełni się nie rozbudzi. Na próżno szukał kawy rozpuszczalnej, za to znalazł opakowanie próżniowe z mieloną, z datą kilka miesięcy po terminie przydatności do spożycia. Nastawił wodę, otworzył pojemnik i wyspał łyżkę kawy do dzbanka na herbatę. Z łazienki dobiegał szum bieżącej wody, a ponad nim ciche, jakby blaszane dźwięki radia tranzystorowego. Głosy. Pewnie jakiś talk-show.

Holmes skorzystał z okazji, żeby przespacerować się po mieszkaniu. Salon był ogromny, z wysokim gzymsowym sufitem. Zakłuła go zazdrość: on nigdy nie mógłby sobie pozwolić na kupienie takiego mieszkania. Rozglądał się po okolicach Easter Road i Gorgie, w pobliżu boisk piłkarskich drużyn Hibs i Hearts, i w obu dzielnicach stać by go było na przyzwoitej wielkości lokum, nawet czteropokojowe, ale pomieszczenia były małe, a dzielnice podłe. Wprawdzie nie uważał się za snoba... A do diabła, może i był snobem, chciał zamieszkać w New Town, w Dean Village, tutaj, w Marchmont, gdzie studenci filozofowali w ładnych kawiarniach.

Nie obszedł się ostrożnie z igłą, gdy podnosił ramię z płyty gramofonowej. Płyta wyglądała na starą i na próżno szukał okładki, ale rozpoznał, że to kapela jazzowa. Odgłosy z łazienki ustały, wrócił więc ukradkiem do kuchni i znalazł w szufladzie na sztućce sitko do herbaty, które powstrzymało fusy z kawy nalewanej do dwóch kubków. Rebus wszedł owinięty w ręcznik kąpielowy, wycierając głowę drugim, mniejszym. Musiał schudnąć, bo ciało na jego klatce zaczynało zwisać, blade jak wypatroszona tusza.

Podniósł kubek i upił łyk.

- Mmm, prawdziwy specjał.

– Znalazłem w szafce. Ale nie było mleka.

– Nieważne, dobra. Mówisz, że znalazłeś ją w szafce? Może jeszcze zrobimy z ciebie detektywa. Zaruć coś na siebie – powiedział i znowu wyszedł, tym razem tylko na dwie minuty.

Ubrania, w których wrócił, były czyste, ale niewyprasowane. Holmes zauważył, że chociaż w kuchni znajdowała się instalacja do pralki, to pralki nie było. Rebus jakby czytał w jego myślach.

– Żona zabrała, kiedy się wyprowadziła. Wzięła sporo rzeczy.

– To dlatego mieszkanie jest takie puste.

– Nie jest puste, jest minimalistycznie urządzone. – Rebus się uśmiechnął. – Chodźmy do salonu.

Wskazał Holmesowi, by usiadł, a następnie sam zajął miejsce. Fotel nosił jeszcze ciepłe ślady snu.

– Widzę, że już tu byłeś.

Gość wyglądał na zaskoczonego: został przyłapany. Przypomnił sobie, że podniósł igłę z płyty.

– Owszem, byłem – przyznał.

– To mi się podoba – odparł Rebus. – Tak, zrobimy z ciebie jeszcze detektywa, Brian.

Holmes nie miał pewności, czy inspektor próbuje być miły, czy jest tylko protekcyjny, ale postanowił o tym nie myśleć.

– Uznałem, że jest coś, o czym chciałby pan wiedzieć – zaczął.

– Wybacz, że zepsuję niespodziankę, ale wczoraj w nocy byłem na komendzie i ktoś mi już powiedział.

– Wczoraj w nocy? – Holmes był zdezorientowany. – Ale ciało znaleźli dopiero dziś rano.

– Ciało? To znaczy, że on nie żyje?

– Tak. Samobójstwo.

– Jezu, biedna Gill.

– Gill?

– Gill Templer, była z nim.

– Inspektor Templer? – Teraz Holmes był zszokowany. – Myślałem, że mieszkała z tym didżejem?

Rebus postawił oczy w ślup.

– Czy nie o nim mówimy?

– Nie. – Holmes poczuł wielką ulgę, że wciąż ma do przekazania niespodziankę.

– Więc o kim ty mówisz? – zapytał Rebus z narastającą trwogą. – Kto popełnił samobójstwo?

– James Carew.

– Carew?

– Tak. Znaleźliśmy go dziś rano w jego mieszkaniu. Przedawkował.

– Co przedawkował?

– Nie wiem, jakieś pigułki.

Rebus zdębiał z oszołomienia; przypomniał sobie wyraz twarzy Jamesa Carew tamtego wieczoru na szczycie Calton Hill.

– Cholera – rzucił. – Chciałem zamienić z nim słowo.

– Zastanawiałem się... – powiedział Holmes.

– Nad czym?

– Nie sądzę, żeby zdążył pan zapytać go o mieszkanie?

– Nie, nie miałem okazji.

– Tylko żartowałem – powiedział Holmes, bo zdał sobie sprawę, że Rebus potraktował jego słowa poważnie. – Był pana dobrym znajomym? Wiem, że spotkał się pan z nim na lunchu, ale nie zdawałem sobie sprawy...

– Zostawił jakąś wiadomość?

– Nie wiem.

– A kto mógłby wiedzieć?

Holmes myślał przez sekundę.

– Myślę, że inspektor McCall był na miejscu zdarzenia.

– W porządku, chodź. – Rebus podniósł się na nogi.

– A co z pana kawą?

– Pieprzyć kawę. Chcę się widzieć z Tonym McCallem.

– O co chodziło z tym Calumem McCallumem? – zapytał Holmes, wstając.

– Czyli nic nie słyszałeś?

Holmes pokręcił głową.

– Powiem ci po drodze.

Rebus chwycił marynarkę i wyjął z niej klucze. Kiedy po wyjściu z mieszkania zamykał drzwi, Holmes starał się rozwiązać węzeł gordyjski. Co takiego zrobił Calum McCallum? Boże, jak on nie znosił ludzi zachowujących sekreciki dla siebie.

W SYPIALNI JAMESA CAREW REBUS PRZYSTANAŁ, by przeczytać list pożegnalny. Napisany został starannie, piórem o wyśmienitej stalówce, ale przez parę słów wyraźnie przebiegał się lęk; pismo drżało niekontrolowanie, tworząc bązgroły, skorygowane potem do kształtu estetycznych liter. Papier też był dobrej jakości, gruby i ze znakiem wodnym. Jaguar stał w garażu z tyłu budynku, a apartament był oszałamiający – muzeum sztuki art déco. Kopie nowoczesnych dzieł i cennych pierwszych wydań widniały za szkłem.

Zupełne przeciwieństwo domu Vanderhyde'a, jakby z drugiej strony lustra, pomyślał Rebus, obchodząc mieszkanie. To właśnie wtedy McCall wręczył mu pożegnalne zapiski.

*Jestem największym grzesznikiem, będę też największym pokutnikiem.*

Czy to nie cytat z jakiegoś dzieła? Z pewnością wiadomość nieco zawiła jak na ostatnie wyznanie. Carew musiał podchodzić do tego ze sto razy, zanim w końcu napisał tekst, który go estetycznie zadowolił. Musiał być dokładny, miało to być przeciwieństwo jego epitafium. *Pewnego dnia może poznasz całą prawdę na ten temat.* Rebus nie dociekał jej usilnie, ale czytając, odniósł dziwne wrażenie, że słowa Carew są skierowane wprost do niego, że tylko on może pojąć ich znaczenie.

– Efekciarski ten liścik – skwitował McCall.

– Rzeczywiście – przyznał Rebus.

– Widziałeś się z nim niedawno, co? Pamiętam, że o tym wspominałeś. Jak się wtedy trzymał? Nie miał depresji czy czegoś w ten deseń?

– Później też go widziałem.

– Tak?

– Przedwczoraj węszyłem w okolicach Calton Hill, siedział w samochodzie.

– Aha. – McCall skinął głową. Wszystko zaczynało nabierać sensu.

Rebus oddał kartkę i podszedł do łóżka. Pościel była pomięta, na stoliku nocnym stały w równym rzędku trzy puste buteleczki po tabletkach. Na podłodze leżała opróżniona butelka po koniaku.

– Ten człowiek odszedł w wielkim stylu – powiedział McCall, wkładając list do kieszeni. – Wcześniej wypił kilka butelek wina.

– Tak, widziałem je w salonie. Lafite, rocznik sześćdziesiąty pierwszy.

– Wyjątkowy trunek na wyjątkową okazję.

Obaj mężczyźni odwrócili się, gdy usłyszeli posapywanie. W pokoju pojawiła się trzecia osoba. Był to Farmer Watson, ciężko dyszący od wysiłku wdrapywania się po schodach.

– To niezręczne jak diabli – odezwał się. – Jeden z filarów naszej kampanii kończy ze sobą przez przekłete przedawkowanie. Jak to teraz będzie wyglądać?

– Niezręcznie, panie komendancie – odpowiedział Rebus. – Trafnie to pan określił.

– Bez dwóch zdań, bez dwóch zdań... – Watson wyciągnął palec w stronę Rebusa. – Dopilnuj, John, żeby media nie zrobiły ani z tego, ani z nas widowiska.

– Postaram się, panie komendancie.

Watson spojrział w stronę łóżka.

– Taki przyzwoity człowiek, co za strata! Po co to, dlaczego? Spójrzcie tylko na to miejsce. Gdzieś tam, na jednej z wysp, jest jego posiadłość. Własny biznes. Drogi samochód. Rzeczy, o których my możemy tylko pomarzyć. Niebywałe...

– Zgadza się, panie komendancie – potwierdził Rebus.

– Cóż zrobić... – Watson rzucił ostatnie spojrzenie w stronę łóżka, po czym położył dłoń na ramieniu Rebusa. – Liczę na ciebie, John.

– Zrozumiałem, panie komendancie.

McCall i Rebus patrzyli, jak ich przełożony odchodzi.

– Cholera – wyszeptał McCall. – Nie spojrzął na mnie ani razu. Równie dobrze mogłoby mnie tu nie być.

– Powinieneś podziękować swojej szczęśliwej gwiazdzie, Tony. Chciałbym mieć twój dar niewidzialności.

Obaj się uśmiechnęli.

– Obejrzałeś już wszystko? – zapytał McCall.

– Zrobię jeszcze rundkę – odrzekł Rebus. – A potem zejść ci z oczu.

– Jasne, jak chcesz. Aha, jeszcze jedna sprawa.

– Tak?

– Co, u diabła, robiłeś na Calton Hill w środku nocy?

– Nawet nie pytaj – powiedział Rebus, po czym przesłał mu całusa i ruszył do salonu.

BYŁABY TO RZECZYWIŚCIE WIELKA sensacja medialna, przed którą niełatwo byłoby się uchronić. Stacje radiowe i gazety głowiłyby się z wyborem nagłówka zasługującego na większą uwagę: *Didżej aresztowany podczas nielegalnej walki psów?* A może: *Samobójczy strzał giganta branży nieruchomości?* Jim Stevens byłby zachwycony, ale Jim Stevens przebywał teraz w Londynie, gdzie ożenił się z jakąś dziewczyną, która była o połowę młodsza od niego.

Rebus podziwiał takie niebezpieczne posunięcia. Ale dla Jamesa Carew nie miał podziwu, żadnego. Watson nie mylił się przynajmniej pod jednym względem: Carew miał wszystko, o czym dusza może

zamarzyć, i Rebusowi trudno było uwierzyć, że ten bogacz popełnił samobójstwo tylko dlatego, że został przyłapany przez gliniarza na Calton Hill. Nie, to mógł być wyzwalacz, ale musiało w tym być coś jeszcze. Coś, co pozostawiło jakąś wskazówkę, może w mieszkaniu albo w biurze Bowyer Carew na George Street.

Biblioteka Jamesa Carew obfitowała w książki. Szybkie oględziny wykazały, że w większości były to drogie, imponujące tytuły, ale nieczytane – ich grzbiety trzeszczały, kiedy Rebus otwierał je po raz pierwszy. W prawej górnej części regału znalazł kilka tytułów, które zainteresowały go bardziej niż pozostałe: książki Geneta i Alexandra Trocchiego, egzemplarze *Maurycygo* Forstera, a nawet *Piekielny Brooklyn*. Wiersze Walta Whitmana, *Trylogia miłosna*. Mieszanka lektur, głównie gejowskich. Nie widział w tym nic złego, ale sposób, w jaki zostały ułożone na półce – na samej górze, oddzielone od innych tytułów – podpowiedział Rebusowi, że ten człowiek wstydził się samego siebie. Nie było powodu, nie w tych czasach...

Kogo on chciał oszukać? AIDS zepchnęło homoseksualizm z powrotem w ciemne zakamarki społeczeństwa, a utrzymując prawdę w tajemnicy, Carew tylko naraził się na hańbę i wszelkiego rodzaju szantaże.

Tak, szantaże. Ich ofiarami padali niekiedy samobójcy niewidzący wyjścia z impasu. Może znalazłby się jakiś dowód, list, notatka, cokolwiek. Coś, co pozwoliłoby Rebusowi uwierzyć, że nie jest kompletnym paranoikiem.

I wtedy to znalazł.

W szufladzie. W zamkniętej szufladzie, do której klucze były w spodniach Carew. Zmarł w piżamie, więc jego ubrań nie zabrano wraz ze zwłokami. Rebus zabrał klucze z sypialni i wrócił do biurka w salonie, pięknego i niewątpliwie zabytkowego; jego powierzchnia ledwo mieściła kartkę papieru A4 i łokieć. To, co niegdyś było użytecznym meblem, stało się ozdobą mieszkania bogacza. Rebus ostrożnie otworzył szufladę i wyjął oprawiony w skórę kalendarz biurowy. Jedna strona na dzień, duże kartki. Nie był to zwyczajny terminarz, inaczej Carew nie trzymałby go w zamknięciu; raczej osobisty dziennik. Rebus otworzył go niecierpliwymi palcami. Rozczarował się natychmiast: były tam raptem jedna lub dwie linie zapisków ołówkiem na stronę, to wszystko.

Zaklął.

W porządku, John. To lepsze niż nic. Zatrzymał się przy jednej z kartek, na której widniał ledwie widoczny, ale staranny wpis: *Jerry, 16.00*. Zwyczajne umówione spotkanie. Rebus przeskoczył do dnia, w którym widzieli się w szerszym gronie na lunchu w The Eyrie: strona była pusta. A to potwierdzało, że kalendarz nie zawierał spotkań typowo biznesowych, poza tym Rebus nie miał wątpliwości, że biznesowy dziennik Carew byłby wypełniony.

*Lindsay, 18.30.*

*Marks, 11.30.* Wcześniej zaczął tego dnia. Czy Marks to nazwisko, a może dwóch Marków? Może dom towarowy...? Pozostałe imiona – Jerry, Lindsay – androgyniczne, anonimowe. Potrzebował numeru telefonu, lokalizacji.

Przewrócił kolejną stronę i musiał dwukrotnie spojrzeć na napisane tam słowa. Powoli przejechał palcem po literach.

*Hyde, 22.00.*

Co Ronnie powiedział Tracy tej nocy, kiedy zginął? „Schowaj się, Hyde idzie po mnie”? Tak, i James też podał mu to nazwisko.

Hyde!



Rebus zawył. Znalazł brakujący element, nieważne, jak mglisty, który łączył Ronniego z Jamesem Carew: nazwisko. To coś więcej niż przelotna „transakcja biznesowa” na Calton Hill. Pospiesznie przejrzał pozostałe strony. Były tam jeszcze trzy wzmianki o Hydzie, spotkania wypadły zawsze w późnych godzinach wieczornych (kiedy w Calton Hill zaczynał się handel), zawsze w piątek. Czasem w drugi piątek miesiąca, czasem w trzeci. Cztery wzmianki w ciągu sześciu miesięcy.

– Masz coś? – To był McCall, pochylający się nad jego ramieniem, by zerknąć.

– Tak – rzucił Rebus. Ale po chwili zmienił zdanie: – Nie, niezupełnie. Tylko stary kalendarz, ale facet nie był wylewnym pisarzem.

McCall skinął głową i oddalił się. Bardziej interesował go system hi-fi.

– Stary miał gust – powiedział, przypatrując się uważnie gramofonowi Linn. – Wiesz, ile taki kosztuje, John? Setki funtów. Nie jest efektowny, za to cholernie efektywny.

– Prawie jak my – odpowiedział Rebus.

Myślał o tym, żeby wepchnąć kalendarz do kieszeni spodni, ale wiedział, że to niedozwolone, a poza tym, co by mu to dało? Ale kiedy Tony McCall stanął do niego plecami... Idealny moment... Nie, nie potrafi beczelnie zagrabir kalendarza. Wrzucił go z powrotem do szuflady, wsunął ją i zamknął na klucz. Wręczył kluczyk McCallowi, który wciąż kuczał przed hi-fi.

– Dzięki, John. Niezły sprzęt.

– Nie wiedziałem, że interesujesz się tymi rzeczami.

– Od dziecka. Po ślubie musiałem pozbyć się wieży... grała za głośno. – McCall wyprostował się. – Jak myślisz, znajdziemy tu jakieś odpowiedzi?

Rebus pokręcił głową.

– Myślę, że wszystkie sekrety trzymał w głowie, w końcu bardzo strzegł swojej prywatności. Przypuszczam więc, że zabrał je ze sobą do grobu.

– Ech, no dobra. W takim razie sprawa jest jasna.

– Jasna jak kryształ – rzucił Rebus.

Co powiedział ten stary człowiek, Vanderhyde? Zdaje się, że coś o mąceniu wody. Rebus odniósł dojmujące wrażenie, że rozwiązanie tych wielu zagwozdek musi być proste, krystaliczne niczym woda źródłana. Problemem były wplecione poboczne historie, a z zanieczyszczonej studni trudno zaczerpnąć czystej wody. Zaraz, czy nie mieszają mi się przysłowia? Ale co tam przysłowia! Liczyło się tylko dotarcie do dna studni, z wodą zmaconą lub nie, i wydobyć tej maleńkiej skrzyni ze skarbem zwanym prawdą.

Wiedział też, że problem tkwi w klasyfikacji. Musiał podzielić powiązane ze sobą historie na osobne wątki i rozpracować każdy z osobna. Błędem były próby utkania ich w jeden wzór, bo wzoru mogło wcale nie być. Gdyby rozdzielił je wszystkie, może miały szansę na rozwikłanie tej sprawy.

Ronnie popełnił samobójstwo, Carew też, a dodatkowo łączyło ich nazwisko Hyde'a. Może wplątany był w to klient Jamesa Carew, który kupił nieruchomości za pieniądze z handlu narkotykami? Hyde. To nazwisko nie mogło być prawdziwe. Ilu Hyde'ów mieszkało w Edynburgu? Poza tym męskie prostytutki nie używały zazwyczaj prawdziwych imion i nazwisk. Hyde. Jekyll i Hyde. Kolejny zbieg okoliczności: Rebus czytał książkę Stevensona tej nocy, kiedy odwiedziła go Tracy. Może powinien poszukać człowieka o nazwisku Jekyll? Jekyll, szanowany lekarz, podziwiany przez społeczeństwo; Hyde, jego alter ego, mały i brutalny, kreatura nocy. Przypomniał sobie snujące się nocą postacie, które napotkał przy Calton Hill... Czy odpowiedź może być tak oczywista?

Zaparkował w jedynej wolnej zatoczce przed komendą przy Great London Road i wdrapywał się po znajomych schodach. Z biegiem lat wydawało się ich przybywać i mógłby przysiąc, że jest ich teraz więcej, niż kiedy zaczął tu pracować... kiedy to było? Sześć lat temu? W skali życia człowieka niewiele, więc skąd to uczucie syzyfowej wspinaczki?

– Witaj, Jack – powiedział do sierżanta, który tylko patrzył nieruchomym wzrokiem, jak Rebus przechodzi obok.

Dziwne, pomyślał. Jack nigdy nie należał do wesolków, ale mięśnie szyi miał sprawne, słychać przecież z lekkiego ułkonu głowy na powitanie. Brak tego gestu mógł oznaczać wszystko, od aprobaty po zniewagę. Ale dziś dla Rebusa nie znaczył nic.

Postanowił zignorować tę drobnostkę i poszedł na górę. Dwóch schodzących mundurowych zamilkło, mijając go. Rebus zaczął się czerwienić, ale szedł dalej, pewien, że zapomniał zapiąć rozporek albo że ubrudził sobie nos. Coś w tym rodzaju. Sprawdzi to w zaciszu swojego biura.

Holmes już na niego czekał, na jego krześle, przy jego biurku, ze szczegółami dotyczącymi nieruchomości rozłożonymi na blacie. Kiedy Rebus wszedł, Holmes wstał i zaczął zbierać kartki, jak dzieciak przyłapany z nieprzyzwoitą lekturą.

– Cześć, Brian. – Rebus zdjął marynarkę i powiesił na drzwiach. – Słuchaj, chcę, żebyś zdobył dla mnie imiona i adresy wszystkich mieszkańców Edynburga, którzy nazywają się Jekyll lub Hyde. Wiem, że to musi brzmieć idiotycznie, ale po prostu to zrób. Potem...

– Myślę, że powinien pan usiąść, panie inspektorze – powiedział drżącym głosem Holmes.

Rebus wbił w niego wzrok, wychwycił lęk w oczach młodego człowieka i wiedział już, że stało się najgorsze.

REBUS PCHNĄŁ DRZWI do pokoju przesłuchań. Jego twarz była koloru buraka i Holmes obawiał się, że przełożony jest o krok od choroby wieńcowej. W pokoju siedziało dwóch mężczyzn z wydziału dochodzeniowego, obaj z podwiniętymi rękawami koszul, jak po przesłuchaniu z mordobiciem. Odwrócili się na widok Rebusa, a jeden z nich poderwał się na nogi. Po drugiej stronie stołu nastolatek o łasicowatej twarzy, znany Rebusowi jako „James”, zapiszczał i wstał, przewracając z łoskotem krzesło na kamienną podłogę.

– Nie pozwólcie mu się do mnie zbliżyć! – krzyknął.

– John – zaczął jeden z detektywów, sierżant Dick.

Rebus podniósł rękę na znak, że nie ma zamiaru uciekać się do przemocy. Detektywi popatrzyli po sobie, nieprzekonani.

Rebus, wpatrując się w nastolatka, powiedział:

– Dostaniesz to, na co zasłużyłeś, więc lepiej mi pomóż. – Jego głos rezonował spokojnym, wyraźnym gniewem. – Urwę ci za to jaja, synu, i radzę ci w to uwierzyć. Dobrze ci radzę.

Chłopak wiedział, że pozostali powstrzymają Rebusa, że jego groźby to pustosłowie. Zaśmiał się.

– Tak, jasne – rzucił lekceważąco.

Rebus ruszył do przodu, ale Holmes położył rękę na jego ramieniu i odciągnął go.

– Zostaw, John – ostrzegł drugi detektyw, posterunkowy Cooper. – Posiedzi tu i zmięknie, to nie potrwa długo.

– To już trwa za długo – wysyczał Rebus.

Holmes wyciągnął go z sali i zamknął za nim drzwi.

Kipiąc gniewem, Rebus stał w zacienionym korytarzu, wyczerpany, z pochyłą głową. Nie do wiary, pomyślał, to czyste szaleństwo, ktoś chciał go zrobić.

– Inspektorze Rebus!

Rebus i Holmes odwrócili się w kierunku, z którego dochodził głos, i zobaczyli młodszą stopniem policjantkę. Ona również wyglądała na przestraszoną.

– Tak? – wydusił z siebie Rebus.

– Komendant chce się z panem zobaczyć, u niego w gabinecie. Myślę, że to pilne.

– Nie wątpię – powiedział Rebus, spiesząc w jej stronę z tak groźną miną, że usunęła się do recepcji i światła dziennego.

– To pierdolona ustawka, z całym szacunkiem, panie komendancie.

Pamiętaj o złotej zasadzie, John, pomyślał Rebus: nigdy nie przeklinaj do przełożonego bez dodania „z całym szacunkiem”. Nauczył się tego w wojsku. Jeśli to dodałeś, zwierzchnik nie mógł cię oskarżyć o niesubordynację.

– John. – Watson splótł palce i przyglądał się im, jakby były skończonym dziełem sztuki. – Musimy zbadać tę skargę. Wiem, że to bujda na resorach, i wszyscy inni też wiedzą, ale należy to udowodnić. To jest nasz obowiązek.

– Mimo wszystko, panie komendancie...

Watson przerwał mu machnięciem ręki, a potem znów zaczął splatać palce.

– My dwaj wiemy, że jesteś już „zawieszony” w obowiązkach, dopóki nasza mała kampania nie nabierze rozpędu.

– Tak, panie komendancie, ale on właśnie tego chce.

– On?

– Jakiś facet, Hyde. Chce, żebyśmy przestał zajmować się sprawą Ronniego McGratha. O to w tym wszystkim chodzi, panie komendancie, stąd ta ustawka.

– Możliwe. Jakkolwiek jest, faktem pozostaje, że złożono na ciebie skargę...

– Tak, ten mały bydlak na dole.

– Mówi, że dałeś mu pieniądze, dwadzieścia funtów.

– Dałem mu dwadzieścia funtów, ale nie za bzykanie, na litość boską!

– Więc za co?

Rebus próbował odpowiedzieć, ale został pokonany. Dlaczego wręczył nastolatкови o imieniu James pieniądze? W porządku, sam się zrobił, Hyde nie mógłby tego obmyślić lepiej. A teraz ten James siedział na dole i opowiadał detektywom z dochodzeniówki swoją starannie przeciwiczną bajeczkę. Mów, co chcesz, John, ale grzęzniesz w błocie. Chryste, uwalony po samą szyję i nie ma na świecie takiej ilości mydła i wody, żeby zmyć z siebie ten syf. Parszywy mały gnojek.

– Tańczymy, jak Hyde nam zagra, panie komendancie. – Rebus spróbował jeszcze raz; ostatni strzał: – Jeśli jego historia jest prawdziwa, to dlaczego nie przyszedł wczoraj? Dlaczego czekał do dzisiaj?

Ale Watson już postanowił.

– John, wynieś się stąd na dzień lub dwa. Nawet na tydzień. Zrób sobie przerwę. Rób, co chcesz, ale zostaw nas w spokoju. Wyjaśnimy to, nie martw się, rozbijemy jego historię na kawałki tak małe, że nie pokładą ich do kupy. Jeden z tych kawałków pęknie, a z nim cała bzdurna historyjka. Nie przejmuj się.

Rebus wpatrywał się w Watsona. To, co komendant powiedział, miało sens; co więcej, było dość subtelne i sprytne. Może jednak Farmer nie rozwiązywał spraw twardą ręką rolnika. Rebus westchnął.

– Jak pan uważa, komendancie.

Watson skinął głową z uśmiechem.

– A właściwie... Pamiętasz kolegę Andrewsa, tego od klubu Finlay's?

– Jedliśmy z nim lunch, panie komendancie.

– Owszem. Zaprosił mnie do ubiegania się o członkostwo.

– Miło z jego strony.

– Podobno lista oczekujących jest długa, rozpatrzenie zajmuje rok... przez tych bogatych Anglików przybywających na północ... ale wspomniał, że w moim przypadku nie będzie to konieczne. Powiedziałem mu, żeby się tym nie martwił. Rzadko piję, a już na pewno nie uprawiam hazardu. Mimo wszystko uprzejmy gest. Może powinienem go poprosić, żeby wziął pod uwagę ciebie zamiast mnie, miałbyś co robić w wolnym czasie. Co ty na to?

– Panie komendancie... – Rebus zdawał się rozważać tę sugestię. Wóda i hazard: niezła kombinacja. Jego twarz się rozjaśniła: – Dobrze – powiedział – bardzo uprzejmie z pana strony.

– Zobaczę, co da się zrobić. Aha, jeszcze jedno.

– Tak, panie komendancie?

– Wybierasz się dziś wieczorem na przyjęcie u Malcolma Lanyona? Pamiętasz, że zaprosił nas w The Eyrie?

– Całkowicie o tym zapomniałem. Czy nie byłoby... stosowniej, gdybym trzymał się z dala?

– Wcale nie. Może ja sam nie zdołam tam zawitać, ale nie widzę powodu, dla którego ty nie miałbyś w tym uczestniczyć. Tylko ani słowa o... – Watson skinął w kierunku drzwi, a właściwie pokoju przesłuchań za nimi.

– Zrozumiałem, panie komendancie. Dziękuję.

– John?

– Tak?

– Nigdy więcej przy mnie nie przeklinaj, ani z szacunkiem, ani z cmoknięciem w dupę. Zrozumiałeś?

Rebus poczuł, że pąs oblewa mu twarz – wyraz nie złości, lecz wstydu.

– Tak jest, panie komendancie – powiedział i ruszył do wyjścia.

## HOLMES CZEKAŁ NIECIERPLIWIE W BIURZE REBUSA.

– Czego chciał?

– Kto? – Rebus był niezwykle nonszalancki. – Och, masz na myśli Watsona? Chciał mi powiedzieć, że zgłosił moje nazwisko do członkostwa w Finlay's.

– W klubie Finlay's? – Holmes osłupiał, tego się w ogóle nie spodziewał.

– Zgadza się. W moim wieku chyba zasługuję na rozrywkę w wielkomięjskim klubie, nie uważasz?

– Sam nie wiem.

– Aha, i jeszcze przypomniał mi o dzisiejszym przyjęciu u Malcolma Lanyona.

– U tego prawnika?

– We własnej osobie. – Rebus kępował Holmesa swoją przewagą i dobrze o tym wiedział. – Mam nadzieję, że byłeś zajęty, kiedy ja sobie gawędziłem.

– Słucham?

– Hyde i Jekyll, Brian. Poprosiłem cię o adresy.

– Mam tu listę. Nie za długa, dzięki Bogu. Domyślam się, że teraz mam robić za skórzane buty?

Rebus zrobił wielkie oczy.

– Bynajmniej, zakładałam, że masz lepsze rzeczy do roboty. Myślę, że to moja kolej na włożenie skórzanych butów.

– Ale... z całym szacunkiem, czy nie powinien pan się trzymać z dala od sprawy?

– Z całym szacunkiem, Brian, to nie jest twój cholerny interes.

REBUS PRÓBOWAŁ ZADZWONIĆ z domu do Gill, ale nie odbierała; bez wątpienia trzymała się z dala od wszelkiego zamętu. Kiedy ją wczoraj odwiózł, nie zaprosiła go do siebie, a od tamtej pory trwała grobowa cisza. No dobrze, pomyślał, nie zamierzam wykorzystywać jej przygnębienia... To dlaczego próbował się do niej dodzwonić? Oczywiście, że chciał to wykorzystać! Pragnął ją odzyskać.

Posprzątał salon, pozmywał naczynia i zabrał worek z brudnym praniem do lokalnej pralni. Obsługująca, pani Mackay, była oburzona czynem Caluma McCalluma.

– Przecie to gwiazda, a w głowie oleju ni ma!

Rebus uśmiechnął się i skinął głową.

Po powrocie do mieszkania zapadł się w fotelu i wziął do ręki książkę, mając świadomość, że i tak się nie skupi. Nie chciał, żeby Hyde wygrał, a on, trzymany z dala od sprawy, zapewni mu zwycięstwo, to nieuniknione. Wyjął z kieszeni kartkę. W Lothians nie było mieszkańców o nazwisku Jekyll, a Hyde'ów ledwie kilkunastu i przynajmniej ich mógł sprawdzić. A co, jeśli ten Hyde miał zastrzeżony numer? Poprosi Briana Holmesa o sprawdzenie. Sięgnął po telefon i już był w połowie wstukiwania numeru, gdy zdał sobie sprawę, że dzwoni do biura Gill.

Wstukał cyfry do końca. A w cholerę z tym, i tak jest niedostępna.

– Halo? – Głos Gill Templer był niewzruszony jak zawsze, ale znał tę sztuczkę, jak wszystkie jej sztuczki.

– Tu John.

– Cześć. Dzięki za podwiezienie do domu.

– Jak się masz?

– Dobrze, naprawdę. Po prostu czuję się trochę... Nie wiem, oszołomiona? Nie, to za mało powiedziane. Oszukana, to lepsze słowo.

– Spotkasz się z nim?

– Co? W Fife? Nie, nie sądzę. Nie chodzi o to, że nie mam odwagi stanąć z nim twarzą w twarz. Chcę konfrontacji. Tylko że gdy wejdę na komendę, wszyscy będą wiedzieć, kim jestem i po co tam jestem.

– Mógłbym pojechać tam z tobą, Gill.

– Dzięki, John. Może jutro albo pojutrze. Ale jeszcze nie teraz.

– Jasne. – Zdał sobie sprawę, że trzyma słuchawkę zbyt mocno, bolały go palce. Boże, wszystko go bolało. Czy Gill w tej chwili miała pojęcie, co on czuje? Nie potrafiłby tego wyrazić słowami, nie

zostały jeszcze wymyślone. Czuję, że jest blisko niej, a jednocześnie tak daleko jak dzieciak, który stracił swoją pierwszą dziewczynę.

- Dzięki za telefon, John. Doceniam to. Ale lepiej, żebyś...
- Oczywiście. W razie potrzeby masz mój numer. Daj o sobie znać.
- Pa, J...

Przerwał połączenie. Nie przytłacza jej, pomyślał. W ten sposób stracił ją za pierwszym razem. Nie wysuwaj żadnych przypuszczeń, ona tego nie lubi. Daj jej przestrzeń. Może popełnił błąd, dzwoniąc pierwszy. Kurwa mać.

Z całym szacunkiem.

Ta łasica o imieniu James. Ta mała łachudra. Wyrwałby mu głowę z ramion, gdyby go dorwał. Zastanawiał się, ile Hyde zapłacił temu gówniarzowi, na pewno znacznie więcej niż dwa banknoty dziesięciofuntowe.

Zadzwonił telefon.

- Rebus.
- John? To ja, Gill. Właśnie usłyszałam nowiny. Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?
- O czym ci miałem powiedzieć? – Udawał obojętność, wiedząc, że ona natychmiast to przejrzy.
- O tej skardze przeciwko tobie.
- A, to. Daj spokój, Gill, wiesz, że takie rzeczy się przytrafiają.
- Tak, ale dlaczego nic nie powiedziałeś? Dlaczego pozwoliłeś mi tak paplać?
- Nie paplałaś.
- Niech cię szlag! – Była teraz prawie we łzach. – Dlaczego wszystko chowasz przede mną w sekrecie? Co się z tobą dzieje?

Już miał wyjaśnić, ale połączenie się zerwało. Wpatrywał się tępo w słuchawkę, zastanawiając się, dlaczego nic jej nie powiedział. Bo miała własne zmartwienia? Bo się wstydził? Bo nie chciał współczucia bezbronnej kobiety? Powodów było dostatecznie dużo.

Prawda?

Oczywiście, ale nie poczuł się przez to lepiej. Dlaczego wszystko chowasz przede mną w sekrecie? Chować... Znów to słowo, chować jak Ronnie, który krył się przed Hyde'em. Przed bezosobowym człowiekiem bez twarzy. Rebus zaczynał go jednak dobrze poznawać. Przeciwnik był przebiegły, to nie ulegało wątpliwości. Ale czy uda mu się poskładać wszystkie luźne wątki razem, tak jak połączył Ronniego i Jamesa Carew, a teraz próbował poskładać Johna Rebusa? Zaczynał tracić nadzieję.

Telefon znowu zadzwonił.

- Rebus, słucham.
- Cześć, John, komendant Watson się kłania. Cieszę się, że zastałem cię w domu.
- Bo wiesz, że nie szlajam się po ulicy i nie sprawiam ci kłopotów, pomyślał Rebus.
- Tak, panie komendancie. Jakiś problem?
- Wręcz przeciwnie. Nadal przesłuchują tę męską prostytutkę, ale rozmowy toczą się pomyślnie. Dzwonię, bo byłem w kasynie.
- W kasynie?
- No wiesz, w Finlay's.
- Ach tak.

– Poinformowano mnie, że będziesz tam mile widziany zawsze, gdy zechcesz wpaść. Wystarczy, że powołasz się na Finlaya Andrewsa, to twój bilet.

– Dzięki za przysługę, panie komendancie.

– Nie ma za co. Szkoda, że musisz odłożyć na półkę tę sprawę samobójstwa. Prasa jest wszędzie, weszły za każdą drobiną brudu, jaką zdoła znaleźć. Ale robota, co?

– Cholerna.

– McCall odpowiada na ich pytania. Mam nadzieję, że nie opublikują jego zdjęcia. Nie jest zbyt fotogeniczny, co?

Słowa te, wypowiedziane przez Watsona oskarżycielskim tonem, wzbudziły poczucie winy u Rebusa. Miał zamiar przeprosić, ale Watson przykrył mikrofon ręką – prawdopodobnie zamieniając z kimś kilka słów – a kiedy znów zwrócił się do Rebusa, to tylko po to, by się pospieszenie pożegnać.

– Konferencja prasowa – rzucił.

Koniec rozmowy.

Rebus przez całą minutę wpatrywał się w słuchawkę. Jeśli ktoś jeszcze miał do niego dzwonić, niech dzwoni teraz. Rzucony aparat wylądował z hukiem na podłodze. Rebus skrycie liczył na to, że pewnego dnia się połamię i będzie mógł wrócić do starego typu telefonu, ale to cholerne badziewie było twardsze, niż wyglądało.

Otwierał właśnie książkę, kiedy rozległ się dźwięk pukania do drzwi. Stuk-stuk, stuk-stuk. A więc wizyta służbowa, a nie pani Cochrane rozszierzona widokiem nieumytej jeszcze klatki schodowej.

Za drzwiami stał Brian Holmes.

– Mogę wejść?

– Chyba tak. – Rebus nie czuł entuzjazmu, ale zostawił drzwi otwarte, by młody detektyw mógł wejść za nim do salonu, jeśli miał chęć. A że Holmes chęć miał, podreptał za Rebusem z udawaną serdecznością.

– Właśnie oglądałem mieszkanie w pobliżu Tollcross i pomyślałem, że...

– Daruj sobie wymówki, Brian, wiem, że mnie sprawdzasz. Siadaj i gadaj, co się działo podczas mojej nieobecności. – Rebus spojrział na zegarek, a Holmes usiadł. – Nieobecności, mówiąc ściśle, nieprzekraczającej dwóch godzin.

– Martwiłem się, to wszystko.

Krótko, prosto i na temat. Rebus spojrział na Holmesa. Może mimo wszystko mógłby się czegoś nauczyć od tego chłopaka.

– To nie jest rozkaz Farmera?

– Nie. I naprawdę tak się złożyło, że miałem mieszkanie do obejrzenia.

– I jak?

– Upiorne nie do opisanie. Kuchenka w salonie, prysznic w małej ubikacji. Brak łazienki, brak kuchni.

– Ile za nie chcieli? Nie, lepiej nie mów, to by mnie tylko przygnębiło.

– Mnie z pewnością przygnębiło.

– Zawsze możesz złożyć ofertę na moje mieszkanie, kiedy już mnie zapuszczają za napastowanie nieletniego.

Holmes spojrział w górę, zobaczył, że Rebus się uśmiecha, i wydał z siebie pełen ulgi pomruk.

– Bajeczka tego chłopaka już pęka w szwach.

– A w ogóle w to wątpię?

– Oczywiście, że nie. W każdym razie pomyślałem, że to poprawi panu humor. – Holmes wyciągnął dużą kopertę, dyskretnie schowaną w wewnętrznej kieszeni sztruksowej marynarki. Rebus nie widział tej marynarki wcześniej i przypuszczał, że to mundur młodego detektywa do poszukiwań mieszkania.

– Co to jest? – zapytał, przyjmując pakunek.

– Zdjęcia. Z wczorajszego nalotu. Pomyślałem, że mogą pana zainteresować.

Rebus otworzył kopertę i wyjął zestaw dziesięciu zdjęć formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Ukazywały mniej lub bardziej rozmyte sylwetki mężczyzn krążących po nieużytkach. Światło otaczające scenerię miało w sobie halogenową ostrość, rzucało ogromne czarne cienie i uwieczniało kredowobiałe twarze w stanie szoku i zaskoczenia.

– Skąd je masz?

– Detektyw Hendry przesłał je wraz z kartką z wyrazami współczucia dla Nell. Pomyślał, że to mnie rozweseli.

– Mówiłem ci, że to dobry chłopak. Masz pojęcie, która z tych gnid jest didżejem?

Holmes poderwał się z fotela i kucnął obok Rebusa.

– Na tym ujęciu nie – odparł. – Ale mam lepsze. – Przeglądał zestaw, aż znalazł zdjęcie, którego szukał. – Proszę bardzo. Ten to McCallum.

Rebus prześwidrował wzrokiem rozmytą podobiznę. Wyraz strachu na niewyraźnej twarzy był tak ewidentny, że mogłoby go narysować dziecko. Wytrzeszcz oczu, wargi rozwarte w literę O, ramiona zwieszane, jakby zamienił się w słup soli po gwałtownej ucieczce.

Rebus uśmiechnął się i ten uśmiech rozjaśnił mu oczy.

– Masz pewność, że to on?

– Rozpoznał go jeden z policjantów. Powiedział, że kiedyś McCallum dał mu autograf.

– No no, jestem pod wrażeniem, teraz już za wiele ich nie porozdaje. Gdzie go trzymają?

– Wszyscy, których aresztowali, poszli do paki w Dunfermline.

– Miło z ich strony. A tak przy okazji, złapali przywódców szajki?

– Wszystkich, wliczając w to Brightmana. On był szefem.

– Davy Brightman? Ten złomiarz?

– Ten.

– Grałem z tym bydlakiem kilka razy w piłkę nożną, kiedy byłem w szkole. On był lewym obrońcą w swojej drużynie, a ja grałem na skrzydle w naszej. W jednym meczu dał mi niezły wycisk.

– Zemsta jest słodka – powiedział Holmes.

– Otóż to, Brian. – Rebus znów patrzył na fotografię. – Otóż to.

– Właściwie kilku z nich uciekło, ale wszystkim zrobiono zdjęcia. Aparat nigdy nie kłamie, prawda, panie inspektorze?

Rebus zaczął przeglądać pozostałe zdjęcia.

– Potężne narzędzie. Aparat fotograficzny – skwitował. Nagle jego twarz się zmieniła.

– Wszystko w porządku, panie inspektorze?

– Właśnie doznałem objawienia, Brian. – Głos Rebusa zniżył się do szeptu. – Epifanii, tak się to określa, nie?

– Nie mam pojęcia. – Holmes był pewien, że nadmiar emocji uszkodził klepkę w głowie Rebusa.



– Epifania, tak. Wiem, do czego to wszystko prowadzi, Brian. Jestem święcie przekonany. Ten gnojek na Calton Hill mówił coś o zdjęciach, o jakichś zdjęciach, które budziły powszechne zainteresowanie. To zdjęcia Ronniego.

– Co takiego? Te z jego pokoju?

– Nie, nie te.

– Z pracowni Huttona?

– Niezupełnie. Nie wiem dokładnie, gdzie znajdują się te konkretne fotografie, ale mam cholernie dobry pomysł. Pamiętasz, jak Ronnie kazał Tracy się schować? Może wcale nie to miał na myśli! Może chciał jej powiedzieć, że schował te zdjęcia. Idziemy.

– Dokąd? – Holmes obserwował, jak Rebus zrywa się z krzesła i gna do drzwi. Zaczął zbierać zdjęcia, które inspektor wypuścił z rąk.

– Nieważne, idziemy – rzucił Rebus, wkładając marynarkę.

– Ale gdzie, do diabła?

– Właśnie sam odpowiedziałeś sobie na pytanie – odparł inspektor, odwracając się, by uśmiechnąć się do Holmesa. – Dokładnie tam.

– Gdzie?

– Do diabła, Holmes, do diabła.

ROBIEŁO SIĘ ZIMNO, umęczone słońce chowało się za chmurami o barwie różowego plastra na rany. Zanim zgasto, wystrzeliło dwa złociste promienie, które jaśniały pod skosem nad Pilmuir jak snopy wielkich latarek. Ale wybrało tylko jeden budynek, inne domy na ulicy pozostawiając nietknięte. Rebus wstrzymał oddech. Musiał przyznać, że widok jest zniewalający.

– Jak stajenka w Betlejem – powiedział Holmes.

– Cholernie dziwna stajenka – prychnął Rebus. – Bóg ma ironiczne poczucie humoru, zakładając, że to był jego żart.

– Mówił pan, że idziemy do diabła.

– Nie spodziewałem się, że Cecil B. DeMille będzie w to wmieszany. Co tam się dzieje?

Przed domem Ronniego stały furgonetka i ciężarówka, niemal ukryte w ostatnim tchnieniu słońca.

– Urząd miasta? – zasugerował Holmes. – Pewnie służba porządkowa czyści teren.

– Dłaczego, na Boga?

– Wielu ludzi potrzebuje mieszkań – odparł Holmes.

Ale Rebus już go nie słuchał. Zatrzymał samochód, wyszedł i ruszył do wejścia do squatu, obok którego stał kontener, napełniany właśnie odpadami z wnętrza. Ze środka dochodziły odgłosy uderzeń młotkiem. Z tyłu furgonetki robotnik popijał z plastikowego kubka, w drugiej ręce ścisnął termos.

– Kto tu rządzi? – zapytał Rebus.

Robotnik dmuchnął na zawartość kubka, po czym upił kolejny łyk.

– Chyba ja. – Spoglądał podejrzliwie przymrużonymi oczami; wyczuwał organy ścigania na kilometr. – To legalna przerwa na herbatę.

– Nieważne. Co tu robicie?

– Kto chce wiedzieć?

– Dochodzeniówka chce wiedzieć.

Spojrzał na twardą twarz Rebusa i natychmiast podjął decyzję.

– Dostaliśmy wiadomość, że mamy przyjechać i uporządkować to miejsce, żeby nadawało się do zamieszkania.

– Na czyje rozkazy?

– Nie wiem. Czyjeś. Po prostu bierzemy papier i idziemy robić swoje.

– Racja.

Rebus odwrócił się od mężczyzny i ruszył do drzwi wejściowych. Holmes uśmiechnął się przepraszająco do brygadzysty i podążył za inspektorem. W salonie dwóch robotników w kombinezonach i grubych czerwonych rękawicach gumowych bielilo ściany. Pentagram Charliego został już zakryty; jego zarys był ledwie widoczny przez zasychającą warstwę farby. Mężczyźni spojrzeli na Rebusa, potem na ścianę.

– Zakryjemy to kolejną warstwą – powiedział jeden z nich. – Nie martwcie się o to.

Rebus wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym opuścił salon, wszedł na piętro i skręcił do pokoju Ronniego. Inny robotnik, znacznie młodszy od tych dwóch na dole, zbierał nieliczne rzeczy zmarłego do dużego czarnego worka. Gdy Rebus wszedł do pokoju, złapał go na gorącym uczynku: chłopak upychał jedną z książek do kieszeni kombinezonu.

Rebus wskazał na książkę.

– Oho, następny krewny! Włóż tę książkę do worka razem z resztą.

Coś w jego tonie przekonało nastolatka do posłuszeństwa.

– Natknąłeś się jeszcze na coś ciekawego? – zapytał Rebus, podchodząc z rękami w kieszeniach do chłopaka.

– Nie, nic nie widziałem – odparł dzieciak z poczuciem winy.

– W szczególności – kontynuował Rebus, tak jakby nastolatek się wcale nie odezwał – na zdjęcia? Może na kilka, może na całą serię. Co?

– Nie. Nic takiego.

– Jesteś pewien?

– Jestem.

– Dobrze. Zejdź do furgonetki i przynieś łom czy co tam macie. Chcę podnieść te deski podłogowe.

– Że co?

– Słyszałeś mnie, synu. Zrób to.

Holmes tylko stał i patrzył w milczącym uznaniu. Rebus wydawał się rosnąć, stawał się szerszy, wyższy. Holmes nie potrafił do końca zrozumieć tej sztuczki: może to przez ręce w kieszeniach, przez sposób, w jaki łokcie wystawały na zewnątrz, przydając mu masy. Cokolwiek to było, zadziało. Młody robotnik potknął się, wychodząc z pokoju, i zszedł po schodach.

– Jest pan pewien, że gdzie tutaj będą? – wyszeptał Holmes. Starał się utrzymać ton głosu na odpowiednim poziomie, żeby nie zdradzić sceptycyzmu.

Ale Rebus był już po etapie wahania. W swoim umyśle miał już fotografie w dłoni.

– Jestem pewien, Brian. Instynkt gliniarza. Czuję je.

– Jest pan pewien, że nie łazienkę?

Rebus odwrócił się i spojrział na niego, jakby widział go po raz pierwszy.

– A może masz rację. Kto wie, może masz rację?

Holmes poszedł za inspektorem do łazienki. Gdy Rebus kopnął drzwi, smród uderzył w nozdrza obu mężczyzn, wyginając ich w konwulsyjnym ataku mdłości. Rebus wyciągnął z kieszeni chusteczkę,

przyłożył ją do twarzy i pochylił się do klamki, by pociągnąć za drzwi.

– Zapomniałem o uroku tego miejsca – powiedział. – Zaczekaj tu.

Wrócił z brygadzystą, plastikowym pojemnikiem na śmieci, łopatą i trzema małymi białymi maskami na twarz; jedną podał Holmesowi. Elastyczna opaska przytrzymała pysk z tektury na miejscu i Holmes zaczerpnął powietrza, testując maskę. Już miał skomentować, że odór nadal jest wyczuwalny, ale Rebus palcem otworzył drzwi, a brygadzysta skierował do łazienki światło przenośnej lampy przemysłowej i przekroczyli próg.

Rebus przytaszczył pojemnik na śmieci do brzegu wanny i zostawił go tam, nakazując gestem skierować do niej światło lamp. Zapiszczał tłusty szczur, przyłapany na uczcie w zgniętej zawartości wanny; jego czerwone oczy rozbłysły. Holmes omal nie wypadł tyłem z pomieszczenia. Rebus zamachnął się łopatą w dół i przeciął zwierzę na dwie połówki. Holmes wytoczył się z łazienki, uniósł maskę i zwrócił zawartość żołądka na wilgotną ścianę. Próbował zaczerpnąć powietrza, ale fetor był obezwładniający, mdłości powracały i wyzwały coraz gwałtowniejsze wymioty.

Kiedy zajął do środka, brygadzysta i Rebus wymienili uśmiechy, co Holmes rozpoznał po zmarszczkach na czole ponad maskami. Widzieli już gorsze rzeczy, o wiele gorsze. Żaden z nich nie zamierzał się ociągać, zabrali się więc za brudną robotę: brygadzysta trzymał lampę, a Rebus powoli wyrzucał zawartość wanny do pojemnika na śmieci. Z łopaty spływały obślizgłe ekskrementy, rozbryzgując mu się na koszuli i spodniach. Zignorował to, zignorował wszystko oprócz zadania, które miał do wykonania. W armii wykonywał brudniejsze roboty, znacznie brudniejsze, zwłaszcza podczas nieudanego szkolenia w SAS-ie. Ale tam to była rutyna; tutaj zadanie miało przynajmniej jakiś cel, nagrodę na mecie.

A w każdym razie taką miał nadzieję.

Holmes tymczasem wycierał grzbietem dłoni wilgotne oczy. Przez otwarte drzwi mógł obserwować postępy, niesamowite cienie rzucane przez lampę na ścianę i sufit. Patrzył, jak Rebus z głośnym plaskaniem napełnia pojemnik szambem. Przypominało to scenę z jakiegoś współczesnego Inferno Dantego, w którym brakowało tylko diabłów popędzających przeklętych robotników. Ale ci mężczyźni wyglądali jeśli nie na zadowolonych ze swojej pracy, to przynajmniej na... profesjonalistów. Dobry Boże, wszystko, czego Holmes pragnął, to mieszkanie, które mógłby nazwać swoim własnym, wakacje i od czasu do czasu porządny samochód. I Nell, oczywiście. Pewnego dnia bawiłaby ją ta historia. Ale teraz ostatnią rzeczą, na którą miał ochotę, był uśmiech.

Potem usłyszał przeraźliwy rechot. Rozejrzał się i dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że dobiega z łazienki, że to śmiech Johna Rebusa, który zanurzył rękę w fekaljach, po czym wyciągnął ją z czymś, co się do niej lepiło. Holmes nawet nie zauważył grubych gumowanych rękawic, które chroniły Rebusa aż po łokcie. Po prostu stanął plecami do drzwi i na trzęsących się nogach poczłapał na dół.

– Mam cię! – zawołał Rebus.

– Na zewnątrz jest wąż – odezwał się brygadzysta.

– Prowadź – powiedział Rebus, otrząsając pakunek z odchodów. – Prowadź dalej, Macduff.

– Nazywam się MacBeth – sprostował brygadzysta, kierując się w stronę schodów.

Na chłodnym świeżym powietrzu, opierając się o frontową ścianę domu, oplukiwali wodą znaleźisko. Rebus przyjrzał się mu dokładnie. W czerwonej reklamówce, jak ta ze sklepu muzycznego, był pakunek owinięty materiałem, koszulą lub czymś podobnym. Całość została oklejona taśmą klejącą, a następnie mocno przewiązana pośrodku sznurkiem.

– Sprytny z ciebie dzieciak, Ronnie – powiedział do siebie Rebus, unosząc paczkę – sprytniejszy, niż mogliby przypuszczać.

Przy furgonetce zrzucił gumowe rękawice, uściśnął dłoń brygadzysty, wymienił z nim nazwy miejscowych pubów i obiecał postawić mu wyborny trunek któregoś wieczoru w bliżej nieokreślonej przyszłości. Potem skierował się do samochodu, a Holmes popędził za nim. Przez całą drogę powrotną do mieszkania Rebusa Holmes ani razu nie odważył się zasugerować, żeby otworzyli okno i wpuścili trochę świeżego powietrza.

Rebus był niczym dziecko w urodzinowy poranek, właśnie odkrywające swoją niespodziankę. Przytulił paczkę do siebie, jeszcze bardziej plamiąc koszulę, jakby chciał się nacieszyć, zanim ją otworzy. Teraz, gdy już ją miał, mógł poczekać z poznaniem owocu epifanii.

To się stanie, tylko to się liczyło.

KIEDY DOTARLI DO MIESZKANIA, nastrój Rebusa zmienił się gwałtownie. Gdy inspektor pobiegł do kuchni po nożyczki, Holmes przeprosił, poszedł do łazienki i dokładnie wyszorował ręce, odsłonięte ramiona i twarz. Śwędziła go skóra głowy i żałował, że nie może spędzić pod prysznicem dwóch godzin albo chociaż jednej.

Wychodząc z łazienki, złowił uchem dźwięk dobiegający z kuchni. Było to przeciwieństwo śmiechu, który słyszał wcześniej, coś jak jęk skargi, zawodzący lament. Ruszył do kuchni i zobaczył tam Rebusa, który stał z pochyloną głową i rękami opartymi o blat, jakby opadł z sił i ledwo się podpierał. Przed nim leżała otwarta paczka.

– John? – pozwolił sobie na poufałość Holmes. – Co się stało?

Głos Rebusa był miękki, nagle zmęczony.

– To tylko zdjęcia z cholernego meczu bokserskiego. To wszystko. Tylko cholerne zdjęcia sportowe. Holmes zrobił powoli parę kroków, obawiając się, że hałas i ruch mogą całkowicie złamać Rebusa.

– Może – zerknął ponad opadniętym ramieniem Rebusa – może ktoś jest w tłumie, na widowni. Jednym z widzów może być ten Hyde.

– Widzowie są tylko plamą, spójrz.

Holmes spojrzał. Fotografii było kilkanaście. Dwóch zawodników wagi piórkowej, niepałających do siebie miłością, walczyło na ringu. W tym pojedynku nie było nic subtelnego, ale też nic niezwykłego.

– Może to klub bokserski Hyde’a.

– Może – rzucił Rebus, nie przejmując się już tym.

Był tak pewny, że znajdzie klucz do rozwiązania zagadki, że fotografie będą ostatnim – decydującym – elementem układanki. Dlaczego zostały schowane tak starannie, tak sprytnie? Dlaczego Ronnie je chronił? Musiał być jakiś powód.

– Może... – odezwał się Holmes, który znów zaczynał być irytujący – może coś nam umyka. Szmata, w którą są owinięte, koperta...?

– Co za cholernie tępa uwaga! – Rebus trzasnął ręką o blat stołu i natychmiast się uspokoił. – Przepraszam. Jezu, przepraszam.

– Nie ma sprawy – powiedział zimno Holmes. – Może zrobię kawę... a potem weźmiemy pod lupę te fotki, dobrze?

– Tak – rzucił Rebus, podnosząc się. – Dobry pomysł. – Ruszył do drzwi. – Idę wziąć prysznic. – Odwrócił się i uśmiechnął. – Muszę cuchnąć jak diabli.

– Bardzo farmerski zapach, panie inspektorze – odparł Holmes, również się uśmiechając.

Rozbawiło ich odniesienie do Farmera Watsona. Rebus poszedł do łazienki, Holmes zabrał się do robienia kawy, zazdrosny o przyjemne odgłosy ciekącej wody dochodzące z łazienki. Kolejny raz prześledził wzrokiem zdjęcia, tym razem z bliska i uważniej, mając nadzieję dojrzeć coś, czym mógłby zaimponować Rebusowi, żeby trochę go pocieszyć.

Bokserzy byli młodzi, zostali sfotografowani z ringu lub z miejsca w jego pobliżu. Fotograf – przypuszczalnie Ronnie McGrath – nie użył lampy błyskowej; zdał się na zadymione światła nad ringiem. W rezultacie ani bokserzy, ani publiczność nie dali się rozpoznać jako odrębne postacie; ich twarze były ziarniste, a kontury rozmazane przez ruch i długi czas naświetlania. Dlaczego fotograf nie użył lampy błyskowej?

Na jednym ze zdjęć prawa strona kadru była ciemna, jakby odcięta pod kątem przez coś, co przeszkadzało obiektywowi. Co to? Przechodzący widz? Czyjaś kurtka?

Wtem Holmesa uderzyło z nagłą jasnością: przeszkodą była kurtka fotografa albo inne odzienie wierzchnie, bo zdjęcia były robione ukradkiem, spod kurtki. Tłumaczyłoby to słabą jakość i krzywe kadry większości z nich. Musiały więc powstać z jakiegoś powodu i prawdopodobnie była na nich wskazówka, której Rebus poszukiwał. Teraz ich zadaniem było tylko odkryć, co to za wskazówka.

Odgłosy ciekącej wody zamieniły się w kapanie, a potem zupełnie ucichły. Po chwili Rebus wyszedł z łazienki z ręcznikiem, który owinął wokół brzucha, i zniknął w sypialni, żeby się ubrać. Balansował z jedną stopą nad nogawką spodni, kiedy Holmes wpadł do środka, wymachując fotografiami.

– Chyba mam! – wrzasnął w niebogłosy.

Rebus spojrzał w górę, zaskoczony, po czym wciągnął spodnie.

– Tak – rzucił. – Myślę, że ja też to rozpracowałem. Przyszło mi to do głowy pod prysznicem.

– Och...

– Przynies nam kawę – powiedział Rebus. – Sprawdźmy w salonie, czy rozszyfrowaliśmy to samo. Dobrze?

– Zgoda. – Holmes zastanawiał się kolejny raz, dlaczego wstąpił do policji, skoro było wiele innych, bardziej satysfakcjonujących możliwości zrobienia kariery.

Kiedy dotarł do salonu i postawił dwa kubki kawy, Rebus chodził w tę i w tę ze słuchawką telefonu przyciśniętą do ucha.

– Tak – rzucił. – Poczekam. Nie, nie oddzwonię. Powiedziałem, że poczekam. Dziękuję.

Biorąc kawę od Holmesa, przewrócił oczami, okazując niedowierzanie z powodu poziomu głupoty osoby po drugiej stronie linii.

– Kto to? – wyszeptał bezgłośnie Holmes.

– Urząd miasta – odparł głośno Rebus. – Dostałem od Andrew nazwisko i numer wewnętrzny.

– Kto to jest Andrew?

– Andrew MacBeth, ten brygadzysta. Chcę się dowiedzieć, kto upoważnił go do sprzątania budynku. Dziwny zbieg okoliczności, nie sądzisz? Prace porządkowe akurat w momencie, gdy mieliśmy zamiar trochę poszperać. – Skupił uwagę na słuchawce: – Tak? Właśnie tak. Aha, rozumiem. – Spojrzał na Holmesa, lecz jego oczy niczego nie zdradzały. – Jak to się mogło stać? – Posłuchał ponownie. – No tak, rozumiem. Owszem, zgadzam się, to trochę dziwne. Ale takie rzeczy się zdarzają? Hm... Niech żyje komputeryzacja. Mimo wszystko dziękuję za pomoc.

Wcisnął przycisk, przerywając połączenie.

– Przypuszczam, że wyłapałeś sedno.

– Nie mają żadnych danych na temat tego, kto zezwolił na wywózkę?

– Zgadza się, Brian. Dokumentacja jest w porządku, ale brakuje drobnostki... podpisu. Nie mogą tego zrozumieć.

– Jakies pismo odręczne, na którym można się oprzeć?

– Papier, który pokazał mi Andrew, był maszynopisem.

– Więc co pan chce przez to powiedzieć?

– Pan Hyde wydaje się mieć przyjaciół wszędzie. W zarządzie miasta, ale pewnie też w policji. Nie wspominając o kilku mniej moralnie akceptowalnych instytucjach.

– Co teraz?

– Zdjęcia. Co tam jeszcze znalazłeś?

Uważnie zagłębiali się w każdy kadr, nie spiesząc się, zwracając uwagę na to czy tamto rozmycie lub szczegół, weryfikując wzajemnie swoje spostrzeżenia. Robota była żmudna. Rebus nie przestawał mamrotać do siebie ostatnich słów Ronniego McGratha do Tracy, które najwyraźniej były kluczem do wszystkiego. Potrójne znaczenie: schowaj się, schowałem zdjęcia i jeszcze ten Hyde. Takie sprytne, takie treściwe, nawet zbyt sprytne jak na Ronniego. A może nie zdawał sobie sprawy z tych wszystkich znaczeń.

Po dziewięćdziesięciu minutach Rebus rzucił na podłogę ostatnią fotografię. Holmes na wpół siedział, na wpół leżał na kanapie, pocierając czoło jedną ręką, podczas gdy w drugiej trzymał jedno ze zdjęć, ale jego oczy nie chciały się już skupić.

– To nie ma sensu, Brian. W ogóle nie ma sensu. Nie potrafię znaleźć sensu w żadnym z nich, a ty?

– Niewiele – przyznał Holmes. – Ale załóżę się, że Hyde bardzo chciał zdobyć te zdjęcia.

– Czyli?

– Czyli, że wie o ich istnieniu, ale nie wie, jak bardzo są nędzne. Myśli, że pokazują coś, czego nie pokazują.

– Tak... ale co? Powiem ci coś: Ronnie McGrath miał siniaki na ciele.

– Nic dziwnego, skoro ktoś zrzucił jego ciało ze schodów.

– Nie, on już wtedy nie żył. Siniaki miał już wcześniej. Jego brat je zauważył, Tracy zauważyła, ale nikt o nic nie pytał. Ktoś powiedział mi coś o brutalnych zabawach z chłopakami; może nie chodziło tylko o sadystyczne igraszki, może właśnie to miał na myśli.

– Mecz bokserski?

– Nielegalne walki. Dwójka niedopasowanych wagowo dzieciaków, tłukących się do nieprzytomności.

– Ale dlaczego?

Rebus wpatrywał się w ścianę, szukając słowa, którego mu brakowało. Potem zwrócił się do Holmesa:

– Z tego samego powodu, dla którego urządzane są walki psów. Dla, nomen omen, kopa.

– To wszystko brzmi niesłychanie.

– Bo to jest niesłychane. W tej chwili mam taki mętlik w głowie, że mógłbym uwierzyć, że na Księżycu znaleziono bombowce. – Rebus przeciągnął się. – Która godzina?

– Już prawie osma. Nie powinien pan iść na przyjęcie do Malcolma Lanyona?

- Jezu! – Rebus poderwał się na nogi. – Jest późno, zapomniałem o tej imprezie.
- Nie będę przeszkadzał, proszę się przygotować. Nie zrobimy z tym wiele. – Holmes wskazał ręką zdjęcia. – A ja powinienem odwiedzić Nell.
- Tak, tak, idź, Brian... – Rebus zawiesił głos. – I dziękuję.
- Holmes uśmiechnął się i wzruszył ramionami.
- Jeszcze jedno – rzucił Rebus.
- Tak?
- Nie mam czystej marynarki. Mogę pożyczyć twoją?

NIE BYŁA DOSKONAŁE DOPASOWANA, rękawy trochę za długie, w klatce piersiowej za wąska, ale też nie prezentował się źle. Rebus starał się zachować pozory swobody, gdy stanął na progu domu Malcolma Lanyona. Drzwi otworzyła ta sama olśniewająca kobieta o orientalnej urodzie, która była u boku Lanyona w The Eyrie, tym razem ubrana w czarną sukienkę z głębokim dekoltem, która odsłaniała niemal całe uda. Uśmiechnęła się do Rebusa, rozpoznając go, a przynajmniej udając, że rozpoznaje.

- Zapraszam.
- Mam nadzieję, że się nie spóźniłem.
- Ależ nie, przyjęcia u Malcolma nie odbywają się według zegara. Goście przychodzą i wychodzą, kiedy mają ochotę. – Jej głos miał chłodny wydźwięk, ale nie był nieprzyjemny.
- Rebus spojrzął ponad jej ramieniem i z ulgą dostrzegł kilku mężczyzn w garniturach albo w sportowych marynarkach. Osobista asystentka Lanyona (Rebus zastanawiał się, jak bardzo osobista) zaprowadziła go do jadalni, gdzie za stołem zastawionym butelkami i szklankami stał barman.
- Dzwonek do drzwi zadzwonił ponownie. Dziewczyna dotknęła ramienia Rebusa.
- Proszę mi wybaczyć – powiedziała.
- Oczywiście. – Spojrzała na barmana. – Gin z tonikiem. – Szybko się odwrócił i zobaczył, jak kobieta sunie z gracją przez duży hol w kierunku drzwi wejściowych.
- Cześć, John. – Tym razem znacznie mocniejsza ręka klepnęła Rebusa w ramię. Należała ona do Tommy’ego McCalla.
- Cześć, Tommy. – Rebus przyjął drinka od barmana.
- McCall podał pustą szklankę do uzupełnienia.
- Świetnie, że wpadłeś – rzucił. – Dziś nie jest tak gwarno jak zwykle, towarzystwo jest nieco stonowane.
- Stonowane? – To prawda, wokół nich toczyły się raczej ciche rozmowy. Rebus zauważył kilka czarnych krawatów.
- Przyszedłem tylko dlatego, że pomyślałem, że James by sobie tego życzył.
- Oczywiście. – Rebus pokiwał głową. Zapomniał już o samobójstwie Jamesa Carew. Chryste, zdarzyło się dopiero dziś rano, a wydawało się, że całe wieki temu. A wszyscy ci ludzie byli przecież przyjaciółmi lub znajomymi Carew. Rebusowi zadrgały nozdrza.
- Czy w ostatnim czasie był przygnębiony? – zapytał.
- Nieszczęśliwie. Dopiero co kupił sobie nowy samochód, pamiętasz? Czegoś takiego raczej nie robi człowiek pogrążony w depresji!
- Przypuszczam, że nie. Dobrze go znałeś?

– Nie sędzę, żeby ktokolwiek z nas dobrze go znał. Trzymał się raczej z dala, zajęty swoimi sprawami. I oczywiście wiele czasu spędzał poza miastem, czasem w interesach, czasem w swojej posiadłości.

– Nie był żonaty, prawda?

Tommy McCall popatrzył na niego, po czym wziął duży łyk whisky.

– Nie – odparł. – Nie sędzę, żeby kiedykolwiek był. W pewnym sensie to błogosławieństwo.

– Tak, wiem, co masz na myśli – skwitował Rebus, czując łagodność ginu w organizmie. – Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego to zrobił.

– To zawsze są ci cisi, wiesz? Malcolm właśnie to mówił kilka minut temu.

Rebus rozejrzał się.

– Nie widziałem jeszcze naszego gospodarza.

– Chyba jest w salonie. Oprowadzić cię?

– Tak, czemu nie?

– To całkiem niezła miejscówka. – McCall zerknął na Rebusa. – Chcesz zacząć na górze w sali bilardowej czy na dole przy basenie?

Rebus roześmiał się i potrząsnął pustą szklanką.

– Myślę, że pierwszym miejscem do odwiedzenia jest bar, prawda?

DOM BYŁ OSZAŁAMIAJĄCY, tak że Rebusowi zabrakło tchu i słów, by go opisać. Przez myśl przebiegł mu biedny Brian Holmes. Uśmiechnął się. A jednak obaj jesteśmy biedni, synu, pomyślał. Goście byli sympatyczni; niektórych rozpoznał po twarzy, innych po nazwisku, kilku po reputacji, a wielu po nazwach firm, którymi zarządzali. Ale po gospodarzu nie było śladu, mimo że obecni twierdzili, że rozmawiali z nim „przed chwilą”.

Później, gdy Tommy McCall stawał się coraz bardziej hałaśliwy i pijany, Rebus, który sam już chwycenie stał na nogach, postanowił ponownie zwiedzić dom, tym razem w pojedynkę. Na pierwszym piętrze znajdowała się biblioteka, na którą pobieżnie rzucił okiem podczas pierwszego obchodu. Stało tam eleganckie biurko, któremu postanowił przyrzeć się bliżej. Na półpiętrze rozejrzał się, ale wszyscy goście pozostali na dole; kilku włożyło nawet stroje kąpielowe i wylegiwało się przy (lub w) długim na siedem metrów podgrzewanym basenie w piwnicy.

Przekręcił ciężką mosiężną klamkę i wślizgnął się do słabo oświetlonej biblioteki. W powietrzu unosił się zapach starej skóry, który przeniósł Rebusa w przeszłe dziesięciolecia – powiedzmy lata dwudzieste, a może trzydzieste. Na biurku stała lampka oświetlająca jakieś papiery. Był już przy biurku, gdy zdał sobie z czegoś sprawę: lampka nie była zapalona podczas jego pierwszej wizyty. Odwrócił się i zobaczył Lanyona stojącego pod przeciwległą ścianą, z rękami skrzyżowanymi na piersi i grymasem uśmiechu na twarzy.

– Inspektorze – powiedział, głosem równie wytwornym jak jego szyty na miarę garnitur – cóż za interesująca marynarka. Saiko powiedziała mi, że pan przyjechał.

Lanyon podszedł powoli i wyciągnął rękę. Rebus ujął ją i odwzajemnił mocny uścisk.

– Mam nadzieję, że nie jestem... – zaczął. – Chciałem powiedzieć, miło z pana strony...

– Czy komendant się pojawi?

Rebus wzruszył ramionami, czując ucisk marynarki na plecach.



– Nie? Trudno – rzucił Lanyon. – Widzę, że podobnie jak ja jest pan bibliofilem. – Spojrzał na półki z książkami. – To moje ulubione pomieszczenie w całym domu. Nie wiem, dlaczego zawracam sobie głowę organizowaniem przyjęć. Oczekuje się tego ode mnie, jak przypuszczam, i dlatego to robię. Oczywiście interesujące jest również odnotowywanie tego, kto z kim rozmawia, czyja ręka ściska czyjeś ramię zbyt czule i tak dalej.

– Niewiele stąd widać – zauważył Rebus.

– Owszem, ale Saiko wszystko mi mówi. Jest wspaniała w wyłapywaniu tego typu rzeczy, bez względu na to, jak subtelni próbują być ludzie. Na przykład wspomniała mi o pana marynarce. Beżowa, powiedziała, sztruksowa, nie pasuje do reszty pana garderoby i nie jest całkiem dopasowana do pana figury. A więc pożyczona, mam rację?

Rebus zaklaskał cicho.

– Brawo! Pewnie dlatego jest pan tak doskonałym prawnikiem.

– Ależ nie, to dzięki latom nauki stałem się dobrym prawnikiem. Ale żeby być znanym prawnikiem... cóż, to wymaga kilku prostych sztuczek imprezowych, takich jak ta, którą właśnie panu pokazałem.

Lanyon przeszedł obok Rebusa i zatrzymał się przy biurku. Przejrzał papiery.

– Czy zainteresowało pana coś szczególnego?

– Nie – odpowiedział Rebus. – Tylko ta biblioteka.

Lanyon zerknął w jego stronę, uśmiechając się. Nie do końca mu uwierzył.

– W domu są ciekawsze pomieszczenia, ale te trzymam pod kluczem.

– Tak?

– Nikt nie chce się przechwalać publicznie prywatną kolekcją obrazów czy podobnymi rzeczami.

– Ach tak, rozumiem.

Lanyon zasiadł przy biurku i włożył okulary ze szklami w kształcie półksiężyców. Wyglądał na zainteresowanego dokumentami, które miał przed sobą.

– Jestem wykonawcą testamentu Jamesa Carew – oznajmił. – I właśnie próbuję coś ustalić, a mianowicie: kto zgarnie jego niemały majątek.

– Paskudna sprawa.

Lanyon przez chwilę wydawał się nie rozumieć, ale w końcu skinął głową.

– Tak, tak, istotnie tragiczna.

– Więc był pan z nim w bliskich relacjach?

Lanyon uśmiechnął się, jakby wiedział, że to samo pytanie zostało zadane już kilku osobom na przyjęciu.

– Znałem go dość dobrze – przyznał.

– Wiedział pan, że był gejem?

Rebus liczył na odpowiedź. Nie otrzymał jej jednak, przeklął więc siebie, że zagrał swoją atutową kartą zbyt wcześnie.

– Oczywiście – odparł w końcu Lanyon tym samym spokojnym głosem. – Nie uważam tego za przestępstwo.

– Wszystko zależy od kontekstu.

– Jak mam to rozumieć?

– Jako prawnik musi pan wiedzieć, że nadal istnieją pewne prawa.

– Tak, oczywiście. Ale mam nadzieję, że nie imputuje pan, że James był zamieszany w coś nikczemnego.

– Jak pan uważa, dlaczego Carew się zabił? Byłbym wdzięczny za pana profesjonalną opinię, panie Lanyon.

– Był moim przyjacielem. Opinie zawodowe się nie liczą. – Lanyon wpatrywał się w ciężkie kotary przed biurkiem. – Nie wiem, dlaczego popełnił samobójstwo. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek się dowiemy.

– Nie zakładałbym się o to – powiedział Rebus, podchodząc do drzwi. Zatrzymał się z ręką na kłamce. – Byłbym zainteresowany informacją, kto zgarnie jego majątek, oczywiście po tym, jak zostanie to ustalone.

Lanyon milczał. Rebus otworzył drzwi, wyszedł, zamknął je za sobą, zatrzymał się na półpiętrze i zaczął oddychać głęboko. Niezły występ, pomyślał. Ale wart dobrego ginu. Tym razem wznosił toast – w milczeniu – za pamięć Jamesa Carew.

ROLA NIAŃKI NIE BYŁA jego ulubionym zajęciem, ale od początku wiedział, że do tego dojdzie.

Tommy McCall śpiewał z tyłu samochodu piosenkę o rugby, podczas gdy Rebus machał pospiesznie na pożegnanie stojącej w progu Saiko. Udało jej się nawet uśmiechnąć. No cóż, w końcu robił jej przysługę, po cichu usuwając głośnego pijaka z przyjęcia.

– Czy jestem aresztowany, John?! – krzyknął McCall, przerywając przysięwki.

– Nie, a teraz się zamknij, na miłość boską!

Rebus wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Obejrzał się po raz ostatni i zobaczył, jak Lanyon dołącza do Saiko na progu. Informowała go zapewne o aktualnych wydarzeniach, a on nadstawiał ucha i przytakiwał. Rebus widział go po raz drugi od czasu ich konfrontacji w bibliotece. Zwolnił hamulec ręczny, wyjechał z miejsca parkingowego i dodał gazu.

– TUTAJ W LEWO, POTEW W PRAWO.

Tommy McCall za dużo wypił, ale jego zmysł orientacji w terenie wydawał się nienaruszony. Rebus miał jednak dziwne przeczucie...

– Tą drogą do końca, ostatni dom na rogu.

– Przecież tu nie mieszkasz – zaprotestował Rebus.

– No jasne, detektywie inspektorze. Tu mieszka mój brat. Pomyślałem, że wpadniemy na głębszego, zanim pójdziemy lulu.

– Jezu, Tommy, nie możesz tak po prostu...

– Bzdury! Będzie zachwycony naszą wizytą.

Gdy Rebus zajechał przed dom, wyrzwał przez boczną szybę i z ulgą zobaczył, że salon Tony'ego McCalla jest nadal oświetlony. Nagle ręka Tommy'ego przesunęła się przed jego oczami i nacisnęła klakson; przesywający dźwięk zakłócił cichą noc. Rebus odepchnął rękę i Tommy opadł na swoje miejsce, ale zdążył narobić dość rabanu. W salonie McCallów poruszyły się zasłony, a chwilę później otworzyły się boczne drzwi i wyszedł z nich Tony McCall, spoglądając nerwowo za siebie. Rebus opuścił szybę.

– John? – Tony McCall wydawał się zaniepokojony. – O co chodzi?

Zanim Rebus zdążył wyjaśnić, Tommy wywlekł się z samochodu i uściskał brata.

– To moja wina, Tony. Moja bardzo wielka wina. Chciałem cię tylko zobaczyć. Pardon, mój drogi bracie.

Tony McCall trafnie odczytał sytuację, zerknął na Rebusa, jakby chciał powiedzieć: „Nie mam ci za złe”, po czym zwrócił się do brata:

– Bardzo miło z twojej strony, Tommy, dawno się nie widzieliśmy. Lepiej wejdz.

Tommy McCall popatrzył na Rebusa.

– Widzisz? Mówiłem ci, że Tony będzie zachwycony wizytą. U niego każdy jest mile widziany.

– Ty też lepiej wejdz, John – powiedział Tony.

Rebus skinął głową z niezadowolaniem.

Tony poprowadził ich przez hol do salonu. Dywan był gruby i ugiął się pod stopami, a meblowanie przywodziło na myśl sterylne sklepowe wystawy. Rebus bał się usiąść, w obawie że wgniecie którąś ze starannie ułożonych poduszek. Tommy jednak od razu zapadł się w fotelu.

– Gdzie maluchy? – zapytał.

– W łóżku – odpowiedział Tony cicho.

– Ej, w takim razie je obudz. Powiedz, że przyszedł wujek Tommy.

Tony zignorował słowa brata.

– Nastawię wodę – rzucił.

Oczy Tommy’ego już się zamykały, ręce opadały mu po obu stronach fotela. Rebus przyjrzał się dokładnie wnętrzu, kiedy Tony był w kuchni. Dekoracji nie brakowało: na całej długości kominka, na wolnych powierzchniach dużej szafki ściennej i na stoliku do kawy stały małe gipsowe figurki, mieniące się szklane durnostojki, pamiątki z wakacji. Podłokietniki i oparcia foteli i kanapy były zabezpieczone przed zabrudzeniem. Cały pokój robił wrażenie zajętego i niespokojnego, a relaks w nim wydawał się niemal niemożliwy. Rebus zaczął rozumieć, dlaczego Tony McCall wybrał się na spacer do Pilmuir w dzień wolny od pracy.

Zza drzwi wyjrzała głowa kobiety. Jej usta były cienkie i proste, oczy czujne, ciemne. Wpatrywała się w drzemiącego szwagra, ale po chwili dostrzegła Rebusa i uśmiechnęła się. Drzwi otworzyły się nieco szerzej, ukazując szlafrok. Kiedy kobieta się odezwała, jej głos brzmiał tak, jakby niewidzialna dłoń zacisnęła się mocno na jej gardle.

– Jestem Sheila, żona Tony’ego.

– Dobry wieczór, John Rebus. – Chciał wstać, próbował się podeprzeć, ale ręka się zachwiała i opadł z powrotem na fotel.

– Tak, wiem – powiedziała. – Tony o panu opowiadał. Pracujecie razem, prawda?

– Owszem.

– Tak. – Patrzyła to na jednego mężczyznę, to na drugiego, ostatecznie skupiła się na Tommym McCallu. Jej głos zaczął się sypać jak wilgotna stara tapeta. – Niech pan na niego spojrzy. Brat, któremu się powiodło, własny biznes, duży dom. Niech pan tylko na niego spojrzy.

Rebus odniósł wrażenie, że zaraz zacznie kazanie o niesprawiedliwości społecznej, ale przerwał jej mąż, który przeciskał się obok, niosąc tacę.

– Nie musisz wstawać, kochanie – powiedział.

Jej wzrok padł na tacę.

– Zapomniałeś o cukrze.

– Nie słodzę – odparł Rebus.

Tony nalewał herbatę z dzbanka do dwóch filiżanek.

– Najpierw mleko, Tony, potem herbata – poinformowała go żona, ignorując słowa Rebusa.

– A co za różnica, Sheila – prychnął Tony. Podał filiżankę koledze.

– Dzięki.

Stała przez parę sekund, obserwując obu mężczyzn, po czym przejechała ręką po przodzie szlafroka.

– Dobranoc.

– Dobranoc – powiedział Rebus.

– Postaraj się nie siedzieć zbyt długo, Tony.

– Dobrze, Sheila.

Popijali herbatę i wsluchiwali się, jak kobieta idzie na górę po schodach. Kiedy weszła do sypialni, Tony McCall odetchnął.

– Przepraszam za to – rzucił.

– Za co? Gdyby para pijaków weszła do mojego domu o tej porze, nie chciałbyś usłyszeć, jak bym ich przyjął! Myślę, że twoja żona zachowała niezwykle spokój.

– Sheila zawsze jest nadzwyczaj spokojna. Na zewnątrz.

Rebus ruchem głowy wskazał Tommy'ego.

– A co z nim?

– Nic mu nie będzie, niech zostanie, gdzie jest, i się wyśpi.

– Jesteś pewien? Mogę go zabrać do domu, jeśli...

– Nie, nie. Chryste, John, to mój brat. – Tony spojrzał na Tommy'ego. – Nie uwierzyłyś, jakie numery wywijaliśmy, gdy byliśmy dziećmi. Sąsiedzi byli przerażeni na samą myśl o naszych wybrykach. Głuche telefony, rozpalanie ognisk, wrzucanie piłki przez czyjeś okno. Byliśmy jak małe dzikusy. A teraz? Teraz go już nie widuję, chyba że w takiej postaci.

– To znaczy, że już ci wykręcał takie numery?

– Kilka razy. Przyjeżdża taksówką, ląduje w hotelu. A kiedy budzi się rano, nie wierzy, gdzie jest. Zjada śniadanie, daje dzieciom kilka funtów i wyjeżdża. Nigdy później nie dzwoni ani nas nie odwiedza. A potem znów pewnej nocy słyszymy, że taksówka stoi na zewnątrz, i *voilà*, Tommy znów tu jest.

– Nie zdawałem sobie sprawy.

– Ach, nie wiem, dlaczego ci to mówię, John, w końcu to nie twój problem.

– Nie mam nic przeciwko słuchaniu.

Ale Tony McCall nie chciał brnąć dalej.

– Jak ci się podoba ten salon? – zapytał.

– Ładny – skłamał Rebus. – Włożyliście dużo pracy w jego urządzenie.

– Tak. – McCall nie był przekonany. – I dużo pieniędzy. Widzisz te małe szklane pierdółki? Nie uwierzyłyś, ile kosztowały.

– Aż tyle?

McCall rozglądał się po salonie, jakby to on był gościem.

– Witaj w moim życiu – powiedział w końcu. – Wolałbym celę w areszcie. – Wstał nagle i podszedł do śpiącego w hotelu Tommy'ego, po czym ukucnął przed bratem, którego jedno oko było otwarte, ale zaszkłone od snu.

– Ty mały gnoju – wyszeptał Tony. – Ty gnojku, ty gnojku. – Pochylił głowę, by nie pokazać łez.

ROBIŁO SIĘ JUŻ JASNO, kiedy Rebus przemierzał siedem kilometrów dzielących go od Marchmont. Zatrzymał się w całonocnej piekarni i kupił ciepłe bułki oraz schłodzone mleko. O tej porze najbardziej lubił miasto, spokojną przyjazność wczesnego poranka. Zastanawiał się, dlaczego ludzie nie potrafią cieszyć się z własnego losu. Mam wszystko, czego nigdy nie chciałem... A to za mało. Zapragnął jedynie zapaść w głęboki sen, dla odmiany w swoim łóżku, a nie w fotelu. W jego umyśle wciąż powtarzała się ta scena: Tommy McCall martwy dla świata, ślina na brodzie, Tony McCall kucający przed nim, drżący z emocji. Mieć brata to straszna rzecz. Odwieczny konkurent, a jednak nie można go nienawidzić, nie nienawidząc samego siebie. Przed oczami Rebusa przesuwały się też inne obrazy: Malcolm Lanyon w swoim gabinecie, Saiko stojąca w drzwiach, James Carew martwy w łóżku, posiniaczona twarz Nell Stapleton, poobijany tors Ronniego McGratha, stary Vanderhyde ze swoimi niewidzącymi oczami, strach w oczach Caluma McCalluma, Tracy i jej małe pięści...

*Jestem największym grzesznikiem, będę też największym pokutnikiem.*

Carew skądś ukradł ten cytat... tylko skąd? Kogo to obchodzi, John, kogo to obchodzi? Byłaby to tylko kolejna przeklęta nić, a tych już nie brakowało, splątanych w nieprzeniknioną całość. Wracaj do domu, prześpij się, zapomnij.

Jedno było pewne: będzie miał przedziwne sny.

# **SOBOTA**

*Lub jeśli taki będzie pański wybór, nowy obszar wiedzy, nowe drogi do sławy i potęgi  
staną przed panem otworem, tutaj, w tym pokoju.*

PRAWDĘ MÓWIĄC, W OGÓLE NIE ŚNIŁ. A kiedy się obudził, był weekend, świeciło słońce... i wydzwaniał telefon.

– Halo?

– John? Tu Gill.

– Och, cześć, Gill. Jak się masz?

– Trzymam się. A jak ty się czujesz?

– Świetnie. – To nie było kłamstwo. Od tygodni nie spał tak dobrze, a po kacu nie został ani ślad.

– Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie. Jakies postępy w sprawie oszczerstwa?

– Oszczerstwa?

– Bzdur, których naopowiadał o tobie ten dzieciak.

– A, to. Nie, jeszcze nic nie słyszałem. – Myślał o lunchu, o pikniku, o przejażdżce po okolicy. – Jesteś w Edynburgu? – zapytał.

– Nie, w Fife.

– W Fife? A co ty tam robisz?

– Calum jest tutaj, nie pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam, ale myślałem, że trzymasz się od niego z daleka.

– Chciał się ze mną zobaczyć. Właściwie po to dzwonię.

– Tak? – Rebus uniósł brwi, zaciekawiony.

– Calum chce z tobą porozmawiać.

– Ze mną? Dlaczego?

– Sam ci to pewnie powie. Poprosił, żebym ci to przekazała.

Rebus zastanawiał się przez chwilę.

– A ty chcesz, żebym z nim porozmawiała?

– Szczerze mówiąc, wszystko mi jedno. Powiedziałałam mu, że przekażę ci wiadomość i że to ostatnia przysługa, na jaką może liczyć.

Jej głos był gładki i chłodny jak dach łupkowy w czasie deszczu. Rebus poczuł, że zsuwa się po tym dachu, pragnąc ją zadowolić, pomóc jej.

– Aha – dodała – i wspomniał, że jeśli będziesz mieć wątpliwości, mam cię poinformować, że to ma związek z Hyde'em.

– Z Hyde'em? – Rebus wstał gwałtownie.

– Owszem, z H-y-d-e'-e-m. Dał mi do zrozumienia, że to cię zainteresuje.

– Zgadza się, Gill. Jesteś w Dunfermline?

– Dzwonię z aresztu.

– W porządku, do zobaczenia za godzinę.

– Dobrze, John. – Wydawała się obojętna.

Zakończył połączenie, włożył marynarkę i wymaszerował z mieszkania. Ruch uliczny był duży, pojazdy toczyły się powoli ku Tollcross, na Lothian Road i Princes Street w kierunku Queensferry Road. Od czasu deregulacji transportu publicznego centrum miasta było sceną dla mrocznej farsy rywalizujących ze sobą autobusów: dwupokładowych, jednopokładowych, a nawet minibusów –

wszystkie walczyły o klientów. Zakleszczony za dwoma piętrowymi autobusami Lothian Region Transport w kolorze bordo i dwoma zielonymi jednopokładowcami, Rebus zaczął tracić resztki cierpliwości. Uderzył mocno dłońią w klakson, po czym wcisnął gaz i przejechał obok sznura zastygłych pojazdów. Kurier motocyklowy, przeciskający się między dwoma pasami, na których wolno posuwały się pojazdy, musiał skręcić, żeby uniknąć nieuchronnego wypadku, i zderzył się z jego saabem. Rebus wiedział, że powinien się zatrzymać. Ale jechał dalej.

Gdyby tylko miał magnetycznego, migającego koguta, jakie gliniarze z dochodzeniówki przyczepiali do dachów swoich pojazdów, gdy spóźniali się na kolację albo inne spotkanie. Ale on miał tylko swoje reflektory – światła drogowe – i klakson. Przebił się przez korek, zdjął rękę z klaksonu, wyłączył światła i zjechał na zewnętrzny pas rozszerzającej się drogi.

Mimo postoju na koszmarnym rondzie Barnton całkiem sprawnie dotarł do Forth Road Bridge, uiścił opłatę i przejechał na drugą stronę, nie za szybko, żeby jak zawsze napawać się widokiem. Tuż pod nim, po lewej jego stronie, znajdowała się stocznia marynarki wojennej Rosyth. Wielu z jego szkolnych przyjaciół („wielu” to liczba względna: nigdy nie miał bowiem naprawdę wielu przyjaciół) z łatwością prześlizgnęło się przez proces rekrutacyjny w Rosyth i prawdopodobnie nadal wyrabiali tam roboczogodziny. Wydawało się, że to jedyne miejsce w Fife, gdzie praca była jeszcze dostępna. Kopalnie zamykano z wymuszoną regularnością, a gdzieś na wybrzeżu, po drugiej stronie półwyspu, mężczyźni zakopywali się pod Forth, wydobywając węgiel ze stale zmniejszającym się zyskiem.

Hyde! Calum McCallum wiedział coś o Hydzie! Wiedział też, że Rebus jest zainteresowany, więc wieści musiały się rozejść. Rebus mocniej wcisnął pedał gazu. McCallum będzie oczywiście chciał wymiany: odstępiania od zarzutów albo zmiany kwalifikacji czynu na łagodniejszy. A niech tam, obiecały mu słońce, księżyc i gwiazdy na nieboskłonie.

Jeżeli McCallum naprawdę wiedział. Wiedział, kim jest Hyde, wiedział, gdzie jest Hyde. Jeżeli wiedział...

Komendę w Dunfermline nietrudno było odnaleźć, mieściła się bowiem tuż przy rondzie na obrzeżach miasta. Gill również znalazł bez trudu: siedziała w swoim samochodzie na obszernym parkingu przed komendą. Rebus zaparkował obok niej i przesiadł się do jej auta, od strony pasażera.

– Dzień dobry – powiedział.

– Cześć, John.

– Jak się czujesz?

Po namyśle uznał, że było to przypuszczalnie najbardziej niepotrzebne pytanie, jakie kiedykolwiek zadał. Jej twarz straciła kolor, głowa opadła na ramiona, jedna dłoń ścisnęła kierownicę, a paznokcie drugiej uderzały lekko o górną część deski rozdzielczej.

– Dziękuję, dobrze – odparła i oboje uśmiechnęli się na to kłamstwo. – Poinformowałam ich, że przyjedziesz.

– Chcesz, żebym coś przekazał naszemu przyjacielowi?

– Nie.

– W porządku.

Rebus pchnął drzwi samochodu, wysiadł i zamknął je delikatnie, po czym pospieszył do wejścia na komendę.



BŁĄKAŁA SIĘ PO SZPITALNYCH KORYTARZACH od ponad godziny. Nadszedł czas odwiedzin, więc nikomu nie przeszkadzało, kiedy wchodziła na oddziały, mijała łóżka i uśmiechała się od czasu do czasu do chorych starszych mężczyzn i kobiet, którzy wpatrywali się w nią samotnymi oczami. Przyglądała się członkom rodzin decydującym, kto powinien, a kto nie pełnić dyżur przy łóżku dziadka, bo mogły być przy nim tylko dwie osoby jednocześnie. Rozglądała się zwłaszcza za jedną kobietą, chociaż nie była pewna, czy ją rozpozna. Jedynym punktem zaczepienia było założenie, że bibliotekarka będzie miała złamany nos.

Jeżeli w ogóle tu będzie. Może nie przebywała już na oddziale, może została wypisana do domu, do męża czy chłopaka. Może lepiej byłoby, gdyby Tracy odczekała, a potem znów wybrała się do biblioteki. Tylko że teraz mieli na nią oko i narobiliby rabanu. Strażnik by ją rozpoznał, bibliotekarka także.

Ale czy ona rozpoznałaby bibliotekarkę?

Rozbrzmiał wwiercający się w uszy dzwonek, sygnalizujący, że godziny odwiedzin dobiegają końca. Pospiesznie przeszła do kolejnej sali, zastanawiając się, czy bibliotekarka nie leży w prywatnym pokoju. Albo w innym szpitalu. Albo...

Nie! Była tam! Tracy stanęła nieruchomo, wykonała półobrót i przeszła na drugi koniec sali. Odwiedzający żegnali się z pacjentami i przekazywali wyrazy troski. Poczucie ulgi rozświetlało twarze odwiedzających i odwiedzanych. Wmieszała się w tłum, gdy odstawiali krzesła na miejsce i zarzucali na siebie kurтки czy płaszcze. Potem zatrzymała się i spojrzała z powrotem na łóżko bibliotekarki. Wokół leżały kwiaty, a samotny gość, mężczyzna, pochylał się nad nią, aby ucałować ją w czoło. Bibliotekarka ścisnęła jego dłoń i... Mężczyzna wyglądał znajomo. Z pewnością go już widziała... Na komendzie! Przyjaciel Rebusa, a do tego policjant! Przypomniała sobie, jak do niej zaglądał, gdy przetrzymywano ją na dołku.

O Jezu, zaatakowała żonę policjanta!

Teraz nie była już taka pewna, w ogóle nie była pewna. Po co tu przyszła? Czy ma odwagę zmierzyć się z sytuacją, wiedząc, że kobieta jest żoną gliniarza? Wysła z sali razem z jakąś rodziną, opuściła oddział i oparła się o ścianę w korytarzu. Da sobie radę? Tak, jeśli wytrzymają jej nerwy. Tak, da radę.

Udawała, że sprawdza zawartość automatu z napojami, kiedy Holmes przeszedł przez wahadłowe drzwi oddziału i kroczył powoli korytarzem, oddalając się od niej. Odczekała pełne dwie minuty, policzyła do stu dwudziestu. Nie wracał, niczego nie zapomniał. Tracy odwróciła się od automatu i ruszyła w stronę wahadłowych drzwi.

Dla niej czas odwiedzin dopiero się zaczynał.

Nie zdążyła nawet dojść do łóżka; zatrzymała ją młoda pielęgniarka.

– Godziny odwiedzin się skończyły – poinformowała.

Tracy próbowała się uśmiechać, próbowała wyglądać normalnie; nie przychodziło jej to łatwo, ale kłamstwo owszem.

– Przepraszam, zgubiłam zegarek. Pewnie zostawiłam go przy łóżku siostry. – Ruchem głowy wskazała Nell.

A ta, słysząc rozmowę, odwróciła się w jej stronę. Rozpoznała Tracy i jej oczy otworzyły się szeroko.

– Proszę się pospieszyć – powiedziała pielęgniarka na odchodne.

Tracy uśmiechnęła się i odprowadziła ją wzrokiem do wahadłowych drzwi. Teraz byli tu tylko pacjenci w łóżkach, nagła cisza i ona. Podeszła do łóżka Nell.

– Cześć – rzuciła. Spojrzała na kartę przymocowaną do końca żelaznej szafki. – Nell Stapleton – przeczytała.

– Czego chcesz? – zapytała Nell cieniem głosem, który wydobywał się z tylnej części gardła; jej nos nie miał udziału w tym procesie. W oczach nie było strachu.

– Chcę ci coś powiedzieć. – Tracy zbliżyła się do Nell i przykucnęła na podłodze. Pomyślała, że dzięki temu wygląda, jakby szukała zagubionego zegarka, i prawie znikła z pola widzenia.

– Su-cham.

Tracy uśmiechnęła się. Niedoświadczony głos Nell rozbawił ją, przywołał na myśl kukiełki z programów dla dzieci. Uśmiech szybko jednak zniknął; zarumieniła się, przypomniała sobie bowiem, że powodem, dla którego się tu zjawiała, była jej odpowiedzialność za to, że ta kobieta trafiła do szpitala. Plasty na nosie, sińce pod oczami – to wszystko jej sprawka.

– Przyszłam przeprosić. To wszystko, naprawdę. Przepraszam.

Nell nawet nie mrugnęła.

– I... – ciągnęła Tracy – ech... nic takiego.

– Do-kończ – powiedziała Nell, ale po rozmowie z Brianem mówienie sprawiło jej coraz większą trudność, co więcej, czuła suchość w ustach. Odwróciła się i próbowała sięgnąć po dzbanek z wodą na małej szafce obok łóżka.

– Ja to zrobię. – Tracy nalała wody do plastikowego kubka i jej podała.

Nell sączyła kojący płyn, wypełniając nim wnętrze ust.

– Ładne kwiaty – rzuciła Tracy.

– Od cho-paka – powiedziała Nell między łykami.

– Tak, widziałam, jak wychodził. Jest policjantem, prawda? Wiem, że tak, bo jestem znajomą inspektora Rebusa.

– Tak, nie wątpię.

– Tak? – Tracy osłupiała. – Wiesz, kim jestem?

– Wiem, że jes-teś Tracy, jeśli o to py-tasz.

Tracy przygryzła dolną wargę. Jej twarz znów zalała się purpurą.

– Nie-ważne – odezwała się Nell.

– Właśnie. – Tracy starała się brzmieć nonszalancko. – Nieważne.

– Chcę cię zapy-tać...

– Tak? – Tracy wydawała się chętna do zmiany tematu.

– Dla-czego chcia-łaś dostać się do biblio-teki?

Pytanie nie spodobało się Tracy. Zastanowiła się, wzruszyła ramionami i spojrzała obojętnym wzrokiem na leżącą w łóżku dziewczynę.

– Chciałam znaleźć zdjęcia Ronniego.

– Zdjęcia Ronniego? – Nell nagle się ożywiła.

Podczas godzinnych odwiedzin Brian zdołał podzielić się z nią postętami w sprawie Ronniego McGratha, a zwłaszcza odkryciem fotografii w domu zmarłego chłopaka. Czy właśnie o nich mówiła ta dziewczyna?

– Tak – odparła Tracy. – Ronnie ukrył je w bibliotece.

– Co na nich było? To znaczy dlaczego je ukrywał?

Tracy tylko wzruszyła ramionami.

- Powiedział mi, że to jego polisa na życie. Dokładnie tak: „polisa na życie”.
- A gdzie konkretnie je schował?
- Na piątym piętrze, powiedział. Wewnątrz oprawionego czegoś o nazwie „Edinburgh Review”. To chyba czasopismo.
- Zgadza się. – Nell uśmiechnęła się szeroko. – Strzał w dziesiątkę.

BRIAN HOLMES NIE WIERZYŁ własnym uszom, kiedy usłyszał wieści od Nell. Gdy zadzwoniła, jego pierwszą reakcją był czysty szok, więc skarcił ją za to, że wstała z łóżka.

– Nadal leżę wózków – powiedziała; jej głos był jeszcze bardziej niewyraźny z emocji. – Przy-nieśli mi tele-fon. A teraz su-chaj. – Była tak podekscytowana, że ledwie dało się ją zrozumieć.

Trzydzieści minut później poprowadzono go korytarzem na piąte piętro Biblioteki Uniwersytetu Edynburskiego. Pracująca tam kobieta rutynowo sprawdzała pozycje na regałach, opatrzonej skomplikowaną numeracją, dlatego chętnie zaprowadziła gościa do jednego z zaciemnionych rzędów dużych, oprawionych tytułów. Na końcu korytarza przy wielkim oknie siedział student z ołówkiem w ustach, który patrzył na Holmesa z ukosa. Holmes uśmiechnął się do niego współczująco.

– Oto i one – powiedziała bibliotekarka – magazyny „Edinburgh Review” i „New Edinburgh Review”. Numery tego drugiego tytułu są od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, jak pan widzi. Oczywiście, wcześniejsze wydania przechowujemy pod kluczem, dlatego jeżeli życzy pan sobie przejrzeć starsze publikacje, zajmij mi to chwilę...

– Nie, te są w porządku, naprawdę, właśnie tych szukałem. Dziękuję.

Bibliotekarka ukloniła się lekko, przyjmując jego podziękowania.

– Proszę pamiętać o przekazaniu pozdrowień Nell od nas wszystkich.

– Będę się z nią widział jeszcze dzisiaj, nie zapomnę.

Z kolejnym ukłonem bibliotekarka odwróciła się i podeszła do końca regału. Zatrzymała się i nacisnęła przełącznik; podłużne lampy zamigotały nad głową Holmesa i pozostały włączone. Uśmiechnął się w podziękowaniu, ale kobieta spieszyła już do windy i jej gumowe podeszwy skrzypiały na podłodze.

Holmes spojrział na grzbiety oprawionych tomów. Kolekcja nie była kompletna, co oznaczało, że ktoś pożyczył niektóre roczniki. Co za durne miejsce na kryjówkę. Podniósł roczniki 1971–1972, obrócił je grzbietem do góry i potrząsnął. Żadne kawałki papieru, żadne fotografie nie wypadły na podłogę. Odłożył je na półkę, sięgnął po kolejne roczniki, obrócił, potrząsnął i również odstawił na miejsce.

Student przy biurku do nauki nie patrzył już z ukosa. Patrzył wprost na niego wzrokiem, który wyrażał obawy, że Holmes zupełnie postradał zmysły. W następnych rocznikach też nic nie było i Holmes zaczął się obawiać najgorszego. Liczył na to, że znajdzie coś, czym zaskoczy Rebusa, co pozwoli powiązać wszystkie nitki tej sprawy. Próbował skontaktować się z inspektorem, ale ten był nieuchwytny, zniknął.

Zdjęcia narobiły więcej hałasu, niż się spodziewał, gdy wreszcie zsunęły się spomiędzy stron i uderzyły w wypolerowaną podłogę błyszczącymi krawędziami. Pochylił się i zaczął je zbierać, a zszokowany student wlepił w nie wzrok jak sroka w gnat, zafascynowany. A potem stało się to samo co wcześniej. Pełne emocji oczekiwanie zostało wyparte falą rozczarowania: rozrzucone na podłodze

fotografie nie wnosiły do sprawy nic nowego. Były to kopie zdjęć z meczu bokserskiego, nic więcej. Żadnych nowych odbitek, żadnych rewelacji, żadnych niespodzianek.

Niech szlag trafi Ronniego McGratha za to, że dał mu nadzieję. Zdjęcia nie były już nawet polisą na życie; złudzenia chłopaka i jego życie zostały stracone.

Holmes poczekał na windę, ale była zajęta, zszedł więc schodami wijącymi się stromo w dół i znalazł się na parterze, w części biblioteki, której nie znał, podobnej do korytarza antykwariatu, wąskiego, ze stęchłymi książkami ułożonymi wzdłuż obu ścian. Przeciskał się przez przejście, czując nagły chłód, którego nie umiał zlokalizować, aż znalazł się przy drzwiach prowadzących do głównego holu. Bibliotekarka, która go oprowadzała, wróciła za swoje biurko i teraz na jego widok zaczęła gorączkowo machać ręką. Zareagował natychmiast i pospieszył do niej. Podniosła telefon i nacisnęła guzik.

– Telefon do pana – powiedziała, wyciągając rękę zza biurka, by podać mu słuchawkę.

– Halo? – Był zaskoczony: kto, do cholery, wiedział, że tu jest?

– Brian, gdzie ty się podziewałeś, na Boga? – To był oczywiście Rebus. – Wszędzie cię szukałem. Jestem w szpitalu.

Serce Holmesa wyrwało się z piersi.

– Nell? – zapytał tak dramatycznie, że bibliotekarka poderwała głowę.

– Co? – warknął Rebus. – Nie, nie, z Nell wszystko w porządku. Powiedziała mi tylko, gdzie cię znajduję. Dzwonię ze szpitala, co kosztuje mnie fortunę. – Na potwierdzenie rozległ się przerywany sygnał, a po nim chrzęst monet w szczelinie. Połączenie zostało przywrócone. – Więc słuchaj.

– Z Nell wszystko w porządku – powiedział Brian bibliotekarce.

Skinęła głową z ulgą i wróciła do pracy.

– Oczywiście, że w porządku – dorzucił Rebus, wychwyciwszy jego słowa. – A teraz posłuchaj. Masz kartkę? Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

Brian znalazł kartkę na biurku. Uśmiechnął się, bo przypomniał sobie pierwszą rozmowę telefoniczną z Johnem Rebusem: ot, „coś” do zrobienia. Chryste, ile zdołał już zrobić od tamtego czasu...

– Zrozumiałeś?

– Przepraszam, panie inspektorze. Byłem myślami gdzie indziej. Czy mógłby pan powtórzyć?

W słuchawce usłyszał ryk gniewu zmieszanego z pełnym nadziei pobudzeniem. Rebus zaczął od nowa i tym razem Brian Holmes usłyszał każde słowo.

TRACY NIE POTRAFIŁA POWIEDZIEĆ, dlaczego odwiedziła Nell Stapleton ani dlaczego powiedziała jej to wszystko. Poczula z nią jakąś więź, nie tylko z powodu tego, co zrobiła. W tej dziewczynie było coś mądrego i miłego, coś, czego Tracy do tej pory brakowało w życiu. Może właśnie dlatego z trudem opuściła teren szpitala. Przespacerowała się po korytarzach, wypila dwie filiżanki kawy w kawiarni naprzeciw głównego budynku, zawitała w ambulatorium, minęła salę rentgenowską, a nawet lecznicę dla diabetyków. Zmusiła się do wyjścia, dotarła aż do Akademii Sztuk Pięknych, po czym zawróciła i pokonała dwieście kroków z powrotem do szpitala.

Właśnie wchodziła do bocznej bramy, kiedy złapali ją jacyś mężczyźni.

– Ej!

– Pójdzie pani z nami.

Ochroniarze, a może nawet policjanci, pomyślała, więc nie stawiała oporu. Może chłopak Nell Stapleton chciał ją zobaczyć, złoić jej porządnie skórę. Nie obchodziło jej to. Zabierali ją w stronę wejścia do szpitala, więc nie stawiała oporu. Dopiero gdy było już za późno, zorientowała się, że coś jest nie tak.

W ostatniej chwili zatrzymali się, odwrócili ją i wepchnęli na tył karetki.

– Zaraz... co jest grane?!

Drzwi zamknęły się, zarygłowały, i znalazła się sama w gorącym i ciemnym wnętrzu. Uderzyła w drzwi, ale pojazd już ruszył. Poleciała na drzwi, a potem padła na podłogę. Kiedy doszła do siebie, zobaczyła, że karetka jest stara, pewnie od dawna nieużywana do swoich pierwotnych celów. Wnętrze zostało całkowicie wypatroszone, co zmieniło ten pojazd w zwykłą furgonetkę. Szyby zabito deskami, a od kierowcy oddzielał ją metalowy panel. Podeszła do niego i zaczęła walić pięściami. Spozstrzegła, że dorwali ją przy bramie ci sami dwaj mężczyźni, którzy śledzili ją tamtego dnia na Princes Street, wtedy gdy pobiegła do Johna Rebusa. Zacisnęła zęby i uderzyła mocniej, krzycząc od czasu do czasu.

– O Boże – wyszeptała. – O Boże, o Boże.

W końcu ją dopadli.

WIECZÓR BYŁ LEPKI OD UPAŁU, ulice wydawały się spokojne jak na sobotę.

Rebus zadzwonił do drzwi i czekał. Wyczekując, rozejrzał się, na lewo i prawo. Nienaganny podwójny rząd georgiańskich domów, kamienne czerwone fronty zmatowione przez czas i spaliny. Niektóre z domów zostały zamienione na siedziby stowarzyszeń, małych, anonimowych przedsiębiorstw finansowych i biura rachunkowe. Ale kilka – cennych i nielicznych – wciąż stanowiło bardzo komfortowe i wyśmienicie urządzone domy dla zamożnych. Rebus był już kiedyś na tej ulicy, dawno temu, w pierwszych dniach pracy w dochodzeniówce; prowadził wtedy śledztwo w sprawie śmierci młodej dziewczyny. Niewiele pamiętał teraz z tego dochodzenia, był zbyt pochłonięty przygotowaniem się do zażywania wieczornych przyjemności.

Pociągnął za czarną muszkę na szyi. Cały strój – marynarkę, koszulę, muszkę i lakierki – wypożyczył tego dnia w sklepie na George Street. Czuł się w nim jak idiota, ale przeglądając się w łazienkowym lustrze, musiał przyznać, że prezentował się całkiem sztywnie. Jak inaczej miałby się stawić w tak wybornym lokalu, jakim był Finlay's przy Duke Terrace.

Drzwi otworzyła rozpromieniona kobieta, młoda, wytwornie ubrana. Przywitała się z nim, jakby zaskoczona, że nie przychodzi tu częściej.

– Dobry wieczór – powiedziała. – Wejdzie pan?

Jasne, że wejdzie. I wszedł. Hol wejściowy był subtelny: kremowa farba, gruba wykładzina dywanowa, rozstawione tu i ówdzie krzesła, które mogły być zaprojektowane przez Charlesa Renniego Mackintosha, z wysokimi oparciami i siedzeniami wyglądającymi na niezwykle niewygodne.

– Widzę, że podziwia pan nasze krzesła – odezwała się kobieta.

– Owszem. – Rebus odwzajemnił jej uśmiech. – Nazywam się Rebus, tak przy okazji. John Rebus.

– Ach tak. Finlay wspomniał, że jest pan oczekiwany. Skoro jest to pana pierwsza wizyta, może chciałby pan, żebym pana oprowadziła?

– Tak, dziękuję.

– Ale najpierw drink, pierwszy zawsze na koszt firmy.

Rebus starał się nie okazywać wścibstwa, ale że był policjantem, to brak wścibstwa stał w sprzeczności ze wszystkim, co było mu najdroższe. Zadał więc gospodyni o imieniu Paulette kilka pytań, wskazując palcami na tę czy tamtą część klubu. Kobieta pokazała mu, gdzie jest piwnica pełna butelek wina („Finlay ubezpieczył je na ćwierć miliona”), kuchnia („nasz szef kuchni jest na wagę złota”) i sypialnia dla gości („sędziowie są najgorsi, kilku zawsze zostaje tu na noc, bo są zbyt pijani, by wrócić do domu”). Na poziomie poniżej parteru znajdowały się piwnice i kuchnia, a na parterze cichy bar oraz mała restauracja z szatniami oraz gabinetem. Na pierwszym piętrze, dokąd wiodły schody wyłożone piękną wykładziną dywanową, obok kolekcji osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych szkockich obrazów autorstwa Jacoba More’a i Davida Allana, znajdowała się główna strefa gier: ruletka, blackjack, kilka innych stołów do gier karcianych i jeden do gry w kości. Graczami byli biznesmeni, którzy stawiali pieniądze bez zbytnej ostentacji; nikt nie przegrywał dużych sum ani nie wygrywał. Nikt nie szastał gotówką.

Paulette wskazała na dwa zamknięte pokoje.

– Prywatne pokoje do prywatnych gier.

– Jakich?

– Głównie pokera. Poważni gracze rezerwują je mniej więcej raz w miesiącu. Bywa, że rozgrywki trwają całą noc.

– Tak jak w filmach.

– O tak. – Zaśmiała się. – Tak jak w filmach.

Na drugim piętrze były trzy sypialnie dla gości, również zamknięte na klucz, oraz prywatny apartament Finlaya Andrewsa.

– Objęty zakazem wstępu, oczywiście – poinformowała Rebusa Paulette, gdy schodzili już na dół.

– Oczywiście.

A więc to jest ten owiany sławą klub Finlay’s. Nie było tłoczno, dzisiejszy wieczór zapowiadał się spokojnie. Kilka twarzy Rebus od razu zidentyfikował: adwokata, który dla odmiany nie rozpoznał jego, mimo że wcześniej ścierali się w sądzie, czy prezentera telewizyjnego, którego ciemna opalenizna wydawała się sztuczna, oraz Farmera Watsona.

– Cześć, John.

Watson, wbity w garnitur i koszulę, wyglądał jak zwykły gliniarz bez munduru. Kiedy Paulette i Rebus wrócili na pierwsze piętro, stał przy barze, z ręką zamkniętą wokół szklanki soku pomarańczowego, nie dając po sobie poznać, że czuje się nieswojo, co najwyraźniej mu nie wyszło – wyglądał zdecydowanie nie na miejscu.

– Panie komendancie.

Rebus ani przez chwilę nie przypuszczał, że Watson, mimo tego, co mu powiedział, zjawi się tutaj. Przedstawił komendantowi Paulette, a ta przeprosiła, że nie było jej przy drzwiach, by go powitać.

Watson zignorował jej przeprosiny.

– Zadbano o mnie dostatecznie dobrze – powiedział.

Usiedli przy wolnym stole. Krzesła tutaj były wygodne i dobrze wyściełane, i Rebus poczuł przypływ odprężenia. Watson jednak rozglądał się uważnie.

– Nie ma Finlaya? – zapytał.

– Jest gdzieś w pobliżu – odparła Paulette. – Finlay zawsze jest w pobliżu.

Zabawne, pomyślał Rebus, że nie wpadliśmy na niego podczas wycieczki po domu.

– I jak ci się podoba to miejsce, John? – zapytał Watson.

– Imponujące – odpowiedział Rebus. Paulette nagrodziła go uśmiechem, tak jakby chwaliła ulubionego ucznia. Odwzajemnił go i dodał: – Bardzo imponujące. Klub jest o wiele większy, niż mogłoby się wydawać. Poczekaj, aż zobaczysz górę.

– Jest też przybudówka – dodał Watson.

– Ach tak? – Rebus spojrział na Paulette.

– Zgadza się – potwierdziła. – Budujemy z tyłu lokalu.

– Budujecie? – zapytał Watson. – Myślałem, że już stoi?

– Ależ nie. – Znów się uśmiechnęła. – Finlay jest niezwykle wybredny. Podłoga nie była do końca odpowiednia, kazał więc robotnikom wszystko zerwać i zacząć od nowa. Teraz czekamy na marmur z Włoch.

– No, no, pewnie wydał trochę szmalu – powiedział Watson, kiwając głową z uznaniem.

Rebus zastanawiał się nad tą przybudówką. W głębi parteru, za toaletami, szatniami, biurami i garderobami, musiały znajdować się kolejne drzwi, wiodące do ogrodu, a być może teraz i do przybudówki.

– Jeszcze jeden drink, John? – Watson stał już na nogach i wskazywał na jego pustą szklankę.

– Gin ze świeżym sokiem pomarańczowym, proszę – powiedział Rebus, podając szklankę.

– A dla pani, Paulette?

– Nie, dziękuję. – Podniosła się z krzesła. – Praca do wykonania. Teraz, gdy już obejrzał pan nasz klub, wróć do obowiązków przy drzwiach. Jeśli zechcą panowie grać na górze, biuro może dostarczyć żetony. Przy kilku grach akceptujemy gotówkę, ale nie przy tych najciekawszych.

Kolejny uśmiech i zniknęła w powiewie jedwabiu i błysku czarnego nylonu. Watson zobaczył, że Rebus przygląda się, jak odchodzi.

– Spocznij, inspektorze – powiedział, śmiejąc się do siebie i kierując do baru, gdzie barman wyjaśnił, że jeżeli będzie chciał drinka, wystarczy zasygnalizować, a zamówienie zostanie przyjęte przy stole dżentelmenów i bezpośrednio tam dostarczone. Watson z powrotem opadł na krzesło.

– Takie jest życie, co, John?

– Tak jest, panie komendancie. Co słychać na komendzie?

– Masz na myśli tego małego sodomitę, który złożył skargę? Odszedł. Zniknął. Dał nam fałszywy adres, wszystko.

– Jestem zatem wolny od rzeźnickiego haczyka?

– Prawie.

Rebus miał zamiar zaprotestować.

– Daj nam jeszcze kilka dni, John, tylko o to proszę. Niech ten bajzel umrze śmiercią naturalną.

– Czy to znaczy, że ludzie plotkują?

– Kilku chłopaków miało ubaw, ale chyba nie możesz ich o to winić. Za parę dni znajdzie się inny powód do żartów i zapomną o sprawie.

– Nie ma o czym zapominać!

– Wiem, wiem. To tylko jakaś intryga, która ma cię odciągnąć od działania, a za wszystkim stoi twój tajemniczy pan Hyde.

Rebus wpatrywał się w Watsona z zaciśniętymi ustami. Miał ochotę wrzasnąć, wydrzeć się jak stare prześcieradło. Lecz odetchnął głęboko i chwycił drinka, którego kelner przyniósł na tacy. Pociągnął dwa

łyki, po czym kelner poinformował go, że pije sok pomarańczowy swojego towarzysza, a na tacy wciąż stoi jego drink. Rebus zaczerwienił się, gdy Watson, znów zarykując się ze śmiechu, położył na tacy pięćofuntowy banknot. Kelner zakaszłał z zażenowania.

– Pańskie napoje kosztują sześć funtów pięćdziesiąt, proszę pana – powiedział.

– Wielki Boże! – Watson przeszukał kieszeń, odnalazł zmięty banknot funtowy oraz kilka monet i położył je na tacy.

– Dziękuję panu.

Kelner podniósł tacę i odwrócił się, zanim Watson zdążył zapytać o ewentualną resztę, która mogła mu się należeć. Spojrzał na Rebusa; teraz to on się uśmiechał.

– A niech mnie – rzucił komendant. – Sześć pięćdziesiąt! Za te pieniądze można wyżywić kilka rodzin przez tydzień.

– Takie jest życie – powtórzył Rebus jego słowa.

– Dobrze powiedziane, John. Omal zapomniałem, że w życiu może chodzić o coś więcej niż tylko o osobisty komfort. Powiedz mi, do którego kościoła chodzisz?

– No świetnie, przyszlście, żeby nas wszystkich zgarnąć?

Obaj odwrócili się i zobaczyli Tommy’ego McCalla. Rebus sprawdził godzinę, ósma trzydzieści, a Tommy wyglądał tak, jakby zahaczył po drodze o kilka pubów. Usiadł ciężko na krześle wcześniej zajmowanym przez Paulette.

– Co pijecie? – Pstryknął palcami i kelner ze zmarszczonym czołem powoli zbliżył się do stolika.

– Dla panów?

Tommy McCall spojrział na niego.

– Czołem, Simon. Jeszcze raz to samo dla policji, a dla mnie to co zwykle.

Kelner wytrzeszczył ślepią, gdy zaczęły do niego docierać słowa McCalla, co nie uszło uwagi Rebusa. Zgadza się, synu, pomyślał, jesteście glinami. Dlaczego cię to tak przeraża?

Kelner odwrócił się, jakby czytając w jego myślach, i ruszył sztywno z powrotem do baru.

– No więc co was tu sprowadza? – McCall zapalał papierosa, zadowolony, że znalazł towarzystwo, gotów z nimi spędzić całą noc.

– To był pomysł Johna – powiedział Watson. – Chciał przyjść, więc ustaliłem to z Finlayem, a potem pomyślałem, że ja też skorzystam.

– Całkiem dobry pomysł. – McCall rozejrzał się. – Dziś wieczorem klub świeci pustkami, przynajmniej na razie. Zwykle jest wypełniony po brzegi twarzami, które rozpoznajesz, nazwiskami, które znasz jak własne. A dziś, proszę ja was, cisza jak makiem zasiał.

Poczęstował ich papierosami. Rebus wziął jednego, zapalił i zaciągnął się z wdzięcznością, czego natychmiast pożałował, bo dym zmieszał się z oparami alkoholu w jego klatce piersiowej. Musiał myśleć szybko i racjonalnie. Watson, a teraz McCall – nie zamierzał zajmować się ani jednym, ani drugim.

– A tak przy okazji, John – powiedział Tommy McCall – dzięki za podwózkę. – W jego tonie słychać było skruchę. – Przepraszam, jeśli sprawiłem kłopoty.

– Żadnych kłopotów, Tommy. Dobrze spałeś?

– Nie miewam problemów ze snem. – McCall zaśmiał się.

– Ja też – wtrącił Farmer Watson. – Korzyści z czystego sumienia, co?



– Szkoda, że nie mógł pan przyjść na przyjęcie u Malcolma Lanyona. Nieźle się bawiliśmy, prawda, John? – McCall uśmiechnął się do Rebusa, a ten odważemnił uśmiech.

Grupa przy sąsiednim stoliku śmiała się z jakiegoś żartu; mężczyźni zaciągali się grubymi cygarami, kobiety bawiły biżuterią na nadgarstkach. McCall pochylił się w ich stronę, licząc być może na udział w dowcipie, ale jego błyszczące oczy i krzywy uśmiech trzymały ich z dala od niego.

– Dużo już dziś wychlałeś, Tommy? – zapytał Rebus.

McCall, słysząc swoje imię, odwrócił się.

– Parę – odparł. – Kilka moich ciężarówek nie dostarczyło towaru na czas, bo kierowcy się wkurzyli. Straciłem dwa duże kontrakty. Topię smutki.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział Watson szczerze.

Rebus skinął głową, ale McCall teatralnie rozłożył ręce.

– Ech, to nic takiego. Myślę o sprzedaży firmy i przejściu na emeryturę, póki jestem jeszcze młody. Barbados, Hiszpania, kto wie? Może kupię małą willę. – Jego oczy zwięzły się, głos zniżył się do szeptu. – Zgadnijcie, kto jest zainteresowany wykupieniem mnie? Nie domyślicie się nawet za milion lat. Finlay.

– Finlay Andrews?

– A jak! – McCall odchylił się na oparcie krzesła, zaciągnął papierosem i zamrugnął od dymu. – Finlay Andrews. – Znów wychylił się do przodu. – Macza palce w wielu inwestycjach. Nie chodzi tylko o ten klub, ma kilka stanowisk w radach nadzorczych, udziały tu, tam, wszędzie.

– Drinki dla panów. – Głos kelnera miał w sobie więcej niż nutę dezaprobaty. Wyglądała, jakby nie chciał się stąd ruszyć, nawet po tym, jak McCall rzuciła na tacę banknot dziesięciofuntowy i odprawił go machnięciem ręki.

– Mówię wam – ciągnął po odejściu kelnera – macza palce w kilku garach. Wszystko zgodnie z prawem, oczywiście. Mielibyście piekielną robotę, gdybyście chcieli udowodnić, że jest inaczej.

– I on chce cię wykupić? – zapytał Rebus.

McCall wzruszył ramionami.

– Zaproponował dobrą cenę. Nie świetną, ale z głodu nie umrę.

– Pańska reszta, proszę pana. – To był znowu kelner, głos miał zimny jak dłuto. Wyciągnął tacę w stronę McCalla, a ten spojrzał na niego.

– Nie chciałem żadnej reszty – rzucił. – To był napiwek. No ale – puścił oko do Rebusa i Watsona i zgarnął monety – skoro nie chcesz, kolego, to mogę wziąć go z powrotem.

– Dziękuję, proszę pana.

Rebus był wniebowzięty. Kelner na wszelkie sposoby wysyłał McCallowi sygnały, żeby zamilkł, ale ten był zbyt pijany lub zbyt naiwny, by to zauważyć. Jednocześnie Rebus zdawał sobie sprawę z komplikacji, jakie mogły wyniknąć z obecności komendanta Watsona i Tommy'ego McCalla w klubie w noc, kiedy Finlay miał ukazać swoje drugie oblicze.

Z holu wejściowego dobiegło nagle poruszenie, podniesione głosy, raczej hałaśliwe niż gniewne. A potem głos Paulette, błagalny, a następnie protestujący. Rebus spojrzał na zegarek: osma pięćdziesiąt, w samą porę.

– Co się dzieje? – Wszyscy w barze byli tym zainteresowani, a kilku gości wstało z miejsc, żeby przyjrzeć się zamieszaniu.

Barman nacisnął przycisk na ścianie przy dozownikach alkoholu i ruszył do holu. Rebus podążył za nim. Tuż za drzwiami wejściowymi Paulette kłóciła się z kilkoma mężczyznami ubranymi w garnitury biznesowe, ale w nieodpowiednim fasonie i nie najlepszym stanie. Jeden z nich mówił jej, że nie ma prawa mu odmówić, bo ma na sobie krawat. Inny wyjaśnił, że przyjechali na noc do miasta i usłyszeli o klubie od kogoś poznanego w jakimś barze.

– Philip, tak się nazywał. Kazał nam powiedzieć, że Philip mówi, że wszystko gra i że możemy wejść.

– Przykro mi, panowie, ale to jest prywatny klub – włączył się barman, ale został zignorowany.

– Rozmawiam z tą panią, kolego, okej? Chcemy się tylko napić i może postawić parę pensów.

Rebus patrzył, jak dwóch kolejnych „kelnerów”, twardych młodych mężczyzn o kanciastych twarzach, zbiega pędem po schodach z pierwszego piętra.

– Spokojnie...

– Tylko mały zakładzik...

– Wieczór w mieście...

– Przepraszam...

– Uważaj na marynarkę, stary!

– Hej!

Neil McGrath zadał pierwszy cios: trafił jednego z twarzieli prawym sierpowym prosto w brzuch, pozwalając go. Ludzie gromadzili się teraz na korytarzu, pozostawiając bar i restaurację bez nadzoru. Rebus, wciąż obserwując walkę, wycofał się z tłumu, minął drzwi do baru i restaurację, potem szatnię, toalety, drzwi gabinetu i kolejne.

– Tony! Czy to ty?

To musiało się stać. Tommy McCall rozpoznał brata Tony’ego jako jednego z podrabianych przyjezdnych pijacków. Gdy uwaga Tony’ego została odwrócona, otrzymał cios w twarz, tak że poleciał na ścianę.

– Słukłeś mojego brata! – Tommy dołączył do przybyłych i zaatakował obrońców klubu.

Posterunkowi Neil McGrath i Harry Todd byli sprawnymi i zdrowymi młodymi mężczyznami i świetnie radzili sobie sami. Ale kiedy dojrzeli komendanta Watsona, zastygli na chwilę w miejscu, chociaż Farmer nie miał pojęcia, kim są. Chwila nieuwagi i każdy przyjął strzał w pysk, który uzmysłowił im, że to się dzieje naprawdę. Zapomnieli o Watsonie i przypuścili szturm.

Rebus zauważył, że jeden z walczących odsuwa się nieco, nieskory, by rzucić się w wir walki. Został przy drzwiach, gotów do ucieczki, jeśli zajdzie potrzeba, i wciąż spoglądał w głąb korytarza, w miejsce, w którym teraz stał Rebus. Ten pomachał mu ręką z uznaniem. Detektywy posterunkowy Brian Holmes nie odmachął. Rebus odwrócił się i oto stał przy drzwiach na końcu korytarza, które prowadziły do przybudówki klubu. Zamknął oczy, zebrał się na odwagę, zacisnął prawą dłoń w pięść i przydzwonił sobie w twarz. Nie z pełną siłą, odruch samoobrony mu na to nie pozwolił, ale solidnie. Zastanawiając się, jak ludzie mogą podcinać sobie nadgarstki, otworzył łzawiące oczy i zbadał nos: krew rozmazana na jego górnej wardze kapąca z obu nozdrzy. Pozwolił jej kapnąć i załomotał w drzwi.

Nic. Znow załomotał. Odgłosy bijatyki osiągnęły apogeum. Dalej, dalej. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i trzymał ją pod nosem, wylapując krople najjaśniejszego szkarłatu. Drzwi odblokowały się od wewnątrz. Otworzyły się na kilkanaście centymetrów i ktoś spojrzał na Rebusa.

– Tak?

Rebus cofnął się trochę, żeby mężczyzna mógł zobaczyć zamieszki przy frontowych drzwiach. Ten wybałuszył oczy ze zdziwienia, spojrzał na zakrwawioną twarz Rebusa, po czym otworzył drzwi trochę szerzej. Był postawny, nie stary, ale z włosami nienaturalnie cienkimi jak na swój wiek. Jakby chcąc to sobie zrekompensować, zapuścił obfite wąsy. Rebus przypomniał sobie opis mężczyzny, który śledził Tracy w noc, kiedy przyszła do jego mieszkania. Ten człowiek pasowałby do tego opisu.

– Potrzebujemy cię tutaj – powiedział Rebus. – Chodź.

Mężczyzna milczał, jakby próbował podjąć decyzję. Rebus pomyślał, że zaraz znowu zamknie drzwi, i już szykował się do potężnego kopnięcia, ale tamten w końcu otworzył je i wyszedł, omijając go. Rebus poklepał mężczyznę po muskularnych plecach.

Drzwi stały otworem. Rebus wszedł do środka, znalazł klucz i zamknął je za sobą. Na górze i na dole wmontowane były zasuwki. Przesunął górną. Nikt tu nie wejdzie i nikt stąd nie wyjdzie, pomyślał. I dopiero wtedy się rozejrzał. Znajdował się na szczycie wąskich schodów, betonowych, niewyłożonych wykładziną. Może Paulette miała rację. Może przybudówka nie była jednak skończona. Te schody nie przypominały reszty klubu Finlaya. Były zbyt wąskie, niemal schowane. Rebus powoli przeprawiał się w dół, obcasy wypożyczonych butów stuknęły o stopnie zbyt głośno.

Naliczył dwadzieścia kroków i doszedł do wniosku, że znajduje się już poniżej sutereny, mniej więcej na poziomie piwnicy lub nawet nieco niżej. Może jednak Finlay Andrews nie obszedł biurokracji związanej z planowaniem przestrzennym. Nie mógł budować w górę, więc budował w dół. Drzwi na dole schodów wyglądały dość solidnie. Znowu konstrukcja raczej o charakterze użytkowym niż dekoracyjnym; potrzeba by dobrego dwudziestokilogramowego młota, żeby ją sforsować. Rebus spróbował jednak klamki. Przekreślił ją i drzwi się otworzyły.

Zupełny mrok. Przeszedł za próg, wykorzystując światło ze szczytu schodów, żeby wypatrzeć to, co zdołał: czyli nic. Najwyraźniej znalazł się w jakimś magazynie, tylko on i wielka pusta przestrzeń. Raptem zapaliły się światła, cztery rzędy długich lamp na suficie wysoko nad głową. Ich moc była niewielka, ale wystarczyła, by dokładnie oświetlić scenę. Na środku sali był mały ring bokserski, otoczony kilkudziesięcioma krzesłami o sztywnych oparciach. A więc to było to miejsce. Didżej miał rację.

Calum McCallum musiał poruszyć wszelkie kręgi znajomych, żeby zdobyć dla Rebusa przydatne informacje. Przekazał mu plotki, które zasłyszał, o małym klubie w klubie, gdzie coraz bardziej zblazowani miejscy plutokraci mogli obstawiać „interesujące zakłady”. McCallum nie omieszkiał nadmienić, że dość nietypowe, takie jak walki chłopczków do wynajęcia, ćpunów z łapanki, którym płacono hojnie za krwawe mordobicie oraz milczenie. Płacono pieniędzmi i narkotykami, a tych nie brakowało, odkąd bogacze zaczęli migrować z Anglii do Szkocji.

Klub Hyde's. Nazwany na cześć czarnego charakteru Roberta Louisa Stevensona, Edwarda Hyde'a, mrocznej strony ludzkiej duszy. Hyde był wzorowany na lokalnym diakonie Brodiem, biznesmenie za dnia, a arcyłotrze nocami. Rebus wyczuł w tej wielkiej piwnicy poczucie winy, strachu i oczekiwania, zwietrzałe cygara i rozlaną whisky, rozbryzgi potu. A wśród tego wszystkiego ducha Ronniego i pytanie, na które wciąż nie miał odpowiedzi. Czy Ronnie odbierał zapłatę za fotografowanie wpływowych i majątnych – rzecz jasna, bez ich wiedzy? A może był wolnym strzelcem, wzywany tylko po to, by robił za worek treningowy, ale na tyle przebiegłym, że przemycił ze sobą schowany aparat? Odpowiedź na to pytanie mogła być nieistotna. Liczyło się to, że właściciel tego miejsca, marionetkowy władca wszystkich zwierzęcych pragnień, zamordował Ronniego – doprowadził go do głodu narkotykowego, a potem uraczył trutką na szczury. Wysłał swoich sługusów do squatu, by

upewnili się, że morderstwo będzie wyglądało na typowy przypadek przedawkowania. Zostawili obok Ronniego wysokiej jakości proszek i żeby zmacić wodę, przenieśli ciało na dół, gdzie ułożyli je w blasku świec. Uznali tę scenografię za szokująco skuteczną i opuścili scenę. Ale w świetle świec nie dostrzegli pentagramu na ścianie, a ciało ułożyli bez głębszej intencji...

Rebus popełnił błąd, czytając zbyt wiele między wierszami tej tragedii. Sam zmacił pełen obraz, dostrzegając powiązania, spisek i konspirację tam, gdzie ich nie było. Prawdziwa intryga była o wiele większa, wielkości stogu siana wobec jego igły.

– Finlay Andrews!

Okrzyk odbił się echem od ścian pomieszczenia i zawisł w powietrzu. Rebus wgramolił się na ring bokserski i rozejrzał po miejscach dla widzów. Mógł niemal ujrzeć jaśniejące, rozradowane twarze widzów. Mata bokserska naznaczona była brązowymi plamami zaschniętej krwi. Ale na tym się nie kończyło. Były jeszcze „sypialnie dla gości”, za kolejnymi zamkniętymi drzwiami, gdzie rozgrywano „prywatne gry”. O tak, potrafił sobie wyobrazić tę sodomę, wyprawianą w trzeci piątek miesiąca, sądząc po zapiskach z dziennika Jamesa Carew. Chłopcy sprowadzani z Calton Hill, by obsługiwać klientów. Na stole, w łóżku, gdziekolwiek. A Ronnie może to wszystko sfotografował. Andrews dowiedział się, że chłopak ma swoją „polisę” w postaci kilku schowanych zdjęć. Nie mógł oczywiście wiedzieć, że są praktycznie bezużyteczne jako narzędzie szantażu czy dowód. Wiedział tylko, że istnieją.

Ronnie musiał umrzeć.

Rebus opuścił ring i przeszedł obok jednego z rzędów krzeseł. Z tyłu sali, w cieniu, znajdowało się dwoje drzwi. Nasłuchiwał chwilę przy jednych, potem przy drugich. Żadnych dźwięków... a jednak zamierzał otworzyć kolejne wrota do piekła. Spojrzał na drzwi po lewej, ale instynkt kazał mu wybrać te po prawej. Zatrzymał się, przekręcił klamkę, pchnął.

Tuż za drzwiami znajdował się włącznik światła. Rebus znalazł go i po obu stronach łóżka zapaliły się dwie lampy dające blade światło. Łóżko stało przy bocznej ścianie. W pokoju nie było wiele więcej, poza dwoma dużymi lustrami: jedno w ścianie naprzeciw łóżka, kolejne nad nim. Kiedy zbliżył się do niego, drzwi zatrasnęły się z hukiem. Czasem przełożeni zarzucali mu, że ma bujną wyobraźnię, ale teraz całkowicie ją wyłączył. Trzymaj się faktów, John. Łóżko. Lustro. Drzwi znów kliknęły. Skoczył do przodu i szarpnął za klamkę, ale za późno, podwoje zamknęły się szczelnie.

– Cholera!

Cofnął się i kopnął, trafiając w środek drzwi obcasem. Zadrzały, ale wytrzymały. Jego but nie, obcas odpadł. Świetnie, właśnie stracił depozyt na wynajem kostiumu. Poczekaj, przemyśl to. Ktoś zamknął drzwi, więc nie był sam na dole, a jedynym miejscem, w którym ten ktoś mógł się schować, było drugie pomieszczenie, znajdujące się tuż obok tego. Odwrócił się i spojrzął w lustro naprzeciwko łóżka.

– Andrews! – wrzasnął do lustra. – Andrews!

Głos, który dosłyszał ze ściany, brzmiał odległe, ale był wyraźny.

– Witaj, inspektorze Rebus. Miło mi cię widzieć.

Rebus prawie się uśmiechnął, ale zdołał to ukryć.

– Chciałbym móc powiedzieć to samo. – Wpatrywał się w lustro, wyobrażając sobie Andrews'a stojącego bezpośrednio za nim i obserwującego go. – Świetny pomysł. – Nawiazywał rozmowę, bo potrzebował czasu na zebranie sił i myśli. – Ludzie pieprzą się w jednym pokoju, a pozostali mają darmowy pokaz przez lustro weneckie.

– Darmowy pokaz? – Głos zdawał się przybliżać. – Ależ nie, nie darmowy, inspektorze. Wszystko kosztuje.

- Podejrzewam, że aparat też ustawiłeś?
- Owszem, zostali sfotografowani i oprawieni w ramki. Odpowiednio wykadrowani, inspektorze.
- Szantaż. – To było tylko stwierdzenie faktu, bez oceniania.
- Raczej przysługi. Często wyświadczone bez pytania. Fotografia może być przydatnym narzędziem, kiedy ktoś odmawia przysługi.
- To dlatego James Carew popełnił samobójstwo?
- Och, nie, to twoja sprawka, inspektorze. James powiedział mi, że go rozpoznałeś. Pomyślał, że możesz jego śladem trafić do klubu Hyde’a.
- Zabiłeś go?
- Zabiliśmy go, John. A szkoda, bo lubiłem Jamesa. Był dobrym przyjacielem.
- No cóż, masz wielu przyjaciół?

Rozległ się śmiech, ale głos Andrews’a był spokojny, bardzo poważny.

– Owszem, przypuszczam, że teraz trudno będzie znaleźć sędziego, który mnie osądzi, prokuratora, który mnie oskarży, oraz piętnastu dobrych i prawdomównych ławników. Oni wszyscy bywali w Hyde’s, co do jednego. Szukają gry, która jest ostrzejsza niż te rozgrywane na górze. Pomyśl podsunął mi mój drogi przyjaciel z Londynu. Prowadzi podobny lokal, choć może z mniej ostrymi krawędziami niż Hyde’s. W Edynburgu jest mnóstwo świeżutkiej mamony, John. Mamony dla wszystkich. Chcesz pieniędzy? Chcesz, żeby twoje życie miało pikantniejszy smak? Nie mów mi, że jesteś szczęśliwy w swoim ciasnym mieszkaniu, z tą twoją muzyką, książkami i butelkami wina.

Na twarzy Rebusa pojawiło się zaskoczenie.

– Tak, wiem o tobie całkiem sporo, John. Wiedza daje mi przewagę. – Głos Andrews’a ucichł. – Jest dla ciebie miejsce, jeśli chcesz. Powinieneś się zastanowić, bo członkostwo jest związane z pewnymi przywilejami.

Rebus oparł głowę o lustro. Jego głos był bliski szeptu.

- Twoje ceny są za wysokie.
- Co powiedziałeś? – Głos Andrews’a wydawał się bliższy, tak że niemal słysząc było oddech mężczyzny.

– Powiedziałem, że twoje ceny są za wysokie. – Rebus wciąż szeptał.

Nagle cofnął rękę, zacisnął pięść i wymierzył prosto w lustro, rozbijając je na drobny mak. Kolejna sztuczka z jego szkolenia w SAS-ie. Nie uderzaj, żeby zadać cios, ale jakbyś chciał się przebić, nawet jeśli atakujesz ceglaną ścianę. Szkło roztrzaskało się wokół niego, wbiło się w rękaw marynarki, szukając ciała. Pięść rozłożyła się w szpon. Przez lustro chwycił Andrews’a za szyję, ścisnął ją i przyciągnął mężczyznę do siebie. Andrews wrzeszczał. Drobiny szkła były na jego twarzy, we włosach, w ustach, kłuły oczy. Rebus trzymał go blisko, zaciskając zęby.

– Powiedziałem – syknął – że twoje ceny są za wysokie.

Zacisnął drugą rękę w pięść i trzasnął Andrews’a w podbródek, a potem puścił go, tak że nieprzytomna postać wpadła z powrotem do pokoju.

Zdjął beużyteczny but i stłukł ostre odłamki szkła, które trzymały się jeszcze krawędzi ramy. Potem ostrożnie przecisnął się do pokoju, podszedł do drzwi i otworzył je.

Od razu dostrzegł Tracy. Stała chwiejnie na środku ringu bokserskiego, ręce luźno zwiślały jej po bokach.

– Tracy? – powiedział.

– Może pana nie słyszeć, inspektorze Rebus. Heroina robi wodę z mózgu narkomana.

Obrócił głowę i ujrzał wychodzącego z cienia Malcolma Lanyona. Za nim stało dwóch mężczyzn. Jeden był wysoki, dobrze zbudowany jak na mężczyznę w dojrzałym wieku; miał grube czarne brwi i gęste wąsy oprószone srebrem, oczy głęboko osadzone. Z jego twarzy emanowała wyniosłość: z wyglądu najbardziej rasowy kalwinista, jakiego Rebus widział. Drugi był tęgi, jakby nie odpuszczono mu grzechów. Jego włosy były kręcone, ale przeredzone, twarz naznaczona bliznami jak kłykie, gęba robotnika. Miażdżył Rebusa wzrokiem.

Rebus znów spojrzął na Tracy, na jej źrenice jak główki od szpilek. Podszedł do ringu, wspiął się na niego i przytulił ją. Ciało było całkowicie posłuszne, włosy wilgotne od potu, i gdyby nie to, że stała na nogach, można by ją wziąć za wielką szmacianą lalkę. Kiedy Rebus przytrzymał jej twarz tak, żeby musiała na niego spojrzeć, jej oczy zabyły, a ciało zadrżało.

– Ona jest moją kartą przetargową – powiedział Lanyon. – Najwidoczniej jej potrzebowałem. – Zerknął w stronę pokoju, w którym leżał nieprzytomny Andrews. – Finlay stwierdził, że sam sobie z tobą poradzi. Zwątpiłem w to, gdy zobaczyłem cię wczoraj wieczorem. – Skinął na jednego z mężczyzn. – Zobacz, czy z Finleyem wszystko w porządku.

Mężczyzna ruszył w stronę wyjścia. Rebusowi zaczęło się podobać, w jakim kierunku to wszystko zmierza.

– Może przyjdiesz tu do mnie i pogadamy?

Lanyon rozważył to; wiedział, że Rebus jest silnym mężczyzną, ale na głowie miał dziewczynę. Lanyon miał z kolei swoich ludzi, podczas gdy inspektor był sam. Podszedł do ringu, złapał się liny, podciągnął się i wszedł. Gdy stanął z Rebusem twarzą w twarz, zobaczył rany na jego ramieniu i dłoni.

– Paskudne – powiedział. – Jeśli nie pójdziesz z tym do lekarza...

– ...mogę wykrwawić się na śmierć?

– Brawo.

Rebus spojrzął w dół na matę, gdzie jego krew tworzyła świeże plamy obok krwi bezimiennych innych.

– Ilu z nich zginęło na ringu? – zapytał.

– Naprawdę nie wiem. Niewielu. Nie jesteśmy zwierzętami, inspektorze. Mogły się zdarzyć... wypadki. Ja sam rzadko przychodziłem do Hyde's. Wprowadzałem jedynie nowych członków do klubu.

– Nie awansowali cię jeszcze na sędziego?

Lanyon uśmiechnął się.

– Zapewne nie szybko, ale to się stanie. Swego czasu gościłem w klubie podobnym do Hyde's w Londynie. To tam poznałem Saiko.

Oczy Rebusa się rozszerzyły.

– O tak – rzucił Lanyon. – To bardzo wszechstronna młoda kobieta.

– Przypuszczam, że Hyde's zapewniał tobie i Andrewsowi wejścia w całym Edynburgu?

– Z pewnością pomógł w przypadku pozwolenia na budowę, z trudnym procesem w sądzie i w paru innych sprawach.

– Więc co będzie teraz, gdy wiem o tym wszystkim?

– Ach, nie musisz się martwić. Finlay i ja wrózymy ci trwałą przyszłość w rozwoju Edynburga jako wielkiego miasta handlu i przemysłu.

Ochroniarz na dole zaśmiał się.

– Co sugerujesz? – zapytał Rebus.

Czuł napięcie w ciele Tracy, która nabierała sił. Jak długo potrwa powrót do pełnej przytomności, tego nie mógł wiedzieć.

– Pomyślałem, że wrzucimy cię do betonu, gdzie będziesz podtrzymywać jedną z nowych obwodnic.

– Robiliście to już wcześniej, co?

Pytanie było retoryczne, odpowiedział na nie rechot oprycha.

– Parę razy. Kiedy trzeba było posprzątać.

Rebus zauważył, że ręce Tracy powoli zaciskają się w pięści. Wrócił mężczyzna, który poszedł do Andrews.

– Panie Lanyon! – zawołał. – Pan Andrews jest chyba bardzo zły!

Właśnie wtedy, gdy Lanyon stanął do nich plecami, Tracy z przeraźliwym wrzaskiem wyrwała się z ramion Rebusa, zamachnęła pięściami i grzmotnęła Lanyona z całych sił między nogi. Nie tyle upadł, ile zachwiał się, po czym zaczął się krztusić. W tym momencie Tracy potknęła się i upadła na matę.

Rebus był szybki. Chwycił Lanyona za fraki i postawił do pionu, jedną ręką zablokował jego ramię za plecami, a drugą chwycił za szyję. Dwóch goryli ruszyło do ringu, ale Rebus wbił pazury głębiej w ciało Lanyona i tamci się zawahali. Nastąpił moment impasu, ale po chwili jeden z nich rzucił się na schody, a jego koleżka tuż za nim. Rebus oddychał ciężko. Zwolnił uścisk na szyi Lanyona i obserwował, jak ten się osuwa. Następnie, stojąc na środku ringu, policzył cicho do dziesięciu – jak sędzia w meczu bokserskim – i unióśł wysoko rękę.

SYTUACJA NA GÓRZE SIĘ USPOKOIŁA. Członkowie personelu dochodzili do siebie, ale trzymali głowy wysoko, zadowoleni, że dobrze się spisali. Pijacy – Holmes, McCall, McGrath i Todd – zostali usunięci z lokalu, a Paulette łagodziła napiętą atmosferę, oferując wszystkim darmowe drinki. Zobaczyła Rebusa wchodzącego przez drzwi klubu Hyde's i zamarła na chwilę, po czym zmieniła się z powrotem w doskonałą gospodynię, ale z głosem nieco mniej ciepłym niż wcześniej oraz fałszywym uśmiechem.

– Ach, to ty, John – odezwał się komendant Watson, wciąż ze szklanką w ręce. – Była bijatyka. Gdzie się podziewałeś?

– Czy Tommy McCall jest w pobliżu, panie komendancie?

– Gdzieś tu się kręci, tak. Usłyszałem propozycję darmowego drinka i podszedłem do baru. Co ci się stało w rękę?

Rebus spojrział w dół i zobaczył, że jego dłoń nadal krwawi w kilku miejscach.

– Siedem lat pecha – powiedział. – Mogę zająć chwilę? Chciałbym coś panu pokazać. Ale najpierw muszę zadzwonić po karetkę.

– Ale dlaczego, na miłość boską? Burda na pewno się skończyła?

Rebus spojrział na przełożonego.

– Nie założyłbym się o to, panie komendancie – powiedział. – Nawet gdyby żetony były na koszt firmy.

REBUS WRACAŁ DO DOMU WYCZERPANY, nie z powodu fizycznego zmęczenia, ale dlatego, że jego umysł był zużyty. Klatka schodowa prawie go pokonała. Zatrzymał się na chwilę na pierwszym

piętrze, przed drzwiami pani Cochrane. Starał się nie myśleć o klubie Hyde's, o tym, czym tak naprawdę był i jakie emocje w nim wywołał. Lecz choć nie myślał o tym świadomie, strzępki świeżych wspomnień i tak latały mu po głowie, małe poszarpane kawałki horroru.

Koty pani Cochrane chciały wyjść na dwór; usłyszały je po drugiej stronie drzwi. Rozwiązaniem byłaby klapka dla kotów, ale ich pani nie wierzyła w to rozwiązanie i powiedziała, że to jak zostawianie otwartych drzwi dla obcych: każdy stary kundel mógłby po prostu wejść.

Jakie to prawdziwe. W jakiś sposób Rebus wykrzesał z siebie resztki sił, niezbędnych, by wdrapać się na kolejne piętro. Otworzył kluczem drzwi i zamknął je za sobą. Jego sanktuarium. W kuchni jadł suchą bułkę, czekając, aż zagwiżdże czajnik.

Watson słuchał jego opowieści z rosnącym niepokojem i niedowierzaniem. Zastanawiał się głośno, jak wielu prominentów jest w to zamieszanych. Ale na to pytanie mogli odpowiedzieć tylko Andrews i Lanyon. Znaleźli kilka kaset wideo, a także imponującą kolekcję fotografii. Komendant, widząc twarze, co rusz bladł jak ściana, ale Rebus nie rozpoznał wielu z nich. Tylko kilka: Andrews miał rację co do sędziów i innych prawników.

Na szczęście w galerii nieszławy nie było policjantów. Z wyjątkiem jednego.

Rebus chciał wyjaśnić sprawę zabójstwa, a zamiast tego natknął się na gniazdo żmij. Nie miał pewności, czy cokolwiek z tej sprawy wyniknie, przecież zmieszano by z błotem zbyt wiele nieposzlakowanych dotąd opinii, zniweczona została wiara społeczeństwa w idee i instytucje tego miasta, a nawet kraju. Jak długo zajęłoby zbieranie kawałków tego rozbitego lustra? Rebus spojrzął na zabandażowany nadgarstek. Jak długo będą goić się te rany?

Wszedł do salonu, niosąc herbatę. Tony McCall siedział na krześle i czekał.

– Cześć, Tony – powiedział Rebus.

– Cześć, John.

– Dziękuję za pomoc.

– Od czego są przyjaciele?

Kiedy wcześniej tego dnia Rebus poprosił o pomoc Tony'ego McCalla, ten się załamał.

– Wiem o tym wszystko, John – wyznał. – Tommy raz mnie tam zabrał. To było tak obrzydliwe, że szybko opuściłem ten klub. Ale może są tam moje zdjęcia... Nie wiem... Może są.

Rebus nie musiał o nic więcej pytać. Tony wylewał się jak piwo z kranu: zła atmosfera w domu, trochę zabawy nie zaszkodzi, nie mógł nikomu o tym powiedzieć, bo nie wiedział, kto już wie. Nawet teraz uważał, że najlepiej będzie milczeć. Rebus przyjął ostrzeżenie.

– Mimo to pchamy dalej tę sprawę – powiedział jednak. – Z tobą lub bez, twój wybór.

Tony McCall zgodził się pomóc.

Rebus usiadł, postawił herbatę na podłodze i sięgnął do kieszeni po fotografię, którą wygrzebał w dokumentacji klubu Hyde's. Rzucił ją w kierunku McCalla. Ten podniósł ją i spojrzął na niego z przerażeniem.

– Wiesz, Andrews chciał odkupić firmę transportową od Tommy'ego – powiedział Rebus. – Potrzebował jej, no a wstęp do Hyde's był w ramach transakcji łączącej.

– Zgnióły drań – rzucił McCall, metodycznie rozrywając fotografię na coraz mniejsze kawałki.

– Dlaczego to zrobiłeś, Tony?

– Mówiłem ci, John. Tommy zabrał mnie ze sobą, to miała być tylko zabawa.

– Nie o to pytam. Dlaczego włamałeś się do squatu i podłożyłeś prosek Ronniemu?



– Ja? – Oczy McCalla były teraz szersze niż kiedykolwiek, ale nadal widać w nich było raczej strach niż zaskoczenie.

Rebus strzelał w ciemno, ale wiedział, że trafia w dziesiątkę.

– Daj spokój, Tony. Myślisz, że Finlay Andrews pozwoli, żeby jakiegokolwiek nazwiska pozostały w tajemnicy? Facet idzie na dno i nie ma powodu trzymać czyjejkolwiek głowy nad wodą.

McCall zastanawiał się przez chwilę. Gdy kawałki fotografii wleciały do popielniczki, podpałił je zapalką. Rozpuściły się na poczerniały popiół, a on wydawał się usatysfakcjonowany.

– Andrews potrzebował przysługi. Wiesz, jemu zawsze „wyświadcza się przysługę”, pewnie zbyt często widział *Ojca chrzestnego*. Pilmuir to mój rewir, moje terytorium. Poznaliśmy się przez Tommy’ego, więc pomyślał, że mnie o to „poprosi”.

– A ty ochoczo się zgodziłeś.

– Hm... miał zdjąć, prawda?

– Musiało chodzić o coś więcej.

– Dobra... – McCall przerwał, zgniół palcem wskazującym popiół w popielniczkę; po zdjęciach został tylko drobny pył. – Tak, do diabła, nie miałem większych skrupułów. Chłopak był w końcu ćpunem, śmieciem, a na dodatek był już martwy. Musiałem tylko położyć obok niego mały pakunek, to wszystko.

– Nigdy nie zastanawiałeś się po co?

– Żadnych pytań i tak dalej. – Uśmiechnął się. – Finlay zaproponował mi członkostwo, rozumiesz. Członkostwo w Hyde’s. Wiedziałem, co to znaczy, byłbym koleżką grubych ryb. Zacząłem nawet marzyć o awansie zawodowym, co nie zdarzało mi się od dłuższego czasu. Spójrzmy prawdzie w oczy, John, jesteśmy małymi rybkami w małym basenie.

– A Hyde’s oferował ci możliwość obcowania z rekinami?

McCall uśmiechnął się smutno.

– Przypuszczam, że tak.

Rebus westchnął.

– Tony, Tony, Tony. Jak by to się dla ciebie skończyło, nie myślałeś o tym?

– Pewnie musiałbyś zwracać się do mnie „panie komendancie” – odpowiedział McCall. Jego głos stał się twardszy. – A tymczasem czeka mnie proces i pierwsze strony szmatławców. Nie do końca o taką sławę mi chodziło.

Podniósł się z krzesła.

– Do zobaczenia w sądzie – powiedział, zostawiając Johna Rebusa z jego lurowatą herbatą i myślami.

REBUS SPAŁ NIESPOKOJNIE i obudził się wcześniej. Wziął prysznic, ale bez typowego dla siebie akompaniamentu wokalnego. Zatelefonował do szpitala i upewnił się, że Tracy ma się dobrze, a Finlay Andrews został połatany, co nie było wyczynem, bo stracił niewiele krwi. Następnie pojechał na Great London Road, gdzie trzymano Malcolma Lanyona z zamiarem przesłuchania.

Rebus nadal oficjalnie nie zajmował się sprawą, do przesłuchań przydzielono śledczych z dochodzeniówki: detektywa sierżanta Dicka i detektywa posterunkowego Coopera. Ale chciał być w pobliżu, znał odpowiedzi na wszystkie ich pytania, wiedział, do jakich sztuczek zdolny jest Lanyon. Nie chciał, żeby draniowi uszło na sucho z powodu paru formalnych uchybień.

Najpierw udał się do stołówki, kupił bułkę z bekonem i zobaczywszy siedzących przy stole Dicka i Coopera, dołączył do nich.

– Cześć, John – powiedział Dick, wpatrując się w dno poplamionego kubka z kawą.

– Ranne z was ptaszki – rzucił Rebus. – Widzę, że nie próżnujecie.

– Farmer Watson chce zamknąć sprawę jak najszybciej, a nawet jeszcze szybciej.

– Złożę się, że tak. Słuchajcie, będę się kręcił w pobliżu, na wypadek gdybyście mnie potrzebowali... do czegokolwiek.

– Doceniamy to, John – powiedział Dick głosem, który sugerował, że ta propozycja jest równie mile widziana jak osłe uszy.

– Cóż... – zaczął Rebus, ale urwał i zabrał się do śniadania.

Dick i Cooper wydawali się przytępieni wymuszoną wczesną pobudką. Z pewnością nie byli najbardziej żywiołowymi kompanami przy stole. Rebus szybko skończył i wstał.

– Mogę do niego zajrzeć?

– Nie ma potrzeby – powiedział Dick. – Będziemy tam za pięć minut.

Przechodząc przez recepcję na parterze, Rebus omal nie wpadł na Briana Holmesa.

– Każdy dziś poluje na robaki – powiedział Rebus.

Holmes rzucił mu zdziwione, nieprzytomne spojrzenie.

– Nieważne. Idę zerknąć na Lanyona-alias-Hyde'a. Nie masz ochoty na małe podglądactwo?

Młody detektyw nie odpowiedział, ale zrównał krok z inspektorem.

– Właściwie Lanyon powinien to docenić – dodał Rebus.

Holmes posłał mu jeszcze bardziej zdumione spojrzenie. Rebus westchnął.

– Ech, nieważne – powtórzył.

– Przepraszam, panie inspektorze, wróciłem bardzo późno w nocy...

– A tak. Dzięki za wczoraj.

– Prawie umarłem, kiedy zobaczyłem, jak cholerny Farmer gapi się na nas, on w garniturze przedsiębiorcy pogrzebowego, my w roli wkurzonych pijusów z Dundee.

Uśmiechnęli się do siebie. Okej, plan był kiepski, wymyślony przez Rebusa w trakcie pięćdziesięciminutowej jazdy z celi Caluma McCalluma w Fife. Ale grunt, że zadziałał. Wygrali w tej grze.

– Tak – powiedział Rebus. – Wyglądałeś na zdenerwowanego.

– Co pan ma na myśli?

– Że zagrałeś taktyką włoskiej armii, wycofywanie się i tak dalej.

Holmes zatrzymał się, szczeka mu opadła.

– To ma być podziękowanie, na które zasłużyłem? Naraziliśmy na szwank nasze kariery dla pana, panie inspektorze, cała nasza czwórka. Używał mnie pan jako chłopca na posyłki... znajdź to, sprawdź tamto... jako cholerny skórzany but, do zadań, które nie były nawet oficjalne. Przez pana prawie zginęła moja dziewczyna...

– Poczekaj sekundę...

– ...a wszystko po to, żeby zaspokoić własną ciekawość. Dobrze, źli ludzie są za kratkami, ale ile to nas kosztowało? Dostał pan, inspektorze, swoich złoczyńców, a co ma reszta z nas? Kilka siniaków i brak przeklętych podeszew w butach!

Rebus wlepił wzrok w podłogę, prawie skruszony. Powietrze uleciało z jego nozdrzy jak z hiszpańskiego byka.

– Zapomniałem – odezwał się w końcu – Miałem zamiar oddać dziś rano ten cholerny garnitur. Buty są zniszczone, twoje słowa o skórzanym buciku właśnie mi o tym przypomniały.

Ruszył dalej korytarzem w kierunku celu, pozostawiając Holmesa bez słowa.

Na tablicy przy celi było wypisane kredą nazwisko Lanyona. Rebus podszedł do stalowych drzwi i odsunął wizjerkę; pomyślał, że przypomina mu zastłonę w oknie zakazanego klubu – zastukaj, a okienko się otworzy. Zajrzał do celi, wzdrygnął się i wcisnął dzwonek alarmowy umieszczony obok drzwi. Holmes, który usłyszał syrenę, zapomniał o gniewie i żalu i pospieszył do celu. Rebus ciągnął palcami za krawędź drzwi.

– Musimy się dostać do środka!

– Są zamknięte, panie inspektorze. – Holmes znów się obawiał, że przełożony postradał zmysły. – Już nadchodzą.

Umundurowany sierżant podbiegł roboczym klusem, klucze na łańcuchu pobrzękiwały.

– Pospiesz się!

Zamek ustąpił i Rebus otworzył drzwi. Malcolm Lanyon leżał zgarbiony na podłodze, z głową opartą o pryczę. Jego stopy były rozstawione jak u lalki, a ręka trzymała cienki nylonowy drut, jak żyłka wędkarska, owinięty wokół czarnych kostek. Linka zapętała się na szyi Lanyona, wbita w gardło tak głęboko, że prawie w nim zniknęła. Oczy były wybałuszone, a spuchnięty język wyglądał obscenicznie na tle pociemniałej od krwi twarzy – ostatni makabryczny akt zbrodni. Rebus patrzył na ten język wystający w jego stronę, jakby uważał ten grymas za osobistą zniewagę.

Wiedział, że jest o wiele za późno, ale sierżant i tak poluzował drut i położył ciało płasko na podłodze. Holmes oparł głowę o zimne metalowe drzwi i zamknął oczy, by nie widzieć tego horroru.

– Musiał to schować i mieć przy sobie – powiedział sierżant, szukając usprawiedliwienia dla poważnego błędu funkcjonariuszy; mówił o drucie, który trzymał teraz w rękach. – Jezu, co za sposób na odejście...

Wykiwał mnie, wykiwał mnie, pomyślał Rebus. Ja nie miałbym odwagi tego zrobić, nie potrafiłbym zadusić się na śmierć, powoli... Nigdy bym tego nie zrobił, coś w środku by mnie powstrzymało...

– Kto tu zaglądał od czasu, gdy go przywieziono?

Sierżant wpatrywał się w Rebusa, nic nie rozumiejąc.

– Przypuszczam, że ci co zawsze – odparł w końcu. – Musiał odpowiedzieć na kilka pytań w nocy, kiedy go tu pan przyprowadził.

– Tak, ale potem?

– Hm... potem jadł posiłek, to wszystko.

– A to skurwie! – warknął Rebus, wychodząc z celi.

Popędził korytarzem, a Holmes, z twarzą białą i mokrą od potu, biegł kilka kroków za nim, aż wreszcie go dogonił.

– Chcą zakopać tę sprawę, Brian – powiedział Rebus; jego głos był gniewnym wibrato. – Zamierzają ją zakopać i nie będzie żadnego krzyża, żadnego śladu, nic. Narkoman zmarł z własnej woli. Agent nieruchomości popełnił samobójstwo. Teraz prawnik zabił się w policyjnej celi. Nie ma związku, nie ma przestępstwa.

– Ale co z Andrewsem?

– Jak myślisz, gdzie idziemy?

DOTARLI NA ODDZIAŁ SZPITALNY w samą porę, by przekonać się o sprawności personelu oddziału intensywnej opieki medycznej. Rebus, przepychając się, pospieszył naprzód. Finlayowi Andrewsowi, leżącemu na łóżku z odsłoniętą klatką piersiową, podawano tlen podczas instalowania defibrylatora. Lekarz trzymał przed nimi elektrody, a potem powolnym ruchem przycisnął je do klatki piersiowej pacjenta. Chwilę później ciało Andrewsza przeszły wstrząs. Maszyna nie pokazała żadnego odczytu. Więcej tlenu, więcej prądu... Rebus się oddalił. Znał scenariusz, wiedział, jak ten spektakl się zakończy.

– Co się stało? – zapytał Holmes.

– Atak serca – odparł Rebus nijakim głosem, wychodząc z sali. – Tak to nazwijmy, zgodnie z przyszłą adnotacją w aktach.

– Więc co dalej? – Holmes dotrzymywał mu kroku. On też poczuł się oszukany.

Rebus zastanawiał się, zanim odpowiedział:

– Prawdopodobnie zdjęcia znikną. W każdym razie te, które mają znaczenie. I kto zostanie, żeby zeznawać? Zresztą zeznawać w związku z czym?

– Pomyśleli o wszystkim.

– Z wyjątkiem jednego, Brian. Wiem, kim oni są.

Holmes zatrzymał się.

– Czy to coś zmieni?! – zawołał do wycofującego się przełożonego.

Ale Rebus po prostu szedł dalej.

WYBUCHŁ SKANDAL, ale niewielki i szybko zapomniany. Zaciemnione pokoje w eleganckich georgiańskich szeregowcach wkrótce znów wypełniło światło, jakby w wielkim odrodzeniu ducha. Śmierci Finlaya Andrewsza i Malcolma Lanyona zostały nagłośnione, a dziennikarze, żerując na sensacji, robili, co mogli, by wyciągnąć złoto z błota. Tak, Finlay Andrews prowadził klub, który nie był całkiem legalny, i tak, Malcolm Lanyon popełnił samobójstwo, kiedy władze zamknęły małe podziemne imperium. Nie, nie pojawiły się żadne szczegóły na temat jego „działalności”.

Samobójstwo lokalnego agenta nieruchomości Jamesa Carew nie było w żaden sposób powiązane z samobójstwem pana Lanyona, choć prawdą jest, że panowie byli przyjaciółmi. Czy Lanyon coś łączyło z Finlayem Andrewsem i jego klubem? Cóż, o tym być może nigdy się nie dowiemy. A że Lanyon został wyznaczony na wykonawcę testamentu pana Carew, to tylko smutny zbieg okoliczności. Ale zaraz, dlaczego on, przecież byli inni prawnicy, czyż nie?

I tak to się skończyło, historia wygasła śmiercią naturalną, plotki umierały nieco wolniej. Rebus ucieszył się, kiedy Tracy ogłosiła, że Nell Stapleton znalazła jej pracę w kawiarni w pobliżu Biblioteki Uniwersyteckiej. Pewnego wieczoru, po tym jak Rebus spędził trochę czasu w barze Rutherford, nabrał chęci na indyjskie danie na wynos przed powrotem do domu. W restauracji zobaczył Tracy, Holmesa i Nell Stapleton; jedli posiłek przy stoliku w rogu, zaśmiewając się. Odwrócił się i wyszedł, nie złożwszy zamówienia.

Po powrocie do mieszkania po raz kolejny zasiadł przy kuchennym stole, by napisać wstępny projekt rezygnacji, ale słowa nie oddały odpowiednio żadnej z jego emocji, więc zgniół kartkę i wyrzucił do kosza. W restauracji przypomniało mu się, ile zdrowia go to kosztowało i jak ślepe są

oczy Temidy. Rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył je z nadzieją w sercu i ujrzał Gill Templera, z uśmiechem na twarzy.

W NOCY ZAKRADE ŚIĘ DO SALONU i włączył lampkę biurkową. Jak policyjna latarka rzuciła światło, pełne poczucia winy, na małą szufladę z dokumentami w szafce przy wieży stereo. Klucz schowany był pod rogiem dywanu: schowek równie bezpieczny jak babciny materac. Pociągnął za szufladę i wyjął z niej cienką teczkę; zaniósł ją do fotela, tego, który od wielu miesięcy był właściwie jego łóżkiem. I siedział tam, pochłonięty myślami, odtwarzając dzień wizyty w mieszkaniu Jamesa Carew. Już wtedy czuł pokusę, by skonfiskować prywatny dziennik i zachować go dla siebie. A jednak się jej oparł. Ale nie w noc spędzoną w Hyde's. Kiedy przez chwilę był sam w biurze Andrewsa, ukraść zdjęcie Tony'ego McCalla. Tony'ego, kolegi z pracy i przyjaciela, z którym w ostatnich dniach nic go już nie łączyło. Może z wyjątkiem poczucia winy.

Otworzył teczkę i wyjął fotografie. Zabrał też inne, cztery, wybrane losowo. Kolejny raz spojrzął na twarze, jak robił to przez większość długich bezsennych nocy. Twarze, które rozpoznawał. Twarze przypisane do nazwisk, a nazwiska do uścisków dłoni, tembrów głosów. Ważne osobistości. Wpływowi ludzie. Często nad tym myślał. Tak naprawdę od nocy w klubie Hyde's nie myślał o niczym innym. Wyjął spod biurka metalowy kosz na śmieci, wrzucił do środka zdjęcia i zapalił zapalniczkę, a potem unióś ją nad kosz, jak robił to już tyle razy.